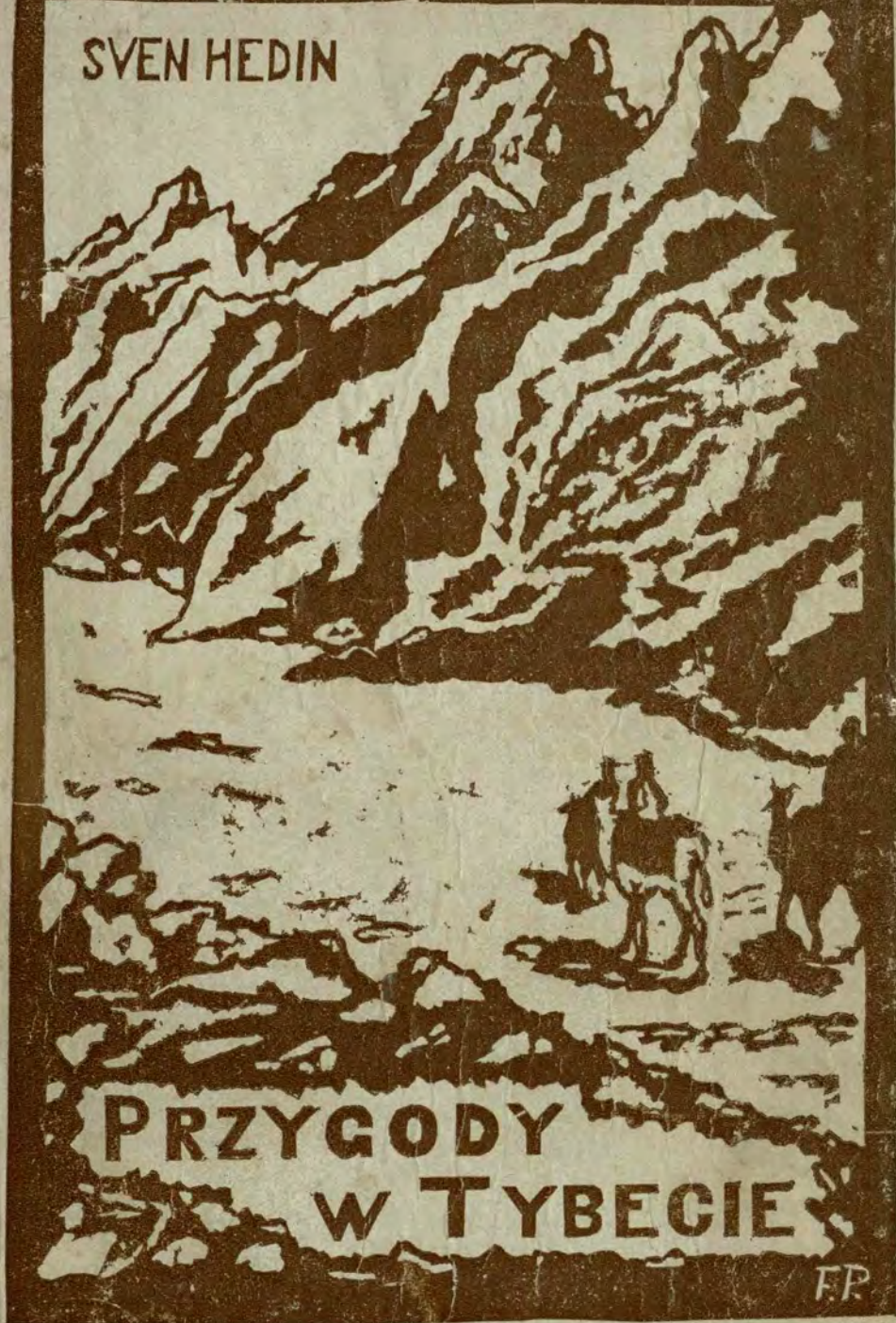


SVEN HEDIN



**PRZYGODY
W TYBECIE**

FP

POZNAŃ
NAKŁADEM SPÓŁKI PEDAGOGICZNEJ - TOW. AKC.
1 9 2 4

M 3498

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE
BIBLIOTEKA
Inw. Nr. K.1048

Z KSIĘGOZBIORU
D^{ca} WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

Przygody w Tybecie.



Autor przebrany za mongolskiego pielgrzyma.

SVEN HEDIN

==

84017

Przygody w Tybecie

przełożył z upoważnienia autora

WŁADYSŁAW PNIEWSKI

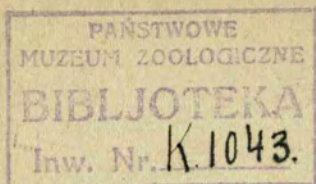


Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

Poznań

Nakładem Spółki Pedagogicznej Tow. Akc.

1924



Książeczka ta jest skrótem wielkiego dzieła podróżni-
czego Hedina „W sercu Azji“ (2 tomy, Lipsk 1903).

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 1043



1000000000054

Czcionkami Spółki Pedagogicznej Tow. Akc. - Tuchola Pom.

I.

SERCE AZJI.

Na dalekim wschodzie, za górami i dolinami, za morzami i pustyniami, rozprzestrzenia się w sercu największego lądu ziemskiego kraj, który do najnowszych czasów zwiedziła tylko nikła liczba podróżników. A przecież kraj tybetański jest bogatszy w nierozwiązane zagadki czy to geograficzne, czy też ogólnoludzkie, niż większość innych części skorupy ziemskiej. Jeszcze przed pięćdziesięciu laty każdy, kto pragnął odpowiedzi na jakiegokolwiek pytanie o sercu Azji, Tybecie, musiał zwracać się do Marco Polo, kupca wenecjańskiego, który przed 600 laty z górą przewędrował środek Azji i pozostawił w spadku opis podróży, jako pomnik ludzkiej energii na wszystkie wieki.

Gdy pod koniec siódmego dziesiątka lat nastąpił nowy rozkwit badań geograficznych, wówczas też wewnątrz Azji nie mogło nadal ująć uwagi Europy, i wielki podróżnik rosyjski, Przewalskij, pierwszy w naszych czasach odważył się, odchylić naprawdę rąbka zasłony, zakrywającej tak wiele tajemnic. Będąc jeszcze uczniem szkolnym, marzyłem o tem, by wejść w ślady

jego i Marco Polo, a gdy puściłem się w podróż naukową przez Azję, był tajemniczy Tybet dla mnie tym wysokim celem, do którego na tej lub owej drodze zawsze zdążałem.

Tybet jest najwyższym krajem górskim na ziemi. Tybet północny i środkowy położony jest na średniej wysokości 5000 m., cały więc kraj podobny jest do niedostępnej prawie twierdzy. Tem większy urok, kusić się o jej zdobycie. Pięć wielkich pasem górskich oraz niezliczone mnóstwo mniejszych rozciąga się w Tybecie od zachodu na wschód, niby fałdy zsuniętego z obu brzegów obrusu. Wszystkie trzeba przebyć na niebotycznych przesmykach, jeśli się chce przejść przez Tybet.

Położenie Tybetu nie jest bez wpływu na krajowców. Lud tybetański, odcięty od świata i nie mający styczności z sąsiadami, rozwijał się nader osobliwie. Północna część kraju, stanowiąca jedną trzecią całego Tybetu, jest całkiem niezaludniona; można tam całymi miesiącami podróżować, nie spotykając się z żadnym człowiekiem. Środkowa część tego pasu^a jest też słabo zaludniona, głównie przez pasterzy, błakających się z swemi stadami i „jakami“ (tj. tybeckimi wołami o długiej, jedwabistej sierści, i z okragłemi, wtył zakrzywionemi rogami) i mieszkających w czarnych namiotach. Niektórzy z nich są też zręcznymi myśliwymi, polującymi na dzikie „jaki“ i antylopy; inni zbierają sól po wysłach jeziorach, objuczają nią swoje owce i wymieniają w południowych okolicach na jęczmień.

Południowa część Tybetu liczy najwięcej mieszkańców: dwa do trzech milionów. Są tu nie tylko koczownicy, ale także stali osadnicy, mieszkający w mar-

łych wioskach o chatach z kamienia i uprawiający jęczmień w głębokich dolinach rzecznych. Wielkie rzeki Indyj i Chin, przedewszystkiem Indus i Brahmaputra, mają na wyżynie tybetańskiej swoje źródła. Nawet kilka małych miast powstało w tych dolinach; największe z nich są: Laza i Szigatse.

W Tybecie panuje religja Buddy, buddaizm, albo, jak go tam zowią, lamaizm. Tworzy on państwo kapłańskie z Dalaj-Lamą na czele. Lama jest to wyraz tybetański i znaczy tyle co: wyższy, którem to mianem oznacza się lamaistycznych kapłanów. Dalaj znaczy w języku mongolskim morze i jest przekładem tybetańskiego wyrazu dżamtso, który to wyraz często zachodzi w nazwiskach tybetańskich kapłanów.

Dalaj-Lama rezyduje w Laźie i czuwa nad rozpowszechnianiem i zachowaniem nauki Buddy. Według wierzeń Tybetan nigdy on nie umiera, bo mieszkający w nim Bóg zmienia tylko ziemskie ciało. Po śmierci Dalaj-Lamy los rostrzyga, który z nowonarodzonych chłopców jest jego wcieleniem. Zdaje się jednak, jakoby obok naznaczania przez los nowego Dalaj-Lamy uwzględniano także jego pokrewieństwo ze znakomitemi rodami, a nawet ostatnią wolę zmarłego Dalaj-Lamy. Lamaiści wierzą więc w wędrowkę dusz.

Niezliczone rzesze wiernych odbywają rok rocznie pielgrzymki do Laży, jako do celu swych marzeń; znika jedno pasmo górskie po drugim i wreszcie za ostatniem wzniesieniem błyszczą białe świątynie Laży! Znużony pątnik czuje tę samą cześć, która przejmuje pielgrzymą, idącego do Mekki, gdy po raz pierwszy z góry Arazat ujrzy swe święte miasto. Niezliczone klasztory stoją w bajecznej samotności nad wspaniałemi jeziorami. Zakonnikom i zakonnicom małżeństwo

jest wzbronione. U reszty narodu natomiast jest dziwny zwyczaj, że jedna kobieta może mieć dwóch lub więcej mężów.

Tybetanie są w gruncie rzeczy narodem dobrodusznym i uprzejmym, lecz nie cierpią w swym kraju obcych; słyszeli, że Indje i Azja środkowa zostały zdobyte przez białych, więc słusznie obawiają się, żeby ich równy los nie spotkał. Przed dwustu laty mieszkali w Łazie katoliccy misjonarze, a jeszcze w r. 1845 zwiedzili miasto dwaj francuscy księża, Huc i Gabet. Od tego czasu krajowcy zmuszali wszystkich Europejczyków, zmierzających do świętego miasta, do odwrotu, a dwóch z nich, usiłujących powtórnie wstąpić na wzbroniony teren, zamordowali.

Ta trudność zadania nęciła mnie tem bardziej, i gdy w lecie roku 1899 rozpocząłem trzyletnią podróż przez środek Azji, wędrówka przez Tybet, o ile możliwości do Łazy, bez względu na przygody, jakie mnie spotkać mogły, miała stanowić szczyt mego przedsięwzięcia.

Przedtem jednak należało spełnić szereg innych zadań; przedewszystkiem postanowiłem zbadać dorzecze Tarimu, przepływające z zachodu na wschód nizinę wschodniego Turkiestanu, położoną na północ od Tybetu. Rzeka ta powstaje przez połączenie się dwóch potoków, Jarkent-darja i Chotan-darja, a mnogie dopływy z wysokich gór granicznych napełniają jej koryto ogromną masą wody, toczącej się majestycznie przez równinę i ginącej w pustynnem jeziorze, którego położenie bezustannie się zmienia.

Bezpośrednio pod wsią, z której cztery lata temu rozpocząłem swój pochód przez pustynię Taklamakan, gdzie cała moja karawana zginęła z wyjątkiem dwóch

sług, a ja sam tylko cudem uszedłem głodowej śmierci, obozowałem we wrześniu 1899 znów z wielką karawaną, ażeby drogą wodną Tarimu przebyć w poprzek cały wschodni Turkiestan. Dnia 17 września wsiałem na prom, którego tam używa się do przewożenia podróżnych, i kazałem się wieźć z prądem 2000 km., aż zamrznięcie rzeki 7 grudnia położyło kres dalszej podróży. Część karawany posłałem naprzód drogą lądową wzdłuż rzeki. Przezimowaliśmy nad brzegiem Tarimu, i tu udało mi się rozwiązać zagadkę wędrującego jeziora Lop-nor'u, poruszającego się to w tę, to w drugą stronę, jak wahadło, pomiędzy północą a południem równocześnie z dolnym biegiem Tarimu. Narysowałem mapę poprzedniego łoża rzecznego i dawnego jeziora, i w jego pobliżu znalazłem zwaliska starych wsi i zagród, które niegdyś stały nad starym brzegiem rzeki, później jednak zostały opuszczone i zasypane piaskiem pustynnym. Stare chińskie rękopisy, również tam znalezione, dowodziły, że minęło więcej niż piętnaście wieków od czasu, gdy rzeka i jezioro zmieniły swe położenie i ludzie tu mieszkali.

Z mej głównej kwatery Jangi-kel nad brzegiem Tarimu podjąłem także podróż przez pustynię Czer-czen. Następnie przedzierałem się przez wysokie pasma górskie Astin-tagu i Arka-tagu do północnego Tybetu, jak długo starczyły siły karawany i niesione zapasy żywności, poczem wróciłem, nie spotkawszy przez 84 dni żywej duszy, do naszej drugiej głównej kwatery, Temyrliku. Z czternastu zabranych koni padło z ogromnego wysiłku podczas wdzierania się na góry wśród lodów i śniegów niemniej niż dziesięć. Po drugiej wycieczce do północnego Tybetu zwróciłem

się ku północo-wschodowi, przebyłem pustynię Gobi i wróciłem w marcu 1901 r. do mej głównej kwatery, którą tymczasem przeniesiono do Czarchliku. Stąd postanowiłem z nową karawaną rozpocząć właściwą podróż przez tajemniczy Tybet z Łazą, ową niedostępną stolicą Dalaj-Lamy, jako ostatecznym celem.

II.

WYMARSZ DO TYBETU.

Po wspaniałych, ale też bardzo potrzebnych wyczasach w małej mieścinie Czarchliku zacząłem robić przygotowania do wymarszu do Tybetu, najtrudniejszego punktu w całym programie naszej podróży.

Zamieszkivaliśmy w Czarchliku schludną, obszerną zagrodę z wielkim sadem, gdzie w cieniu morw i śliw rozpięta była moja mongolska jurta. Pies Joldasz był mi towarzyszem w mem zacisznym mieszkaniu, na dworze zaś stali na straży jego towarzysz Jolbars oraz kilku dwunożnych stróżów nocnych. Piękny jeleń, złowiony w lasach Czerczen-darji, pasł się bez nadzoru w gliniastych murach sadu. Był on najlepszym moim przyjacielem i często do mnie przychodził po chleb; był oswojony jak pies i zdawał się wcale nie tęsknić za ciszą leśną.

Wśród niezliczonych robót dnię aż nazbyt szybko mijały. Jeszcze nam się nie spieszyło; trawa wyrastała w okolicach górzystych jeszcze przez całe tygodnie. Zwierzęta nasze mogły więc wypoczywać po już odbytych trudach i nabierać sił do nowych ciężkich znojów, które na nie czekały. Otrzymywały

kukurydzy, sitowia i trawy do syta; wogóle trokliwie się o nie starano. Sługa kupował mi codziennie jednego lub dwa wielbłądy tak, że wyruszając mieliśmy trzydzieści dziewięć, wszakże wśród nich trzy młode. Najmłodszy z nich urodził się 6 maja. Pierwszego dnia ledwo mógł ustać na swych długich, drżących nogach; ciekawym, uważnym wzrokiem przyglądał się niespokojnemu światu, który go otaczał. Ale już po dwóch dniach biegał żwawo po dziedzińcu stajennym i stał się ulubieńcem wszystkich. Opiekowano się nim z szczególną troskliwością, a uczestniczył on w większej części mej podróży po Tybecie; umarł znacznie później po stracie swych obu towarzyszków i matki.

Zakupiono żywności na dziesięć miesięcy i napechano nią worki, przywiązane do jucznych drabinek. Pod koniec kwietnia stanęły na podwórzu paki w długich rzędach gotowe. Lęk mnie ogarniał na myśl, że przyjdzie te ogromne ciężary wlec przez górzysty Tybet; lecz przewodnik karawany zapewniał, że nie są za ciężkie, a prócz tego z każdym dniem tracić będą na wadze. Były tam worki z ryżem tak silnie napięte, jak skóra na bębnie, w drugim rzędzie stała kukurydza, w trzecim palona mąka i świeżo upieczony chleb. Wielkie paki zawierały kożuchy dla ludzi i białe dery pilśniowe na wielbłądy. Kilka skrzyń zawierało moje przyrządy, odzież, książki, zaprawy i t. p., amunicję, podarunki dla Tybetan i tysiące rzeczy potrzebnych zwykle w długiej podróży. Dla koni i wielbłądów zabrano ponadto jeszcze wielkie zapasy kukurydzy, którą dźwigać miało 70 wynajętych osiełków pod przewodnictwem Dowleta, starego człowieka z Buchary, oraz pół tuzina poganiaczy. W jednym lub dwu mie-

siącach powinny były ciężary, niesione przez wielbłądy, na tyle się zmniejszyć, żeby wielbłądy mogły przejąć kukurydzę, narazie niesioną przez osły; te miały później z poganieczami wrócić do domu.

W pracy mojej byli mi nieocenioną pomocą czterej kozacy, darowani mi przez cara rosyjskiego jako straż bezpieczeństwa; każdy z nich miał zawiadywać swoim oddziałem. Lecz już 12 kwietnia otrzymali obaj Burjaci, Szagdur i Czerdon, nadzwyczajne tajne polecenie. Zamiarem moim było przedrzeć się w przebraniu do Łazy, stolicy i rezydencji Dalaj-Lamy; do wykonania zaś tego planu potrzebne mi było całkowite wyekwipowanie w mongolską odzież, sprzęty, skrzynie, naczynia i t. d., jakie znaleźć można u pielgrzymów, udających się do świętego miasta.

Bogatych zbiorów z mojej poprzedniej podróży: kośćców, futer, okazów kamiennych, robót snycerskich z Lôu-Lau, ogółem 8 ciężarów wielbłądzych, nie chciałem oczywiście całymi miesiącami niepotrzebnie obnosić i wystawiać w ten sposób zdobyczy naukowych z dwóch lat na niebezpieczeństwa podróży, której końca nie można było przewidzieć. Miały one być transportowane na wielkiej drodze karawanowej przez Aksu do Kaszgaru. Islam Baj, jeden z mych ludzi, na którym można było polegać, miał je oddać w ręce głównego konsula Petrowskijego w Kaszgarze, następnie otrzymał pięć-miesięczny urlop celem odwiedzenia swej żony i dzieci w Osz'u, poczem miał wrócić, pójść z moją pocztą i pewną kwotą pieniężną do Ladaku i tam czekać mego przybycia z Tybetu.

Drugim zleceniem, jakie otrzymał Islam Baj, było zabranie mej olbrzymiej poczty do Kaszgaru. Najważniejszy list był wystosowany do lorda Curzon'a,

wicekróla Indyj. Prosiłem go o pozwolenie zaciągnięcia pożyczki w kwocie kilku tysięcy rupij (= moneta indyjska) w Leh'u, stolicy Ladaku; wzmiankowałem też o możliwości krótkich odwiedzin w Indiach w podróży powrotnej do Europy i prosiłem, żeby mi było wolno zabrać z sobą jednego z kozaków. Dnia 5 maja opuścił Islam Baj naszą główną kwaterę i z ośmiu wielbłędami, kilku końmi i sługami udał się na północ, później na zachód.

Trzy dni później stała główna karawana, która miała iść naprzód, w pogotowiu. Wszystkie ciężary, ośmdziesiąt kilka, leżały rzędem w uliczce przed bramą i teraz wkładano je wśród gorejącej spiekoty słonecznej kolejno na grzbiety zwierząt. Była to ogromna karawana, największa, jaką kiedykolwiek prowadziłem ku nieznanemu przeznaczeniu, największa, jaką kiedykolwiek pod przewodnictwem Europejczyka — w pokojowych zamiarach — wyruszała do środka Tybetu. Ustawiła się ona oddziałami i zajęła całą drogę przed „yamą“, gdzie rezydował chiński „amban“ albo naczelnik okręgu. Wpierw zakolysały się w żarzącym upale słonecznym moje własne skrzynie, potem następowały rzeczy moich ludzi, namioty i paki z futrami i rzeczami pilśniowemi, następnie rozmaite karawany żywnościowe, każdy oddział z własnym przewodnikiem.

Gdy powstały ostatnie objuczone wielbłądy, cały pochód ruszył z miejsca. Dwa źrebięta wielbłądzie towarzyszyły bez przeszkody swym matkom, spozieraającym na nie z lękiem. Najmłodsze źrebię zaś, liczące zaledwie dwa dni, owinięto starannie pilśniowemi derami i położono na mego starego wielbłąda wierzchowego. Matka, idąca za niem, ryczała zaniepokojona, szukając swego kocięcia, lecz uspokoiła się

niebawem, znalazłszy jego kryjówkę. Wszystkie zwierzęta były w doskonałym stanie: były silne i zdrowe. Konie były nawpół dzikie z nadmiaru siły i rzeźkości, zrzucały swoje ciężary i cwałowały naokoło. Na szczęście niosły tylko worki z żywnością, której takie traktowanie nic nie szkodziło.

Ogromny ten pochód, ruszający wśród bicia dzwonów, wśród krzyku, wołania, ryku i rżenia z naszej zacisznej zagrody w cieniu wierzb, przedstawiał wspaniały widok. Lustrowałem wszystko, stojąc przy drodze na uboczu. Ciężary skrzypiały na długich drabinkach ze świeżego drzewa, gdy wielbłądy długą jednochodą kołysały się naprzód. Uczułem się bogatym i szczęśliwym, że mi się udało, wszystkiego tego dokonać. Gdybym tylko potrafił, narzędzia tego należycie użyć, wówczas mogłem dla wiedzy ludzkiej zdobyć olbrzymie obszary tajemniczego kraju, stojącego teraz przed nami otworem.

Lecz gdy kurz wzniósł się gęstymi obłokami ponad garbate olbrzymy, które miały zamysły moje nieść przez największe góry świata, zdawało mi się, jakby żałobny całun pokrył wesoły pochód, jakby wojsko aniołów śmierci unosiło się nad karawaną.

Czernow został mianowany głównodowodzącym karawany, Turdu Baj dozorcą wielbłądów. Obaj otrzymali rozkaz udania się w górę przez Abdal i Tatlikbulak; po trzech lub czterech tygodniach mieli się zatrzymać nad brzegiem jeziora Kum-Kel'a i tam nas oczekiwać. Zabrali z sobą siedm psów i jelenia i mieli w Abdal kupić pięćdziesiąt owiec.

Gdy zniknęli pomiędzy sadami, seraj nasz leżał cichy i pusty, podwórza świeciły pustkami. Uczułem się samotnym i opuszczonym. Zyrkin był moim kamer-

dynerem, Li Loje kucharzem, a Molah Szah opiekował się mojami końmi. Z ludzi tylko tych trzech miałem jeszcze przy sobie, prócz nich zaś psa Joldasza, który mnie na krok nie odstępował.

III.

LAMA.

Dnia 13 maja była karawana, złożona z osłów, gotowa i wyruszyła pod komendą starego Dowleta, który zamierzał pójść krótszą drogą i zrównać się z główną karawaną. Moje wojsko było teraz rozproszone. Sam bawiłem w Czarchliku, karawana zaś posuwała się do Abdal'u, osły ciągnęły do Astin-tagu, Szagdur i Czerdon jeszcze nie wrócili z Karaszahr'u, a Islam Baj był w najsroźszym upale słonecznym na drodze do Kaszgaru. Zdawało mi się, że jestem jak wódz, który wypracował trudny plan wyprawy i wszystkie nici swego wojennego przedziwa trzyma w ręku. Chodziło tylko o to, czy wszystko będzie z sobą w zgodzie i uda się na czas.

Już następny dzień był dobrą wróżbą. Jeden z posłańców doniósł mi 14 maja o zbliżaniu się Burjatów. Posłałem im kurjera naprzeciw i kazałem Czerdonowi powiedzieć, żeby konno pogonił najkrótszą drogą za główną karawaną pod Czernowem.

Szagdur spełnił rozkaz bez zarzutu. Przyniósł z sobą całkowite mongolskie uzbrojenie i, co najcenniejsze, prawdziwego lamę, 27-cioletniego Szereb-lamę, rodem z Urga w kraju mongolskim; obecnie jednak należał on do świątyni przed bramą Karaszahr'u.

Miał na sobie czerwoną suknię kapłańską, podobną najbardziej do szlafroka, a w biodrach podtrzymowaną żółtym pasem; na głowie miał okrągłą chińską czapkę. Przyjąłem go oczywiście z największą uprzejmością, ażeby od pierwszej chwili się czuł jak w domu i zacząłem natychmiast odświeżać moją nieco zbladłą znajomość języka mongolskiego. Upłynęło zaledwie kilka tygodni, a już mogłem się z nim płynnie porozumiewać.

Lama, jak go krótko nazywaliśmy, stał się najbardziej zajmującą osobistością całej naszej gromadki. Niebawem powziął ku mnie największe zaufanie i zwracał się zawsze do mnie, gdy miał co na sercu. Wierność jego podczas wspólnej naszej podróży sięgała tak daleko, że po kilka razy wystawiał swe życie dla mnie na niebezpieczeństwo; prawdziwy cud, że go dla mnie nie stracił.

Podczas spotkania się w Kara-szahr oświadczył Szereb Lama natychmiast gotowość towarzyszenia burjackim Kozakom do Łazy, jako że w charakterze lamaistów mieli prawo zwiedzenia świętego miasta. Postawił jednak jako warunek, że żaden „Rosjanin“ z nimi iść nie może, inaczej sam nie mógłby się podjąć przewodnictwa — opłaciliby to swoją głową — i Szagdur zapewnił go, że żaden Rosjanin nie weźmie udziału w pielgrzymce. W drodze opowiadał Lama tyle o wspaniałościach Łazy, że Szagdur gorzał z chęci zwiedzenia tego miejsca. Wobec mnie oświadczył Lama, że mi wszędzie będzie towarzyszył, bo przeor jego klasztoru dał mu na to pozwolenie — tylko nie do Łazy, otoczonej już w odległości dziesięciu dni drogi jeźdźcami i strażnikami granicznymi, którzy

ściśle badali każdą zbliżającą się karawanę, a nawet każdego pojedynczego jeźdźca. Strażnicy graniczni przepuszczali tylko za okazaniem paszportu, badanego i zatwierdzonego poprzednio w Lazie.

W naszej zagrodzie było znów wesoło i wygodnie. Szagdur przywiódł z swą karawaną jeszcze dwóch towarzyszków: starego przyjaciela z roku ubiegłego, Erdeka, z kraju Lop, błagającego, by mógł mi towarzyszyć na koniec świata i Chalmeta Aksadala, rosyjskiego poddanego z zachodniego Turkiestanu, człowieka osiadłego w Korla, znanego mi od r. 1896.

Co mi Szagdur pozatem donosił, nie mogło mnie nastroić wesoło. Podczas zakupu koni i żywności w Korla oszukał go Islam Baj; radził mi teraz, bym zbadał, czy również nie zostałem okradziony. Nie rozumiałem go. Islam Baj oszustem? Islam, który mi wiernie służył przez pięć lat, który dzielił ze mną tyle niebezpieczeństw, dołę i niedolę, nieomal razem ze mną nie zginął w pustyni Takla-makan, którego obdarzałem zupełnem zaufaniem i który w r. 1897 za swą wierność i uczciwość otrzymał złoty medal.

Rzeczywiście okazało się, że Islam Baj rzetelnie nakradł, ale w ten sposób, że tego nie można było dostrzec w moich książkach rachunkowych. Poszkodowanymi byli nasi dostawcy, nie otrzymywali bowiem nigdy należytej sumy bez potrącenia. Każdemu, toby się śmiał uskarżyć, groził zastrzeleniem, dla tego też nigdy nie doszły do mnie napomknienia o jego oszustwach. Posłałem więc Chalmeta Aksakala, którego Islam Baj również oszukał, jako pospiesznego posłańca do konsula Petrowskijego; przybył on do Kaszgaru kilka tygodni przed Islamem. Ten został natychmiast

po swoim przybyciu aresztowany, jego bagaż zaś zbadany; następnie puszczono go znów na wolność, lecz tylko pod tym warunkiem, że nie prędzej się oddali z Kaszgaru, aż ja tam nie wrócę — rok później. Postarzał się tam i złamał, mimo wielu świadków jednak, którzy się pojawili na przesłuchy, nie można go było skłonić do wyznania winy. Odstawiono go do Osz'u i skazano na katorgę w Sybirze; udało mi się jednak uzyskać zmniejszenie kary na czternastodniowe więzienie; całkiem bezkarnie nie chciały go władze rosyjskie puścić. W Osz'u nie widziałem go i nie chciałem też już widzieć; dla mnie on już nie żył. Mógł teraz w swem mieście rodzinnem być szanowanym człowiekiem, a tak niewiernością swą zmarnował siebie i swą przyszłość.

W porównaniu z tem smutnem zdarzeniem, inne niepowodzenie, które nas spotkało w Czarchliku, było drobnostką. Dnia 16 maja przybyła tam karawana, złożona z dziesięciu mongolskich pielgrzymów z Tarbagataj i stanęła obozem w gaju przed bazarem. Szagdur i Lama spotkali ich już w Kara-Szahr i wiedzieli, że Laza była również ich celem. Nie mogliśmy wyruszyć tak, żeby o naszej obecności się nie dowiedzieli, a pozatem byłiby się domyślili, że jesteśmy w drodze do Tybetu. Bez wątpienia przybyliby pierwsi w okolicę Lazy i mogliby tybetańskie władze o naszym zbliżaniu się powiadomić. Musiałem temu bezwzględnie zapobiec. Gdy rychłym rankiem 17 maja opuszczaliśmy Czarchlik, zrobiliśmy wpierw wielkie koło w przeciwnym kierunku, zanim skierowaliśmy się ku północnym pasmom górskim Tybetu. Że ten podstęp niestety niewiele nam pomógł, miało się aż nazbyt wczesnie okazać.

IV.

PRZYBYCIE DO TYBETU.

Karawana, z którą wędrowałem przez północny Tybet, składała się więc z rosyjskiego Kozaka Zyrkina, burjackiego Kozaka Szagdura, Mongoła Szereb Lamy, mahometan Molah Szah i Li Loje, psa Joldasza i dwunastu koni. Piętrzące się przed nami góry przyciągały mnie jak zwykle swym wyniosłym majestatem, ku nim też skierowaliśmy się już drugiego dnia rano. Po jednostajnych podróżyach pustynnych, podjętych przeze mnie podczas ostatniej długiej zimy, należało teraz do niezwyklej rozkoszy, być w otoczeniu bezustannie zmieniającej się scenerji wspaniałego krajobrazu, słyszeć głos swój w odgłosie skał i czuć, jak się płuca napełniają powietrzem świeżym, czystym, wolnym od lotnego piasku.

Nad brzegiem wysoko wezbranej rzeki Czarchlik-su musieliśmy dzień odpoczywać celem oczekiwania dziesięciu osłów, wynajętych do niesienia aż do Kum-Kel'u ciężarów z ryżem, przeznaczonym dla koni. Po ich przybyciu jechaliśmy w górę doliną rzeczną, werzniętą głęboko w szary granit, gdzie często skały, podplóskane przez rwące masy wodne, wisiały nad nami nakształt ogromnych sklepień. Dowiedziałem się, że trzeba rzekę przebywać szesnaście razy i że należy być przytem bardzo ostróżnym. Pastuch, którego spotkaliśmy, nie dał nam żadnej pocieszającej wiadomości. Koń jego upadł w środku szumiącej wody, przyczem zaginął cały ciężar z chlebem, ryżem i odzieżą. Dno rzeczne pokryte było wielkimi, okrągłymi bryłami granitu, nad którymi wirowały szumiące, grzmiące masy wodne. Konie były w ciągłym niebezpieczeństwie

pośliznięcia się na śliskiej powierzchni głazów, a pomiędzy kamieniami równie łatwo mogły ugrzęznąć. Najwięcej niepokoju sprawiały mi skrzynie z przyrządami, aparatami fotograficznymi i płytami. Przez każdy bród przechodziło wprawdzie dwóch ludzi boso celem zbadania gruntu. Następnie dwóch ludzi przeprowadzało każdego konia z wielką ostrożnością. Przy jednym dojść wygodnym brodzie przyśniło się jednemu z obu mułów nie postępować za końmi; próbował przejść samowolnie tam, gdzie płynęła główna masa wody w głębokim łożu, został porwany przez prąd, pewien czas przez niego niesiony i wyrzucony na żwirową mieliznę. Kozacy rzucili się w ubraniu do rzeki i postawili zwierzę szczęśliwie znów na nogi, lecz ciężar z mąką i chlebem przepadł.

Czwarty dzień podróży zaprowadził nas w górę do przesmyku Jaman-dawan; sama nazwa budziła dla niego cześć, bo oznaczała „zły przesmyk“. Dolina, którą postępowaliśmy, ścieśniła się w wąski jar, a góra wznwyż była tak spadzista, że woleliśmy iść pieszo. Ciężary zsuwały się to raz na bok, to znów ku dołowi na kość ogonową i trzeba je było bezustannie poprawiać. Właściwy próg przesmyku był ostry jak nóż. Z kilku pobliskich szczytów patrzyło na nas stado archarisów (dzikich owiec), ich szczęście, że znajdowały się poza doniosłością strzałów kozackich.

Jeszcze jeden dzień drogi, a mineliśmy nieurodzajne zbocza gór i byliśmy teraz na wyżynie północnego Tybetu. Ciemne, ciężkie chmury przywitały nas na wstępie i wyładowały się co chwila deszczem i śniegiem — znaleźmy tego rodzaju powietrze z przeszłego lata.

W swej jak ogień czerwonej sukni, żółtym pasie i niebieskiej czapeczce Szereb Lama wyglądał jak dobry i uprzejmy duch. Po mongolsku rozmawiać mógł tylko ze mną i Szagdurem, lecz niebawem nauczył się też po turecku. Podczas długiej konnej jazdy bywał stale zamyślony; myślał z pewnością o tem, gdzie los tym razem zawiedzie jego dostojność kapłańską i stwierdzał zapewne, że dostała się w bardzo dziwne towarzystwo. Nadzwyczaj trudną rzeczą dla mnie było, wyjaśnić mu korzyść astronomicznych i topograficznych obserwacyj; w jego oczach byłem bardzo dziwnym człowiekiem. Lecz przekonał się niebawem, że my, przybysze, dobrze mu życzymy. Rzadko kiedy miałem gorliwszego, sumienniejszego nauczyciela języków od niego; pragnął, żebym się płynnie nauczył mówić jego ojczystym językiem, aby mógł potem bez przeszkód rozmawiać o rzeczach, które go szczególnie zajmowały.

Kiedy straszna burza zmusiła nas do zatrzymania się nad górnym Czarchlik-su, postanowiłem Lamę wtajemniczyć w swoje plany. Zarówno, jak się miały w przyszłości ukształtować, nie chciałem jednak, żeby mi kiedyś Lama mógł zarzucić, iż skusiłem go podstępnie do szalonych przygód. Chciałem mu zawczasu dać możność zawrócenia z drogi.

Dlatego zdradziłem mu już teraz, że moim niezłomnym zamiarem jest zwiedzenie z nim i Szagdurem Lazy w przebraniu mongolskiem.

W pierwszej chwili spoglądał na mnie w oniemieniu, następnie wyjąknął, że plan ten jest niewykonalny.

„Wam, Panie i Szagdurowi włos z głowy nie spadnie, nie odważą się, ale ja, jako lama przypłaciłbym

to głową. Jeżeli mnie nie zabiją, zwichną mi całą przyszłość; będą mnie uważali za przeniwiercę i zdrajcę, który zaprowadził Europejczyka do Laży. Dalaj-Lama, mongolscy pielgrzymi i chiński Amban nie są niebezpieczni, lecz pomnijcie na wszystkich Tybetan, pilnujących dróg do Laży i na wszystkich kapłanów w świątyniach, którzy mnie znają z czasów, kiedy studjowałem w wyższych szkołach duchownych“.

Gdym się nie dał odwieść od mego zamiaru, zauważył z pewną ustępliwością, że w takim razie będzie lepiej, jeśli cała karawana pójdzie wprost na stolicę Tybetu; wówczas uprzejmie, ale stanowczo kazanoby nam się cofnąć. Sam mógłby się wówczas przebrać za Turka tak, że żaden z jego przyjaciół nie miałby o jego przebywaniu wśród nas najmniejszego pojęcia. Sposób ten na nic mi się nie mógł przydać, gdyż oznaczałby tyle, co przedwczesne zrezygnowanie z właściwego celu podróży.

Tak sprzeczailiśmy się przez cały dzień i wreszcie zgodziliśmy się na to, że będzie nam towarzyszył w każdym wypadku aż do Kum-Kel, potem może, jeśli sobie tego życzy, zawrócić wspólnie z poganiaczami osłów, już nam wtedy nie potrzebnymi. Byłaby to dla mnie wprawdzie wielka strata, gdyż za wszelką cenę potrzebowałem tłumacza do języka tybetańskiego. Proponowałem mu więc takie wyjście, żeby został przy głównej kwaterze, ja zaś i Burjan pojedziemy do Laży; lecz takiemu wyjściu sprzeciwiło się jego poczucie honoru. „Ale nie mogę mego pana opuścić w chwili, kiedy mnie najbardziej potrzebuje“ — oświadczył mi. Lama był odważnym człowiekiem i później dał dowód prawdziwego męstwa.

Przez następne dni po naszej rozmowie siedział na swem głęboko wyciętem siodle mongolskim zamknięty w sobie. Podnosił podłe postępowanie Szagdura, że ten mu odrazu nie przedstawił całego planu podróży; zapewniałem go jednak, że Szagdur czynił tak na surowy nakaz, inaczej bowiem nie byłby się żaden lama w całej mongolskiej ziemi najął do tego, żeby Europejczyka zaprowadzić do Lazy. Od tego czasu nie minął żaden marsz przez dolinę, żaden wieczór, abyśmy nie mieli naradzać się i omawiać naszego planu. Szereb Lama przeżywał wówczas prawdziwe walki z swem sumieniem; wahał się ciągle pomiędzy swą powinnością jako lama, a życzliwością względem mnie. Uradziliśmy więc, odłożyć decyzję aż do naszego przybycia do Kum-Kel; tam miał wybierać pomiędzy bezpieczną celką klasztorną w świątyni pod Kara-szahr'em a niepewnemi przygodami w mojem towarzystwie.

V.

KARAWANA.

Dnia 5 czerwca stanęliśmy na zachodnim brzegu wielkiego słonego jeziora Kum-Kel i nie mieliśmy innego zajęcia, jak czekać na przybycie głównej karawany. Były to ostatnie spokojne wywczasy podczas całej naszej podróży. Od wschodu wiał silny wiatr, i tylko jednostajny szum fal nad brzegiem przerywał ciszę pustkowie. Odprawiliśmy teraz dziesięć naszych osłów z żywnością i ich poganiaczy. Pasza była tutaj tak niedobra, że nasze własne konie nam puciekały, a Mollah Szah miał wiele bieganiny, by je odnaleźć.

Z rosnącą niecierpliwością czekaliśmy na karawanę 2 czerwca, tak samo trzeciego; nie nadchodziła. Czwarty dzień czerwca był jasny i cudny. Konte pasły się daleko od obozu, ludzie spali w swym namiocie, tylko Lama, który zakochał się w mojej lunecie Zeissa, siedział przed moim namiotem i rozglądał się po okolicy w kierunku północnym. Nagle zjawił się z wiadomością, że widzi coś ciemnego, co z pewnością jest naszą karawaną, o której istnieniu miał dotychczas mętne pojęcie. I rzeczywiście: u stoków gór zarysowywało się sześć cieniusieńkich czarnych linii i mnóstwo punkcików. Byli to niewątpliwie nasi, lecz odległość była jeszcze tak wielka, że nie mogli widzieć naszych namiotów. Całemi godzinami obserwowaliśmy poruszanie się pochodu z wielkiem napięciem; posuwał on się ku wschodowi i musiałyby teraz zrobić zwrot, chcąc pójść w prostym kierunku na nas. Lecz oto zatrzymał się, i teraz linje rozerwały się na małe punkciki; posłałem do nich Mollaha Szaha, lecz długo wytrzymało, zanim punkty zwały się w jedną gromadę i karawana zaczęła się wprost ku nam posuwać.

Z czoła odłączyli się dwaj jeźdźcy i cwałem przyskoczyli do mnie; byli to Czernow i Czerdon. Donosili, że wszystko jest w porządku. Potem nadeszła karawana osłów z Dowлетem; za nią zjawił się przełęczniony Kulan, który jeszcze w ostatniej chwili w chmurze kurzu zdołał się uratować przed morderczymi zamiarami Kozaków.

Następował teraz Turdu Baj na czele swych tłustych, okazałych wielbłądów w białych „czapanach“ czyli płaszczach, które uszyli im mężczyźni po drodze w czasie odpoczynków. Trzy młode wyglądały nadzwyczaj komicznie, zwłaszcza gdy w swych białych

plaszczach żwawo, w podskokach biegły za starszemi. Nawet najmłodsze, miesiąc zaledwie liczące, podskakiwało, nie okazując najmniejszego znaku zmęczenia. Również jeleń czuł się dobrze; miał nadzwyczajny apetyt i zjadał więcej kukurydzy, niż tego można sobie było życzyć, ponieważ żółtą trawą uporczywie gardził.

Pochód zamykały konie z ciężarami i poganiaczami. Każda kolumna przechodziła przez główną kwaterę, gdzie otoczony Kozakami lustrowałem zwierzęta i odpowiadałem na ukłony przeciągających. Ciężary ustawiono w czworobok, jako ogrodzenie dla naszego żywego prowiantu tj. owiec, postępujących za nami i za oswojonym skopem trzodnym, Wańką. Ten służył już u mnie dwa lata, a był posłuszny i wierny jak pies, prowadził owce tak mądrze i rozumnie, że obywało się nieomal bez pasterza dwunożnego. Ze wszystkich zwierząt karawany, przeciągających obok nas, został po roku po przybyciu do Kaszgaru jedyny skop trzodny, Wańka.

Na przygotowania do głównego wymarszu na południe potrzeba było teraz jednego dnia wypoczynku. Kozacy zrobili mi w Czarchliku bardzo wygodną małą jurte, którą rozbiłem teraz na miejscu starej. Wybrzeże słonego jeziora podobne było do pełnego ruchu korsa (główniej ulicy) z jurtami, namiotami, pakami towarów gromadkami gawędzących mężczyzn około ognisk, poszczególnymi jeźdzcami i pasącemi się zwierzętami. Fale uderzały o brzeg, a świeży deszcz pluskał gęsto na nasze osiedle.

Nadeszła teraz chwila, w której Lama musiał powziąć ostateczne postanowienie. Pewna ilość mniej zdatnych osłów, których ciężary były spożyte, miała zawrócić. Mógł je więc odprowadzić. Zostawiłem

mu zupełną swobodę decyzji, unikając wszelkiej namowy. Jakże się ucieszyłem, gdy sam przystąpił do mnie, mówiąc, że zamierza mi wszędzie towarzyszyć, gdziekolwiek się zdarzy. Błagał tylko o jedno jako łaskę, żeby go nie zostawić na wypadek choroby; przyrzekłem mu oczywiście, że to nigdy nie nastąpi. Była to nieoceniona korzyść, że poszedł ze mną, gdyż inaczej nie wiem, jakbyśmy sobie byli dali radę w niezaludnionych okolicach Tybetu.

W końcu kazałem zwołać wszystkich mahometan, aby Turdu Baja obrać na „Fugaczi-baszi“ czyli głównego dozorcę wielbłądów, a Hamra Kula, wielkiego kościstego człowieka, na „All-baszi“ czyli głównego dozorcę koni. Jego szesnastoletni syn, Turdu Ahun, był u mahometan chłopcem do posyłek.

Tak zaświtał poranek, w którym zwołałem wszystkich ludzi, nie potrzebując już myśleć o skomplikowanych hasłach i ogniach sygnałowych. Z siodła wspaniałego siwego wierzchowca mogłem lustrować całe moje wędrujące mienie. Zwijanie namiotów, objuczanie zwierząt i wymarsz — wszystko to odbyło się prędzej, aniżeli się spodziewałem. Na czele szły wielbłądy w pięciu oddzielnych kolumnach, każda z swym przewodnikiem; pierwszą prowadził Turdu Baj. Z pośród wielbłądów kilka zasługiwało na wyróżnienie np. piękny, wielki ogier, który już 1896 r. towarzyszył mi w podróży przez pustynię Keriji i do Lop-nor'u. Chód jego był majestatyczny i spokojny; z rezygnacją spoglądał teraz na obnażone góry, które go zbyt wczesnie miały pozbawić życia. Nahr, ogier-dromedar, nosił wciąż jeszcze uzdę, by nie mógł gryźć; on także należał do weteranów i wędrował ze mną przez Gobi do Lâu-lau'u. Artan'owi, memu staremu wielbłądowi



Nasi trzej pielgrzymi przed namiotem.



Piramida z kamieni jako drogowskaz.



Zyrkin z moim starym towarzyszem podróży z r. 1896.

wierzchowemu, który niósł mnie ubiegłego roku przez pustynie północnego Tybetu, powierzano teraz stale dla jego niczem niewzruszonego spokoju skrzynie z najczulszemi przyrządami.

Konie i muły, ogółem 45, prowadzono również oddzielnie; obok nich postępowali poganiacze, uważając, żeby ciężary po obu bokach miały równowagę i się nie zsuwały. Trzoda owiec postępowwała wiernie za swym skopem trzodnym Wańką, i rzadko kiedy potrzebowała nadzoru. Ośm naszych psów biegło, wesoło igrając, a cała ta parada wydawała im się bardzo zabawną. Jeleń natomiast silnie zachorował podczas pierwszego dnia podróży tak, że musieliśmy go zabić. Osły, teraz ogółem 60, niebawem pozostały w tyle i nie dotarły nawet wieczorem do obozu. Szły one wszystkie na pewną zgubę; w najlepszym razie mogło z nich przypuszczalnie najwyżej kilka przetrzymać podróż. Ale także z koni miał tylko jeden jedyny dojść do celu wędrówki, do Ladaku!

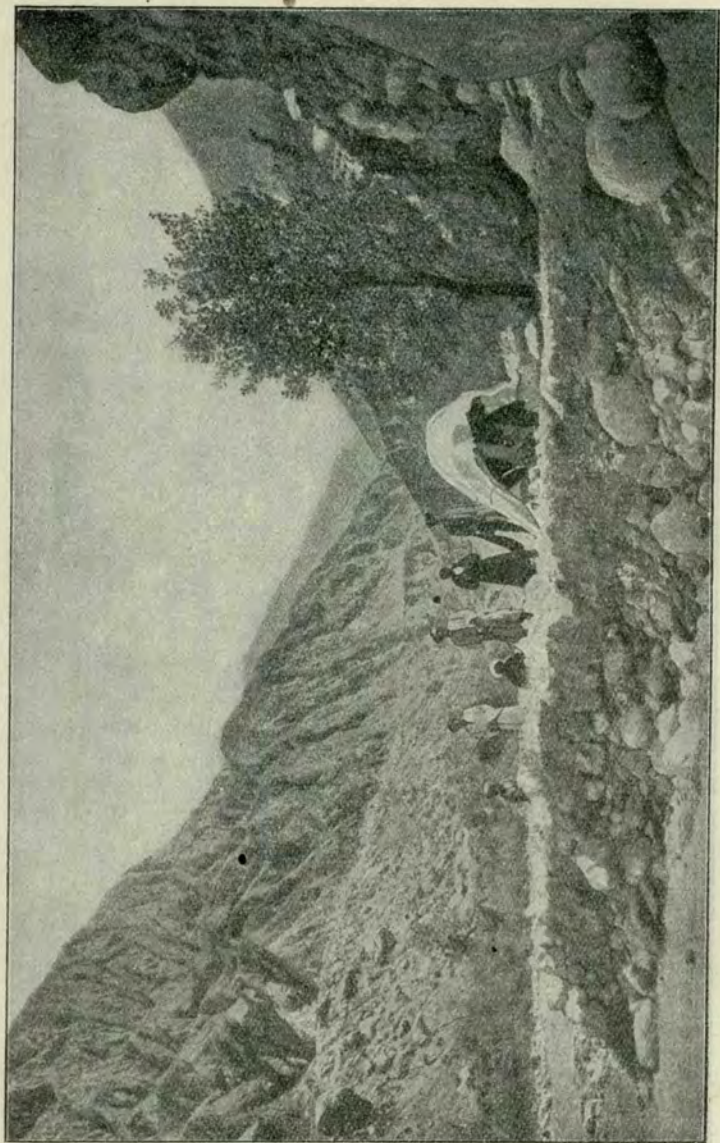
Długa karawana kroczyła bacznie i powoli wzdłuż niebiesko-zielonego jeziora, przedstawiając uroczysty, malowniczy widok; Kozacy w swych znoszonych już mundurach z kozuchami, do tyłu siodła przytwierdzonymi, mahometanie w swych barwnych czapanach i czapkach futrzanych, orjentalni poganiacze osłów, mający wiele podobieństwa do gromady włóczęgów, wreszcie duchowieństwo, reprezentowane przez Rozi Mollaha, uczonego Koranu, i Szereb Lamę, który teraz codziennie zdradzał mnie i Szagdurowi najdziwniejsze tajemnice świątyń świętej Lazy — wszystkich ogółem 30 ludzi i 144 jucznych zwierząt, i to wspaniałe wojsko było teraz na drodze zdobywania dla nauk geograficznych nowych terenów nieznanego Tybetu. Byłem

zupełnie świadom tego, że teraz spaliliśmy za sobą mosty i że ta wielka, wspaniała karawana w znacznej części, jeśli nie w zupełności, szła na zgubę. Lecz niechże się dzieje wola nieba — pomyślałem; na północ nic nas już nie odpędzi! Na południe i zachód wiodła nasza droga; nie chciałem prędeej spocząć, dopóki-
bym przynajmniej nie zrobił próby dotarcia do Lazy.

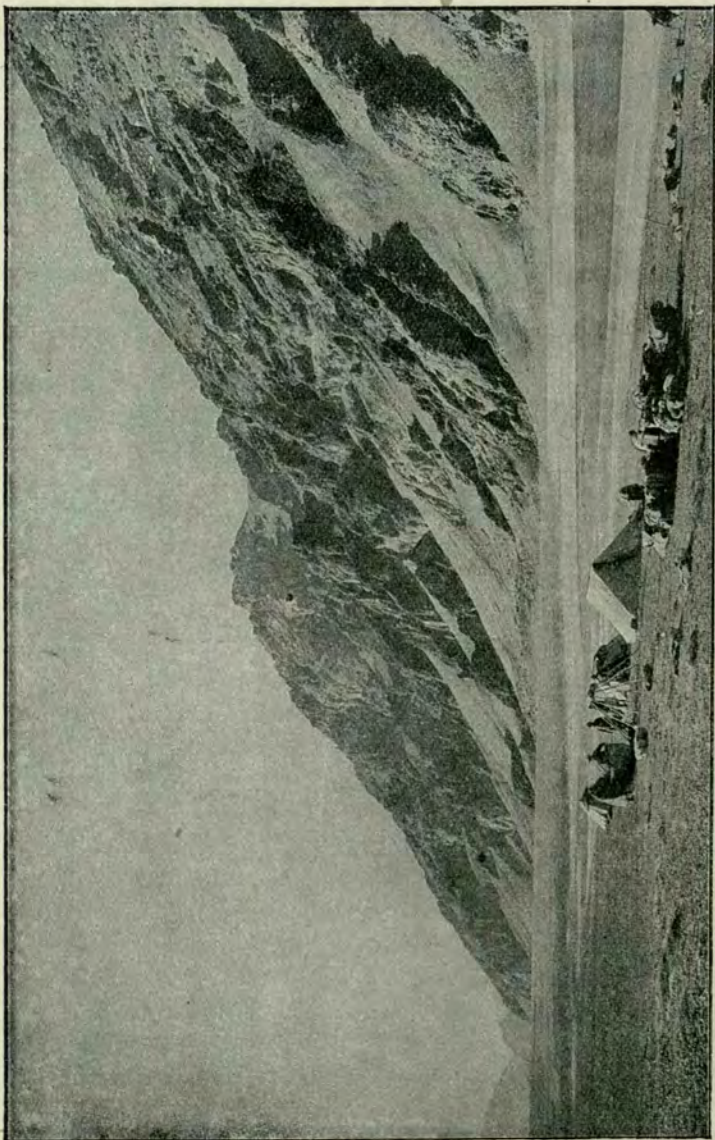
VI.

W OBOZIE.

Pierwszy dzień naszej podróży w zwartym pochodzie był nadzwyczaj uciążliwy; droga prowadziła w górę przez nieurodzajne wzgórza i głęboką rzekę, prawdziwy dół piekielny, na którego ceglasto-czerwonym dnie zwierzęta zaledwie się mogły poruszać. Wreszcie dostaliśmy się w dolinę, w której stromych, brunatno-czerwonych skałach wykute były fantastyczne wieże i mury tak, że zdawaliśmy się jechać wśród ruin jakiego starego miasta. O zmroku wszystkie zabiegi skupiały się tylko dokoła wynalezienia jako tako znośnego obozowiska. lecz oglądaliśmy się za niem napróżno; rozłożyliśmy się więc obozem w tak skąpej okolicy, jaką tylko można sobie wyobrazić. Na paszę i paliwo prawie że nie liczyliśmy, lecz nie było tu nawet wody. Na szczęście zaczęło o godzinie 9 silnie śnieżyć; porozstawiano wszystkie wolne naczynia, ściany płócienne rozpięto na ziemi i nazbierano tyle śniegu, że wody starczyło właśnie na szklanke herbaty dla każdego. Zwierzętom pozwolono się na-



Pierwszy obóz.



Obóz na drodze do Ladaku.

jeść kukurydzy do syta; osły bowiem nie mogły nam daleko towarzyszyć, a w takim razie było lepiej pozbyć się w ten sposób ich ciężarów, niż stracić kukurydzę. Dopiero rano przyszedł Dowlet z połową osłów; reszta dogoni nas, oświadczył, jeśli nie będzie nam zbyt spieszno.

Obóz nasz urządzaliśmy zawsze według ustalonego planu. Na jednym końcu pak towarowych miał Turdu Baj swój namiot, gdzie mieszkali też Hamra Kul, Mollah Szah i Rozi Mollah. Na tem samym skrzydle rozbijano też namiot, mieszczący w sobie kuchnię, moją i kozacką, gdzie Kuczuk sam rezydował. Był on pomocnikiem Czerdona, który aż do odwołania reprezentował mego marszałka dworu. Czernow był kucharzem Kozaków. Nasza kuchnia była więc oddzielona od kuchni mahometan, którzy pod żadnym warunkiem nie jedliby wspólnie z niewiernymi, gardząc garnkami, do których mógł się zabłąkać kawałek wieprzowiny. Kozacy zaś chcieli swoje garnki chronić przed mięsem z kulana, za którym się muzułmanie przepadali.

Następnie mieliśmy wielką, kopułową jurte, w której przebywali Zyrkin, Szagdur i Lama. Każdy z nich miał łożo, zrobione z kólder pilśniowych, kozuchów i poduszek, oraz skrzynię do swych rzeczy. Zyrkin był moim pomocnikiem przy wszelkich obserwacjach, a ponieważ umiał czytać i pisać, zwykł był wieczorami czytywać innym Kozakom z Przewalskijego opisów podróży po Tybecie, które zabrałem z sobą. Szagdur umiał się narazie oszczędzać po swej chorobie. Lamie zaś zabroniłem jako „doktorowi teologii“ zajmować się grubszymi robotami; miał mię tylko uczyć po mongolsku i później służyć jako ty-

betański tłumacz. Zakaz mój jednak wcale nie pomagał; Lama nie uważał żadnej roboty za grubą dla swych miękkich rąk, przywykłych tylko do świętych foljantów, zdejmował ciężkie skrzynie z wielbłądów i znowu je nakładał tak, że Turdu Baj z wesołym uśmiechem twierdził, iż niema nad niego lepszego pomocnika. Dlatego był Lama w karawanie nadzwyczaj lubiany i niemało podniecał ambicję mahometan, bo wierny nie mógł być przecież gorszym od „rozbójnika“, poganina, zjadającego wieprzowinę.

Dalej mieliśmy małą jurcję Czernowa i Czerdona, a na samym końcu przeciwległego skrzydła stała moja jurta, strzeżona przez Joldasza i Jolbarsa niekiedy zbyt gorliwie przed urojonymi wrogami, to jest przed naszymi własnymi końmi i wielbłądami, które w pobliżu spokojnie sobie chodziły.

Reszta ludzi karawany musiała się zadowolić mieszkaniem tymczasowym; położyli pilśniowe dery na ciężary wielbłądów i tam urządzali sobie legowisko. Jedzenie gotowali sobie przy różnych ogniskach, palących się w uliczkach i wolnych miejscach miasta obozowego. Kilku ludzi musiało całą noc pilnować naszych zwierząt i starać się o to, żeby się zbyt nie oddalały. W uciążliwej tej pracy zmieniali się, a Czernow uważał, żeby nie było przy tem niedbalstwa i niesprawiedliwości; czasami udawał się pośród nocy do trzód, ażeby się przekonać, czy pasterze nie spali. Zaledwie zatrzymaliśmy się na noc, rozkładano z wielką szybkością obóz; każdy miał wyznaczoną pracę, wszędzie panowały ruch i życie i trzy języki mieszały się z sobą: język turecki dżaggataj, rosyjski i mongolski. Stopniowo wszystko cichnęło, zwierzęta zaprowadzono na najlepsze pastwisko w sąsiedztwo, zbierano paliwo-

— argol t. j. mierzwę po jakach i kulanach — a następnie poszczególne grupy zabierały się do gotowania przy ogniskach. Jako cenny zapas drzewa opałowego mieliśmy na największą biedę mocne drabiny, do których przytwierdzone były worki z żywnością; równocześnie ze spożywaniem żywności stawały się one niepotrzebnymi i służyły wtedy do rozpalania niekiedy mokrej jeszcze mierzwy.

Łoże moje z der pilśniowych i futer rozścielano jak wszystkie inne na ziemi; siedząc na niem ze świecą przed sobą, wypracowywałem każdego wieczora naszkicowaną w ciągu dnia mapę, obliczałem przebyte przestrzenie i spisywałem notatki, z których również niniejsza powstała książka.

VII.

PRZYGODY PODCZAS MARSZU.

Dnia 8 czerwca musiał stary Dowlet zawrócić po osły, które zostały w tyle. Posuwaliśmy się teraz ku południowi nową doliną o czerwonej, miękkiej glinie. Niebawem był to tylko głęboko wierznięty jar, a długi czarny pochód wił się wśród jego zakrętów. Ale ziemia była coraz bardziej wilgotna i wielbłądy grzęzły w błocie coraz głębiej. Bezustannie dawały się słyszeć głosy upominania, jeden wielbłąd pośliznął się i upadł, jeden koń zrzucił z siebie ciężar, jednego muła trzeba było wyciągać z błota silnemi rękoma, jak korek z butelki. Wszyscy szliśmy pieszo. W pewnej kałuży ugrzązł mi jeden but i wpadłem w pończosze w błoto po kolano. Dwa wielbłądy tak się wkrótce zmęczyły,

że musieliśmy ich ciężary nałożyć koniom. Oby tylko droga nie była daremna! Lecz w końcu było rzeczą niemożliwą dalej iść w tym strasznym dole. Więc w prawo zwrot, marsz. Przestrzeń była tak ciasna, że każde zwierzę musiało się na miejscu obrócić, a czoło karawany zamykało teraz pochód. Odwrot z tej zdradzieckiej pułapki był jeszcze gorszy, bo grunt stał się przez nasze deptanie teraz jeszcze miększy.

Na zachodzie znaleźliśmy mały przesmyk, który nas oddzielał od lepszego terenu. Siedząc na progu przesmyku, widziałem całą naszą przeciągającą gromadę. Jednego ze zmęczonych wielbłądów z ledwością można było przedostać; musiało go pięciu ludzi krok za krokiem pchać w górę.

Tutaj znaleźliśmy wokół małego źródła bardzo dobre pastwisko. O 3 godzinie prześcignęła nas zachodnia burza ze śnieżycą, a wieczorem burza wschodnia. Siedziałem w kozuchu, schylony nad fajerką przy pracy, temperatura nocna spadła na — 13°. Piękne lato w kraju, leżącym tylko o 20 stopni szerokości bardziej na południu niż Berlin! Ale byliśmy też przeszło 4000 m. ponad poziomem morza.

Następnego dnia pieliśmy się śladem wywiadowców Mollaha, Szaha i Li Loje'go, badających odtąd codziennie kraj w kierunku południowym, w coraz wyższe krainy i obozowaliśmy na wzgórzu na lewym brzegu potężnej rzeki, której zakręty wypełnione były wielkimi bryłami lodu. Potok płynął w głębokiej dolinie, a obóz był położony 23 m. ponad jego dnem; wzgórze spadało stromo ku rzece, a ponieważ obawiałem się, że wielbłądy w swem mazgajstwie mogłyby spaść z pulchnego brzegu, kazałem je odprowadzić do bezpiecznej doliny.

Poświęciliśmy tu trzy dni na ponowne zaprowadzenie ładu w karawanie. Wielkiej części osłów naszej karawany nie było zupełnie. Wysłałem Czerdona z kilku końmi i mułami, żeby przynajmniej uratować ciężary z kukurydzą, co mu się też udało, gdy wrócił trzeciego dnia. Pozostałe w tyle osły los już osiągnął w jednym dniu zdechło z nich dziewięć, w drugim trzynaście; tylko kilka z nich pozostawało przy życiu, ale te były do niczego niezdatne. Jeden z dwóch wyczerpanych wielbłądów też już nie mógł dalej iść; podarowałem go kilku poganiaszom osłów, chcącym stąd zawrócić do domu, mieli oni nadzieję, że sprwadzą go w cieplejsze okolice i w ten sposób uratują.

W zwykłym porządku pochodowym szliśmy to nad brzegiem, to w łożu rzeczonym dalej ku południowi. Grunt był przeważnie twardy, tylko w kilku miejscach był zdradziecki. Nasz przewodnik Czernow niemal że nie utonął, koń jego literalnie przepadł się pod nim w błocie i tylko z największym wysiłkiem zdołano go wyratować. Wielki kawał drogi szliśmy górą na wysokim nasypie z gruzów. Na dole nad szumiącą rzeką odpoczywała gromadka dzikich gęsi, padł strzał, większa część uleciała, ale kilka zostało w błotnistych kępach, bijąc bezsilnie skrzydłami. Wówczas Erdek zsunął się z podziwienia godną śmiałością i zwinnością po nieomal pionowej ścianie, chwycił postrzelone gęsi jedną po drugiej i natychmiast je nożem dobijał. Gdy potem chciał do nas powrócić, nagle upadł jak długi i leżał na krzyżu nieruchomy. Czy umarł na udar serca? Posłałem natychmiast dwóch Kozaków na dół, którzy nim silnie trzęśli; wtedy podniósł się błędny, niebawem jednak mógł dosiąść konia, a za godzinę był znowu zupełnie zdrow. Pięcie się i bieganie w rząd-

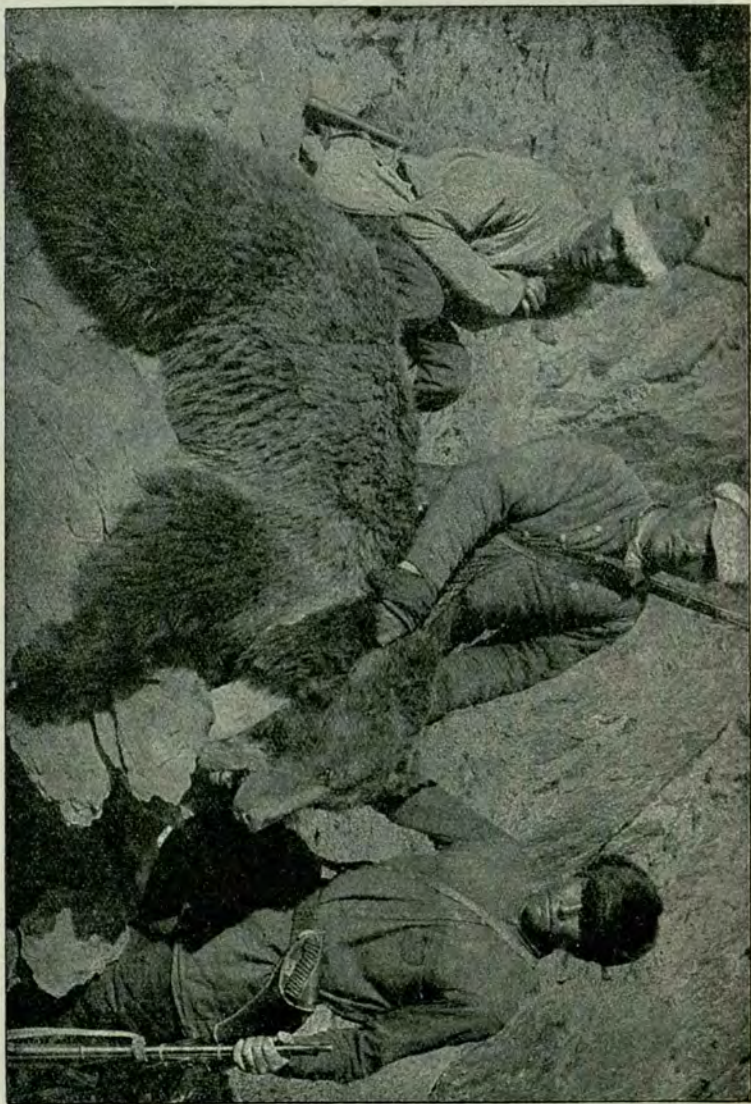
kiem powietrzu tak go zaatakowało; czyje serce i płuca nie są do tego przywykłe, powinien się w wysokich górach wystrzegać wielkiego natężenia.

Przed nami wznosił się pokryty śniegiem łańcuch gór; jedną jego otchłanną doliną zbliżał się strumień, który wylewając, utworzył potężną bryłę lodu; naokoło niej było pastwisko, zapraszające na odpoczynek. Namioty rozbito na brzegu lodu. Na przeciwległej stronie lodu leżało coś, co uważaliśmy najpierw za głaz. Ale nagle głaz ten zaczął się poruszać! Było to może śpiące ciele jakiego (wołu tybetańskiego)? W jurcie kozackiej słyszałem żywą rozmowę. Czernow wszedł do mnie po cichu i szepnął mi, pełen zdenerwowania: „Niedźwiedź!”

I rzeczywiście! Pan mysio zbliżał się całkiem spokojnie, silnie stąpając, ku naszemu obozowi. Prędko uwiązano psy i zaprowadzono za wzgórze. Przyglądałem się przez lunę zbliżającemu się kosmatemu samotnikowi, który, łapy ku sobie wykrzywiając, w swej niezgrabności wyglądał aż nazbyt komicznie. Kozacy siedzieli z odciągniętym kurkiem, szeroko otwartymi oczyma i policzkami, płonącymi zapalem myśliwskim. Lecz pan mysio musi być ślepi i głuchy, bo kroczy wprost w paszczę śmierci. Teraz doszedł do brzegu lodu, oddalony od nas zaledwie 200 m, namyśla się chwilę, włązi na lód i idzie po nim dalej, stale nosem po ziemi węsząc, jakby szukał kałuży słodkiej wody. Chód jego powolny, widocznie jest zmęczony. Chwilami przystaje i patrzy w górę doliny. Teraz znika w zagłębieniu lodowem i przez chwilę jest niewidzialny, widocznie znalazł wodę i nią się pokrzepia. Niecierpliwość Kozaków nie daje się dłużej poskromić; przynieść do domu szkielet niedźwiedzia, to rzecz aż

Tybetańscy pasterze w naszym obozie rozmawiają z Lamą.





Ubity niedźwiedz tybetański.

nazbyt nęcąca. Podkradają się aż do brzegu lodu. Teraz szare futro pokazuje się z tej strony zagłębienia. Pęc! trzy strzały padają jednocześnie. Zwierzę jednak nie zawraca, tylko pędzi w dzikim galopie mimo obozu w górę na najbliższe zbocze; lecz ucieczka była niemożliwa; konie stały już w pogotowiu, Kozacy pogonili za nim cwałem, nowa salwa odbiła się o góry, i zwierzę stoczyło się jak piłka po zboczach gór.

Gdy go uwieczniono w możliwie żywej pozycji na płycie, spreparowano jego szkielet. Był to prastary samiec, mający jeszcze kilka tylko zębów, żołądek jego zawierał nieco ziół i dopiero co zjedzonego świstaka, którego pan mysio zjadł z kośćmi i to w następujący sprytny sposób: żeby potrawę uczynić sobie jak najsmaczniejszą i żeby wygodnie było ją przełknąć, zdarł z swej ofiary skórę aż po pazury, połknął wprawdzie mięso i kości, tych z powodu złych zębów nie przegryzając; następnie zwinął sierść włosom na wewnątrz jak piłkę i tę pigułkę od razu połknął.

Następnego dnia panowała silna śnieżycą; prawdziwe góry śnieżne nagromadziły się w naszym wietrzonym mieście obozowym i naokoło niego tak, że musieliśmy tu pozostać. Lecz następnego dnia pogoda była wspaniała, a śnieg skrzypiał pod twardymi stopami wielbłądów. Przeszliśmy przez pewien przesmyk, znajdując po jego drugiej stronie małe jezioro, nad którym w wysokości 4733 m rozłożyliśmy się obozem. Ostatnie z towarzyszących nam osłów były teraz w tak mizernym stanie, że nie mogliśmy ich dalej z sobą wlec. Zwolniłem zatem Dowleta z dobrem wynagrodzeniem; ten poszedł znów na północ, z nim jego 5 poganiaczy osłów i trzech moich sług, bez których pomocy mogłem się teraz obyć tem bar-

dziej, że się wykazali jako niezbyt użyteczni. Zapakowano szkielet i futro niedźwiedzia i jelenia, i Dowlet otrzymał polecenie zawieść je do Kaszgaru, gdzie je rok później znalazłem nietknięte.

VIII.

MORDERCZA DROGA.

W znacznie zmniejszonej liczbie posuwaliśmy się dnia 21 czerwca dalej w górę. Arka-tag, który mi już w poprzednich wyprawach wiele sprawiał trudności, leżał teraz przed nami, i musiałem się teraz z mojem małem wojskiem powtórnie dobywać do jego niedostępnych okopów. Dolina powoli się wznosiła, grunt jej był twardy i tylko tu i owdzie skąpo porośnięty trawą. Trawą? nie, były to tylko małe, na cal wysokie, żółte jak słoma, twarde źdźbła trawy, podobne raczej do szczeci, niż do naszej trawy. Gdyby kto chciał w cienkich owijkach usiąść na wale, gdzie „trawa“ taka rośnie, podskoczyłby niespodziewanie szybko w górę! Było to jedyne pożywienie, którego niegościnnie ten kraj dostarczał naszym zwierzętom.

Dwie antylopy zostały ubite kulami Szagdura i Zyrkina. Ten w galopie popędził po swoją zdobycz, lecz zanim ją osiągnął, padł jego koń, przechylił się i zrzucił jeźdźca przez głowę tak, że ten przez chwilę toczył się po ziemi. Koń zabił się natychmiast, dostał porażenia sercowego albo złamał sobie kręgi. Zyrkin wrócił naturalnie bardzo przygnębiony, lecz zresztą z całemi członkami; zabity koń, piękne, silne zwierzę, był jego ulubieńcem; musiał się teraz zadowolić znacznie gorszym.

Jeden wielbłąd, który słusznie wszystkiego nie cierpiał, co się nazywało przesmykiem, pomimo że się mienił „stąpakiem“, pozostał w tyle, i Turdu Baj, który pozostał przy nim, wrócił wieczorem sam do obozu. Rano nakazałem dwom ludziom wrócić się i zabić wielbłąda, gdyby nie chciał dalej iść. Ale i oni wrócili sami; dopiero po kilku dniach, po drugiej stronie Arka-tag'u dowiedziałem się, że zostawili żywego, gdyż jak mówili, znaleźli go całkiem zdrowego, i żał im było go zabić. Może zwierzę to miało dość rozumu, by iść z powrotem śladem karawany i odnaleźć swoje spokojne pastwiska.

Tutaj na górze nie było już zupełnie znaków roślinności. Od czasu gdyśmy się pozbyli osłów, roztrwanialiśmy w zastraszający sposób nasze zapasy. Ciężary trzeba było bezwarunkowo zmniejszyć, i woleliśmy, zamiast je zmarnować, spasać niemi wielbłądy, które teraz każdego wieczora otrzymywały po jednym pszennym chlebie. Mój dawny wielbłąd wierzchowy, Artan, zachorował nagle na rodzaj tężca; cały jeden wieczór spędziłem na masowaniu zwierzęcia — ciężka praca na wysokości 5000 m ponad poziomem morza, lecz niedaremna: Artan wyzdrowiał i był jednym z ostatnich dziewięciu, które dotarły do Ladaku, ostatniej stacji mojej tybetańskiej podróży. Szedł zawsze na czele karawany i nosił jeden z największych dzwonek na szyi. Za każdym razem, kiedy jego dzwonek oddzwaniał swe przytłumione tynk-tank, wiedziałem, że o jeden krok byliśmy bliżej celu.

Dnia 22 czerwca rano było w obozie niespokojnie, bo oto teraz miało się rozpocząć właściwe zdobywanie wyżyn Arka-tag'u. Pochód począł się powoli posuwać w górę ku przesmykowi, poprzednio zbadanemu.

Lecz już w odległości rzutu kamieniem od obozu położył się jeden ze słabych wielbłądów; uwolniono go od ciężaru i miano go prowadzić nieobjuczonego, padł jednak poraz drugi na zboczu i był dla nas stracony. Jedno pchnięcie nożem wybawiło go, a jego ciemna, gęsta krew zebrała się w małym ścieku, zraszając nieuradzajną ziemię. Zwierzę leżało tak spokojnie, jakby się cieszyło, że wybiła dla niego godzina wyzwolenia.

Ruszyłem teraz szybko za karawaną, która mnie nieco wyprzedziła. Właśnie, kiedy się z nią zrównywałem, powstała burza, jedna z najdotkliwszych, jakie w Tybecie przeżyłem. Spadły masy gradu i śniegu; kostnieliśmy od zimna i napróżno staraliśmy się chronić przed siekącym północno-zachodnim wiatrem.

Samo pięcie się w górę nie było złe, lecz na takiej wysokości i w takiej niepogodzie było wstrętne. Wielbłądy stawały jeden po drugim, odmawiając posłuszeństwa; nie pozwoliłem zwierzęt bić, miały słuszość, jeśli strajkowały; wyprzęgnięto je i zostawiono z jednym stróżem. Dwa zostawiliśmy z ciężarami, by się później po nie wrócić; innym musiały konie pomagać w dźwiganiu.

Słońce stało na wysokim południu, lecz wokół nas panował zmrok. Śnieg formalnie nas zarzucał, wirując po dolinie; okolica naokół była biała jak kreda, jeden tylko strumień stanowił ciemną, wijącą się wstęgę, a jego szemranie dźwięczało metalicznie głucho w rozrzedzonym powietrzu. Schyliłem się w siodle ku przodowi, nie widząc nieomal, gdzie idziemy; postępowałem tylko za najbliższym dzwoniem karawany. Rozlega się ryk: „Tuga Kaldi“ (wielbłąd stanął!) krzyczy przewodnik; jeden z ludzi lituje się nad

zmęczonem zwierzęciem, prowadząc je wolno za nami ku przesmykowi; wśród śnieżnej zawiei tracimy go zupełnie z oczu.

Zaspy śnieżne były coraz wyższe. Żal mi było patrzeć na tę nędzę i słyszeć ją; jechałem z Lamą naprzód przesmykiem w górę, w owe zawrotne wysokości, tronuące ponad wszystkimi cierpieniami i uciechami ziemi, gdzie wespół z wiecznym śniegiem i wiecznymi burzami panuje wielka, obojętna cisza. Sam przesmyk nie był trudny do przebycia, lecz na wysokości 5200 m ponad poziomem morza i w głębokim śniegu był zabójczy! Okryci płaszczami, siedzieliśmy w nikłym schronieniu, które nam dawały konie, i czekaliśmy na drugich, trzęsąc się od zimna.

Tu na górze burza szalała całym swym rozpętanym gniewem. Łoskot jej przerwały wreszcie tęskne tony dzwonek i nawoływania ludzi; pierwsze ciemne cienie ukazały się z za chmur wirującego śniegu. Karawana przepełzła powoli mimo nas. Dzięki Bogu, naliczyłem 30 wielbłądów na 34! Dwa nie mogły dojść do właściwego wzniesienia przesmyku; dwa inne runęły tuż u jego stóp. Wśród nieobecnych było najstarsze młode z swą matką; umarli oboje razem. Konie, muły i owce trzymały się doskonale.

Południowe zbocze Arka-tag'u odsłoniło się stopniowo zupełnie, lecz ziemia była tu jedną wielką płaską zupą gliniastą, po której musieliśmy iść to linją zygzakowatą, to znów dalekimi drogami okrężnymi, aby nie ugrzęznąć w śnieżnym błocie; rozłożyć tu obóz było rzeczą niemożliwą, chociaż wszyscy byli śmiertelnie znużeni; tutaj pochłonęłaby nas ziemia przez jedną noc. Jeszcze po zapadnięciu zmroku szukaliśmy suchego miejsca, odpowiednio wielkiego

na obóz. O pastwisku i paliwie nikt nie myślał; któżby szukał czegoś podobnego tu, na krańcach bezkresnego, próżnego przestworza! Wreszcie znaleźliśmy twarde zboczne żwirowe, przez które woda prędzej się przesączała, i tam obozowaliśmy.

Turdu Baj i kilku innych nieobecnych nadeszli późną nocą. O świcie szukali z kilkoma końmi czterech zostawionych wielbłądów celem ich ratowania; gdyby się zaś to nie udało, zamierzali zabrać ciężary i słomianą wyściółkę siodeł. Lecz zwierząt nie dało się już ratować, jedno już nie żyło i leżało sztywnie i zimne u stóp przesmyku.

Pięć wielbłądów jednego dnia! Największa strata w zwierzętach, jaką kiedykolwiek poniosłem podczas moich wędrówek, nie wyłączając pustyni Taklamakan! Podczas jednego marszu zmniejszyła się karawana o siódmą część. Jak miały zwierzęta, pozostałe przy życiu, dać sobie teraz radę z ciężarami? Pozwoliłem więc zwierzętom jeść tyle kukurydzy, ile tylko chciały. Następnie maszerowaliśmy tylko 11 kilometrów do znośnego obozowiska, gdzie zamierzaliśmy po ostatnich trudach wypocząć. Jeden koń, po którym nic nie było można poznać, zdechł zupełnie nagle wśród namiotów. Tak więc smutna ta droga naznaczona była kośćcami kamieniami milowemi ze zbielełych kości! Na tym odcinku drogi nie było prawie dnia, w którymbyśmy nie zostawili po sobie grobu.

Należało więc opatrywać zwierzęta ze zdwojoną troskliwością, a Turdu Baj był w swych staraniach niestrudzony, spostrzegając natychmiast, gdy się źle działo z jakim objektem jego opieki. Gdy słaby wielbłąd płacze, to możemy być pewni, że zbliża się jego śmierć; ile to zwierząt, które nie mogły się już podnieść, wi-

działem roniących wielkie, jasne łzy! Dwa lata byłem już teraz w podróży; wiedziałem naprzód, że trzeci rok będzie najuciążliwszy ze wszystkich.

IX.

WYPOCZYNEK I ODWIEDZANIE CHORYCH.

Poranek św. Jana wstał wśród śmiejących się promieni słonecznych, więc całe towarzystwo z namiotami i pakami mogło się osuszać z wilgotności Arkatag'u. W ten sposób zmniejszyła się niemało waga ciężarów. Po śniadaniu gruntownie lustrowałem karawanę. Hamra Kul, dozorca koni, poważnie zachorował; otrzymał dozę chininy i wierzchowca. Przez Arkatag musieli bowiem wszyscy mahometanie iść pieszo, bo konie niosły ciężary straconych wielbłądów.

Mój wierzchowiec, piękne, kochane zwierzę, należał teraz również do chorych. Jak przeważna część mongolskich kapłanów, był też Szereb Lama zręcznym medykiem i miał wśród swoich pak pełną skrzynię mniej lub więcej skutecznych leków. Podjął się też wykurować mego konia. Otworzył mu żyły u obu nóg, obandażował je potem i prowadził zwierzę, wlokące się chwiejnym krokiem, do następnego obozu. Wśród najgwałtowniejszej burzy gradowej, która tam na swój sposób święciła wieczór świętojański, uprawiał swoją praktykę dalej. Po powtórnym puszczeniu krwi dał koniowi dłuższą kąpiel nożną w najbliższym strumyku. Prawdziwa ta końska kuracja musiała być rzeczywiście uzdrawiająca, bo koń w oczach się polepszał, poczynął

szczypać trawę i chrupał potem przez cały wieczór bardzo wesoło w swym worku z obrokiem, przyczem oczy błyszczały mu z zadowolenia. Zabraliśmy z sobą tak wielkie zapasy ryżu, że mogliśmy część zmieszaną z kukurydzą dawać koniom.

Pastwiska były wciąż jeszcze liche albo nie było ich wcale. Ślady zwierzyny widzieliśmy więc tylko rzadko; brak nam też było zwykłego paliwa. Jako drzewo opałowe służyły więc drabinki juczne z niezwykłych wielbłądów. Bez małej fajerki było rzeczą niemożliwą spełnić w namiocie najniezbędniejsze roboty.

Ostatnie dni czerwca nie przyniosły nam żadnych niepomysłnych zmian; teren był dość korzystny, pogoda piękna. Najwyższy przesmyk był wprawdzie 5337 m wysoki, ale cała karawana przebyła go szczęśliwie, wyjąwszy pięć wielbłądów, które zasłabły, a trzy trzeba było uwolnić od dźwigania ciężarów.

Oczywiście w każdym obozie była skrzynia z lekami w użyciu. Kilku pacjentów skarżyło się na ból głowy; otrzymali proszek antypirynowy, który pomagał, zanim jeszcze zdążyli go przełknąć — wskutek działania imaginacji. Turdu Baj cierpiał na ból w jednym oku, wyleczył się kilku kroplami kokainy i nie mógł się nadziwować jej uśmierzającej sile. Hamra Kul cierpiał na ból zębów — kilka kropel morfjum i był zupełnie zdrów. To sprowadziło Islama Ahuna z Czarchliku i Kalpeta z Keriji w taki podziw, że zapewniali również o swoim bólu zębów i, głośno narzekając, przyszli do wejścia mego namiotu. Ale znałem swoich ludzi, nalałem trochę herbaty na kawałek waty i przyłożyłem go do zęba; natychmiast uważali się za uzdrowionych. Poważnie chory był tylko Mahomet Pokta, człowiek

50-cioletni, należący do poganiaczy wielbłądów; narzekał na ból serca i bezsenność, dlatego otrzymał wierzchowca i zwolniony był od wszelkich robót.

Sama skrzynia z lekarstwami uważana była za cudotwórczy talizman. Skoro ją przyniesiono, wszyscy nie mający właśnie żadnego zajęcia zbierali się przed moją jurta i niejedno błagalne spojrzenie spoczęło podczas długich miesięcy podróży na jej blaszanem wieku. Dla siebie samego, dzięki Bogu, zawartości jej nigdy nie potrzebowałem użyć.

Jeśli nas wysokie góry nie zmuszały do okrążania, szliśmy teraz wprost ku południowi. Przyspieszało nam kroku pragnienie dojścia do niższych, cieplejszych okolic, gdzie się puszczała już miękka, zielona trawa. Tam miały wielbłądy odpoczywać cały miesiąc, inaczej wszystkieby wkrótce zmarniały. Chudły teraz z dnia na dzień coraz bardziej, bo żyły przeważnie własnem sadłem. Czy nam się uda dotrzeć do owych utęsknionych pastwisk, zanim będzie za późno? Zostały teraz tylko trzy wielkie miechy kukurydzy.

Rzadko kiedy przebywaliśmy teraz 26 kilometrów, jak 2 czerwca. Lecz na szczęście opady były w ostatnim czasie nieznaczne, a z powodu tego ziemia była tak twarda i sucha, że się nawet kurz unosił. Pomiędzy dwoma, błyszczącymi w słońcu jeziorami stąpała łania orongo z swemi młodem; Joldasz z łatwością je dogonił i zagryzł. Namówiłem Szagdura do ścigania matki, żeby kulą zakończyć jej troskę, lecz uciekła. Nieco dalej Zyrkin zastrzelił piękną antylopę, która, mimo że była raniona, broniła się swemi ostremi rogami uporczywie przed Joldaszem. Pozatem wszelkie polowania były surowo wzbronione; niczego nie wolno było zabijać, coby nie było konieczne potrzebne jako

pożywienie. Musieliśmy też oszczędzać naboju, których każdy Kozak miał jeszcze 142, gdyż nie mogliśmy wiedzieć, jakie przyjęcie, może już bliskie, zgotują nam Tybetanie. Jak łatwo mogliśmy się znaleźć w położeniu, gdzie nabita fuzja była jedynym ratunkiem!

Mała, słonawa sadzawka była otoczona nadzwyczaj dobrem pastwiskiem, zapraszając nas na wypoczynek; okolica była sielska, jeśli tak wogóle powiedzieć można o tybetańskiej okolicy. Najbardziej żywiołowa i najbardziej dziewicza natura otaczała nas ze wszystkich stron, o ile nagą gołą przyrodę nazwać można „naturą“. Całymi tygodniami, miesiącami byliśmy w tej części planety jedynymi ludzkimi stworzeniami.

Słońce zaszło, lecz jeszcze ociągała się jego odbijająca się na zachodzie zorza. Na wschodzie ukazał się na ciemno-niebieskim tle księżyc w pełni, blade-żółty i zimny, przyćmiony przejrzystą mgłą wieczorną, wywołując czarowne wrażenie. Wąska, czarna jak smoła chmura leżała pasmem wpoprzek płyty księżycowej, jak huśtawka na srebrnej kuli. Miało się wrażenie, że Saturn z swym pierścieniem tu się zabłąkał. Powietrze było tak spokojne, że mogłem swój późny obiad zjeść przy palącej się świecy na świeżym powietrzu i przy otwartych drzwiach. Lecz zaraz po godzinie 8-ej nastąpiła szalona burza; wszystkie inne hałasy zostały zagłuszone, tylko kiedyniekiedy, gdy wiatr nieco ustąpił, rozlegało się wołanie ludzkie.

Nasze wygłodzone zwierzęta szczypały trawę rozproszoną pod zboczami. Wielbłądy leżały wyczerpane, do siebie stulone, pod swojemi płaszczami przed namiotem Turdu Baja. Również oba młode tu się mieściły, pookrywane ciepło pomiędzy matką a drugim wielbłądem. Reszta zwierząt, czujących się jeszcze

na siłach, pasły się na polu w świetle księżyca, troskliwie strzeżone przez pasterzy i psy, bo było tu mnóstwo wilków, których tęskne wycie odbijało się o góry.

Z nowymi siłami ruszyliśmy dalej. Nowy łańcuch górski wznosił się przed nami. Z trudem wdarliśmy się na jego grzbiet, leżący na wysokości 5210 m. W kierunku południowym wzrok ogarniał wyżynę, przestrzeń, wymagającą przypuszczenia czterech dni podróży, ku północy natomiast, skąd przyszliśmy, gubił się w chaosie grzbietów górskich o najrozmaitszych barwach. Tu i owdzie jaśniały pasma wiecznego śniegu, a nad wszystkim wznosiło się turkusowe sklepienie niebieskie.

Dnia 4 i 5 lipca odpoczywaliśmy przy małym źródle, gdzie zabiliśmy trzy jaki i dwanaście kuropatw. My, ludzie, nie potrzebowaliśmy cierpieć niedostatku, ale konie i wielbłądy miały dzień za dniem gorzej. Musieliśmy żywić się przeważnie mięsem, by ryżu zaoszczędzić dla zwierząt; były już bowiem strasznie wychudzone. Czas był dla mnie wyruszyć do Lazy, żeby w czasie mojej nieobecności mogły przyjść do siebie. Na ten cel trzeba jednak było wyszukać odpowiednie obozowisko z dobrem pastwiskiem.

Następnego dnia nie było o zmroku całego stada owiec, powierzonych zbyt lekkomyślnie dowództwu Wańki. Powstało wielkie zdenerwowanie i wszyscy poszli na ich poszukiwanie. W tym wypadku musiały chyba wilki wyrządzić psotę. Podobne zdarzenie miałem już ubiegłego lata. Nie znalazłszy ich, wrócili ludzie z swej wyprawy zmęczeni i przygnębieni około 9 godzinie; chcieli jeszcze godzinę czekać, ażby wschodzący księżyc pozwolił im pójść za śladem

zwierząt. Wreszcie około północy powstał w obozie ruch; wszystkie owce się znalazły, leżały całkiem wygodnie w pewnym głębokim wąwozie. Głupie zwierzęta mogły swoją lekkomyślność drogo opłacić. Skop trzodny, Wańka, stracił teraz dowództwo nad stadem owiec, a na jego miejsce wstąpił dobroduszny Kalpet.

Na wywiady zwykłem teraz sam chodzić, zabierając z sobą Lamę, aby równocześnie ćwiczyć się w języku mongolskim. W miejscach, wyznaczonych przez nas na obóz, musieliśmy z każdym dniem dłużej czekać, bo karawana posuwała się coraz wolniej w miarę, jak zwierzętom opadały siły. I tak przebyliśmy 6 lipca dość wysoki przesmyk i dostaliśmy się na piaszczysty teren ze znośną trawą. Tym razem musieliśmy, gawędząc przy małym źródelku, czekać kilka godzin, zanim wreszcie dały się słyszeć dzwonki. Dwa wielbłądy zostały w tyle, lecz przyprowadzono je jeszcze wieczorem. Jeden z nich był moim starym towarzyszem podróży z r. 1896, z którego pomocą maszerowałem przez całą dolinę rzeki Kerija-darja, przez wielkie przestrzenie pustyni Takla-makan wzdłuż rzeki Tarim, do jezior Lop-nor i do Kara-koszun. Sprzedałem go wówczas w Czarchliku za bezcen i teraz, po pięciu latach kupiłem go znów drogo, lecz nie za drogo, bo uważałem go za przyjaciela, z którym wiązało mnie wiele dumnych wspomnień. Swojami błyszczącymi czarnymi oczyma, w tej chwili wilgotnemi od łez, przyglądał się teraz ziemi, przeczuwając zapewne, że znajdzie w niej niebawem swój grób. Szedł na drżących nogach, prowadzony przez Zyrkina, do aparatu fotograficznego — chciałem przynajmniej mieć jego podobiznę na pamiątkę nieocenionych usług,

które mi wyświadczył. Jeszcze trzymał się mężnie i zdawał się być zdecydowanym, nie wcześniej się poddać, aźby nie mógł ani jednego kroku dalej postąpić. Okazale i ze wzniesioną głową stał w swym białym płaszczu, spoglądając na swych dręczycieli; przeczuwał pewno, że się wnet z nami rozstanie. Po zdjęciu pozwoliłem mu wypocząć przed namiotem Turdu Baja, został wynagrodzony wielkim, pachnącym chlebem pszennym i odtąd nie miał dźwigać żadnych ciężarów.

X.

PIERWSI TYBETANIE.

Dnia 8 lipca przeszliśmy przez pagórkowatą okolicę, obfitującą w jaki i kulany. Lecz mimo że przebyliśmy nie więcej nad 14 kilometrów, dotarło do 33 obozu tylko 27 wielbłądów. Trzech brakowało, pomiędzy nimi weterana z r. 1896; następnego dnia przyszedł on z jeszcze jednym towarzyszem do obozu, trzeci wielbłąd natomiast został w drodze.

Tak dalej być nie mogło; trzeba było zmienić porządek marszu. Postanowiłem więc z lepszą częścią karawany w dłuższych marszach posunąć się ku południowi. Tylna straż składała się z Rozi Mollaha, Mollah Szaha, Kuczuka, Chodaj Kulu'a i Almasa z Czernowem jako szefem. Pozwoliłem im zatrzymać Malczyka, Hamrę, Kalmaka i Karę-Itta, cztery nasze psy i sześć z pozostałych dwunastu owiec. Czernow otrzymał rozkaz po kilku dniach w powolnych, krótszych marszach iść naszymi śladami. Zostawiono również ośm ciężarów wielbłądzich, nieomal wyłącznie

żywność. Całkiem mądrze to nie było, dzielić nasze wojsko właśnie teraz, kiedy zbliżaliśmy się do okolic, zamieszkałych przez ludność nam może wrogą, lecz było to konieczne, a i straż tylna była dobrze uzbrojona.

Po serdecznym pożegnaniu wyruszyliśmy dnia 10 lipca w drogę podczas ulewnego deszczu. Zaczynała się teraz pora deszczowa, mająca przypuszczalnie trwać pełne dwa miesiące. Opuszczony obóz z swemi słupami dymu niebawem znikł nam z oczu. Jechałem z Lamą naprzód i po odbyciu 23 km. znaleźliśmy odpowiednie obozowisko, gdzie też zatrzymaliśmy się celem oczekiwania naszej karawany. Z czasu tego skorzystało niebo i zmoczyło nas po raz wtóry. Otuliłem się derą z sierści wielbłądziej, stale zwiniętej za mojem węgierskiem siodłem polowem. Lama nie dbał o deszcz; usiadł z filozoficznym spokojem i przesunął pomiędzy palcami 108 pereł swego różańca, bezustannie szepcząc formułę modlitwy: „Om mani padme hum“ (o, klejnocie w kwiecie lotosu).

Również następny dzień zesłał nam więcej opadów, niż potrzeba. Burza huczała, grzmiać po dolinach, po niej nastąpiła nawałnica z gradem i śniegiem. Konie były niespokojne i strachliwe, a wielbłądy starały się odwrócić od wiatru, co wprowadzało w nieład ciężary. Skoro się tylko nieco rozjaśniło, odpoczywaliśmy trochę celem uporządkowania pochodu. Nie należało też do przyjemności włączyć wieczorem do wilgotnego łoża, rozesłanego na mokrej ziemi, na której można było pływać.

Mimo ustawicznych deszczów, wsiąkających w ziemię, było nam trudno znaleźć wodę do picia. Kałuża, przy której leżeliśmy, zawierała bardzo słoną wodę. Z dwiema miedzianemi konwiami poszedł Szagdur na

poszukiwanie źródła. Po chwili przybiegł całkiem zirytowany: został napadnięty przez wilka, mając do obrony tylko obie konwie. Teraz chciał zabrać fuzję i razem z Zyrkinem dać nauczkę napastnikowi. Widziałem też kosmatego, prawie białego wilka na grzbiecie pobliskiego wzgórza; uważał on jednak za najodpowiedniejsze prześladowcom zejść z oczu.

Szliśmy teraz dalej przez niskie grzbiety górskie, doliny i słone wody. Na jednym wzgórzu po prawej stronie naszej drogi pasł się samotnie ogromny byk. Myśleliśmy początkowo, że nie będzie potrzeba pozbawiać go życia, bo byliśmy w żywność dostatecznie zaopatrzeni; niechby jednak trochę uciechy sprawił Kozakom; poszczuto go więc psami. Te otoczyły go wśród dzikich podskoków, czekając do ochrypnięcia, trzymały się jednak w odpowiedniej od niego odległości. Tylko gałgan Joldasz uszczypnął raz po raz jąka z boku, gdy ten chciał Jolbarsa wziąć na rogi. „Jak“ tańczył z napastnikami w kółko, że aż ziemia przyskała w powietrze, dyszał, parskął, podnosząc swój wiechciasty ogon w górę. Wówczas nadszedł Turdu Baj z wyrokiem śmierci: potrzebujemy więcej mięsa, oświadczył. Psy zostały usunięte na stronę. Dwie kule świsnęły, lecz „jak“ nie reagował ani na nie, ani na odgłos strzałów. Stał przez kilka sekund nieruchomy; gdyśmy jednak powtórnie psy na niego puścili, wówczas wpadł w gniew, pobiegł w kilku skokach za nimi i popędził po zboczach na dół tak, że to dla mnie, stojącego z wielkim aparatem fotograficznym jakie 100 m. opodał, wydawało się niebezpieczne. Nagle jednak runął, toczył się przez chwilę w dół i zatrzymał się nieżywy.

W ostatnich dniach widzieliśmy na południu

ogromny łańcuch górski, którego śnieżyste szczyty kiedyniekiedy przeświecały pomiędzy mniejszemi wzgórzami, zasłaniającemi ów łańcuch. Przez to pasmo musieliśmy przejść za wszelką cenę, bo dopiero na południe od niego mogliśmy się spodziewać lepszego pastwiska dla naszej głównej kwatery, a także znaleźć mniej pożądane ślady ludzkie. Oczy wszystkich skierowane były ku wgłębieniu w grzbiecie tego straszego pasma, bo do przebycia niebotycznych przesmyków nie mieliśmy już prawie sił.

Dnia 15 lipca przeprawialiśmy się przez ogromną rzekę, rozgałęzioną w mnóstwo ramion. Wzgórza na prawym jej brzegu czerniły się od jaków — naliczyliśmy siedemdziesiąt pięć. W innym kierunku zobaczyliśmy coś, co uważaliśmy za samotnego wędrowca. Natychmiast zakomenderowałem: stój, bo nie byliśmy jeszcze przygotowani na przybycie obcych. Przez lunetę przyglądaliśmy się zagadkowej postaci. Lama zapewniał, że był to Tybetanin, zbierający mierzwę jaków, i sądził, że za nim widzi dwa czarne namioty. Czyżby wkońcu „jaki“ były oswojone? Te jednak zwęszyły karawanę i cofały się w najlepszym ładzie. Samotnym wędrowcem był Kulan, którego widzieliśmy w skróceniu, a namiotami nic innego, jak cienie.

Niedługo potem Jolbars wypłoszył młodego zająca, ten zginąłby z pewnością, gdyby nie był zmęczony psami szybkimi susami w lewo i w prawo i nie schronił się potem do małej nory. Lecz i tutaj nie był bezpieczny, bo Szagdur wywlókł go ręką i zawiązał w chustkę, którą zdjął z szyi, głaszcząc przelęknione zwierzę. Gdy karawana i wszystkie psy przeszły, rozwiązałem chustkę i puściłem go na wolność. Uciekał w lekkich susach i zdawał się być nadzwyczaj zdziwionym, że

z przygody tej wychodził cało; lecz jeszcze nie pobięgl daleko, gdy jastrząb, którego nie spostrzegłem, runął na niego. Gdy Szagdur dobiegł, już było za późno. Jastrząb zostawił swą zdobycz z wykolonemi oczyma na ziemi. Widocznie przeznaczeniem zajączka było, zginąć w żołądku Jolbarsa.

Obóz 38 rozłożono na lewym brzegu nowej rzeki, gdzie pastwisko było tak dobre, jakiegośmy dawno nie mieli, i gdzie mierzwy jaków na ogień było poddostatkiem. Turdu Baj i Hamra Kul otrzymali rozkaz by poszli na wywiady doliną w górę i stwierdzili, czy droga ta wiedzie do znośnego przesmyku. Tymczasem odpoczywaliśmy 16 lipca, a ja pracowałem w zupełnym spokoju w moim namiocie, gdy wtem rozległy się wrzaski i wołania; goniony przez Zyrkina i Szagdura niedźwiedź pędził wprost na nasz obóz. Zwierz jednakże zawczasu zwietrzył niebezpieczeństwo, wskoczył do rzeki, przepłynął ją, wlaźł na przeciwnym brzegu na pobrzeżny wał i uciekał dalej, ale również obaj konni Kozacy byli znowu tuż za nim. Zaledwo się jedno skończyło, gdy nagle z namiotu Czerdona padł strzał: wielki, biały wilk był zbyt natarczywy i musiał za to zginąć.

Gdy Kozacy wracali po jakimś czasie w dobrym kłusie, zauważyłem odrazu, że przychodzą z ważnem doniesieniem. Niedźwiedzia nie dosięgnęli, lecz podczas pościgu najechali wprost na obóz tybetański! Człowiek, uzbrojony w strzelbę, skrył się prędko za wzgórze, jego 20 jaków i kilka koni pasło się w pobliżu. Więc wczoraj widziane jaki były naprawdę oswojone! Kozacy natychmiast zawrócili, żeby bezwzględnie o tem [donieść. Lama był bardzo zaniepokojony. Dopóty nie było widać śladu człowieka,

wydawało mu się nasze zamierzone przedsięwzięcie czemś nieokreślonym, dalekim i niewyraźnym. Teraz zetknął się z rzeczywistością.

Co teraz? Tybetanie polowali zapewne na jakiego i niebawem mieli wrócić do domu; lecz nas już widzieli; gdybyśmy im ujść pozwolili, wówczas wiadomość o naszym przybyciu szłaby od ust do ust aż do Lazu, i przeszkadzanoby nam dojść do świętego miasta. Najlepszą rzeczą było do nich się przyłączyć, pozyskać ich zaufanie i przeszkadzać im o ile możności w rozprowadzaniu o naszym przybyciu. Prócz tego mogli nam udzielić bardzo ważnych wiadomości; byłoby rzeczą nieocenioną, gdybyśmy mieli przewodników, znajdujących drogę przez płataninę gór, leżących przed nami.

Szagdur i Lama otrzymali więc rozkaz bezzwłocznego udania się do obozu Tybetan, oddalonego od nas tylko 3 kilometry. Szagdur przebrał się szybko za Mongoła, którym też rzeczywiście był, a celem przekonania Tybetan, że mają przed sobą przyjaciół i uczciwych ludzi, dałem mu prócz herbaty i tytoniu jeszcze srebrną monetę na wypadek, gdyby mu się udało kupić od nich kilka koni. Tak zaopatrzeni przeprawili się obaj powtórnie przez rzekę i zniknęli za wzgórzami.

Wrócili za ciemności. Z obozu nic nie znaleźli, jak tylko dymiące ognisko, kilka czerepów i kopyta jaków. Ślady Tybetan szły na wschód; doścignąć ich było przy takim stanie naszych koni rzeczą wprost niemożliwą. Bez wątpienia maszerowali przelęknieni krajowcy całą noc i cały następny dzień, ażeby schronić się przed przybyszami, których przyłapali na polowaniu na niedźwiedzia.

Bezpieczeństwo i wygody mego obozu teraz się skończyły; nie byliśmy już jedynymi panami samotnych przestrzeni tybetańskich, byliśmy gromadą obcych przybyszów, którzy mogli się spodziewać nieprzyjaznego przyjęcia. Odtąd należało wystawiać czujne straże nocne, strzec pilnie zwierząt i jak najprędzej odszukać miejsca na główną kwaterę. Tylko Szagdur, Lama i ja, tak przecież postanowiłem, mieliśmy odważyć się na podróż do Lazy. Czerdon z swym karabinem magazynowym miał zostać w głównej kwaterze, wymagającej jak najsilniejszej obrony. Można się było spodziewać niebawem także Czernowa z tylną strażą.

Jeszcze jeden dzień pozostaliśmy w znamienym tym obozie celem uporządkowania naszego mongolskiego wyekwipowania, ażeby na wypadek nagłego oddzielenia się od karawany było wszystko w pogotowiu. O zmroku wrócili moi dwaj wywiadowcy; w kierunku południowym nie znaleźli żadnych poważniejszych przeszkód i pokazali nam teraz drogę doliną szumiącej rzeki, nigdy przez nas nieprzekroczonej, w górę. Ślady jaków były liczne, lecz zwierząt samych nie widzieliśmy; widocznie zostały przedniedawnym czasem spłoszone. Trzy razy napotkaliśmy na świeże ogniska, kilka ułożonych w koło kamieni z popiołem wewnątrz, co było znakiem, że okolica znana była z obfitości jaków. Ludzi nigdzie nie było widać. Jednego z naszych 18 wielbłądów musiałem zostawić w drodze, chociaż był znacznie tłustszy, niż jego towarzysze i wydawał się zupełnie zdrowym; lecz nie można go było skłonić do pójścia w dalszą wędrówkę. Kazałem więc na wzgórzu zatknąć tyczkę i na niej powiesić puszkę od konserw; w tę włożyłem kartkę z rozkazem dla tylnej straży: „Zostawiliśmy tutaj wielbłąda; gdyby go tu

nie było, idźcie za jego śladem, aż go znajdziecie.“
Może zwierzęciu samemu, gdy się lepiej poczuje,
przyjdzie na myśl, poszukać swych towarzyszy. Przed
wilkami było bezpieczne, bo te, jak twierdzą mahometanie,
nie napadają nigdy na objuczonego wielbłąda.

Dzień 20 lipca był uciążliwy, gdyż prowadził nas
w coraz wyższe, niegościnne krainy. Mieliśmy przejść
przez potężny łańcuch górski; grzbiet jego był zaokrąglony,
a przesmyk sam po obu stronach otoczony szerokimi
językami lodowcowemi, z których wypływały przezroczyście
potoki, rozmiękczające zdradliwie ziemię. Szalała wściekła
burza, idąc wprost przeciw nam. Poniżej lodowców
pasło się 300 jaków, podobnych do małego wojska,
cofającego się w miarę naszego zbliżania się. Przebiliśmy
się wreszcie ku progowi, gdzie przyrzędy wskazywały
wysokość 5462 m.

Na południu rozprzestrzeniał się kompleks gór;
w tym samym kierunku spływał potok, otrzymując
z obu stron dopływy, i rósł w okazałą rzekę,
wpływającą w kierunku południowo-wschodnim
do wyżłobionej doliny, która, jakeśmy się
spodziewali, zaprowadzi nas powoli w okolice
z coraz lepszą trawą. Tutaj ukazała się
dziwna formacja, t. j. dwa potężne pasma
lodu, ciągnące się po obu brzegach rzeki.
Że lód tu jeszcze leżał w połowie lipca,
powodem tego była częściowo absolutna
wysokość, częściowo zaś potężna ściana
górska, wznosząca się od południowej
strony. Prowadziłem karawanę 2 m. wysokim
pasmem lodowem wzdłuż prawego brzegu.
Niebawem jednak przerwa w lodzie
zmusiła nas do zatrzymania się i zejścia
z niego w samą dolinę, której środkiem
szumiała rzeka. W lodzie wyrąbano
wpierw siekierami

i łopatami drogę i posypano ją żwirem i piaskiem dla sprowadzenia wielbłądów jednego po drugim.

Tymczasem Szagdur, zbadawszy teren wzdłuż rzeki, powrócił do nas z oświadczeniem, że możemy jeszcze tylko iść 5 do 6 km., poczem pasma się kończą, a dolina zwęża się w wąwóz, w którym rzeka płynie z łoskotem w głębokim łożu, straszna pułapka, zwłaszcza gdy około południa rzeka wzbiera.

Więc należało przejść całą tę uciążliwą drogę z powrotem, a potem w górę doliną rzeki pobocznej, płynącej z innego przesmyku. Doszedłszy do jego stóp, mieliśmy dość drogi na dziś tem bardziej, że mieliśmy bezustanną zawieruchę i grad. Ażeby straż tylną uchronić przed niebezpieczną drogą okrężną, kazałem ułożyć kilka kup kamieni jako drogowskazy.

Następnego dnia, ja i Lama, dobre dwie godziny szliśmy do wstrętnego przesmyku i drugie dwie musieliśmy tam czekać na karawanę. Najzłośliwsza wyobraźnia nie mogłaby wymyślić wstrętniejszego terenu. Zwierzęta grzęzły za każdym krokiem w błocie. Deszcz padał naprzemian z gradem, rozmaczając ziemię jeszcze bardziej. Zbocze południowe było dziesięć razy gorsze. Jeden przewodnik musiał iść naprzód, konia swego prowadząc i badając teren. Turdu Baj pospieszał się, aby wielbłądy nie grzęzły zbyt głęboko. Niewiele to jednak pomagało: rozlega się ryk, postronek się zerwał, jeden wielbłąd jest bliski utonięcia. Kilku ludzi prowadzi inne zwierzęta dalej, z nieszczęśliwego zwierzęcia zaś zdjęto ciężar i postawiono wspólnymi siłami znowu na nogi. Wielbłądy grzęzły po kolana, otwory natychmiast się za nimi zamykały. Deszcz padał niemiłosiernie, a ciemne chmury nie przepuszczały nigdzie jasnego skrawka nieba. Jeden muł ugrzązł

i upadł; uratowano go tylko z wielkim wysiłkiem. Sami nieśliśmy na sobie masy błota aż powyżej cholewek. Kapało i ciekło z ludzi i zwierząt, a wszyscy ciężko i z trudem oddychali. Beznadziejny kraj! Ludzie uciekli przed nami, a żywiły sprzysięgły się, by nas zamęczyć na śmierć. Jakże tam powodzić się musiało na tej straszliwej drodze i w takiej niepoгодzie Czernowowi i jego tylnej straży?

Tuż u stóp przesmyku ugrzązł ostatni wielbłąd w błocie, rozdeptanem jeszcze bardziej przez drugie, i upadł. Jakby rozumiał, że tu chodzi o jego życie, wysiłał się rozpaczliwie, ażeby się uwolnić. Karawana tymczasem posunęła się znacznie naprzód, a Hamra Kul prosił mnie przez posłańca o pomoc i wskazówki. Posłałem mu na pomoc ludzi, lecz wrócili z wiadomością, że jest rzeczą niemożliwą, przynajmniej teraz wieczorem, wyciągnąć wielbłąda. Wtedy rozkazałem trzem ludziom, żeby w pobliżu spędzili noc i mieli dery, drągi, postronki i drabiny w pogotowiu; wczesnym rankiem, gdy zmarznie powierzchnia ziemi, mieli próbować, czy się nie da uratować wielbłąda; a był on jednym z najlepszych w karawanie. Lecz w ciągu nocy zwierzę coraz bardziej się zapadało; znaleziono je rano nieżywe i częściowo przymarzłe do tego przekłętą gruntu.

Ale wreszcie zeszedliśmy z zabójczych wyżyn do innej rzeki; brnęliśmy przez jej szumiące masy wody. Skąd i dokąd płynęła, trudno było dociec, bo śnieg i ulewny deszcz w bratniej zgodzie zasłaniały całą dolinę nieprzeniknioną mgłą; lecz z radosną lekkością uczuliśmy, że jej żwirowe dno utrzymywało ciężar zwierząt karawany, i wreszcie, śmiertelnie znużeni, zmoczeni do suchej nitki, rozłożyliśmy na prawym jej brzegu 43 obóz.

55
RUSZAMY DO LAZY!

Podczas jednodniowego odpoczynku, potrzebnego z powodu wielkiego zmęczenia karawany, zbadali moi ludzie okolicę. Kozacy znaleźli kilka kilometrów niżej w dolinie znakomite pastwiska na piaszczystych pagórkach. Natychmiast udał się tam Turdu Baj z wszystkimi wielbłędami, a za nim poszedł Hamra Kul z swoim oddziałem karawany.

Teraz powziąłem postanowienie. Nowoodkryte pastwisko miało być miejscem postoju naszej głównej kwatery. Był czas wyruszyć do Lazy; moi ludzie słyszeli podczas rekonesansu w oddali strzały. Szagdur zaś znalazł gliniany dzban, który jednak, jak zapewniał Lama, nie mógł należeć do koczowników, nie noszących tak wielkiego ciężaru z sobą; prawdopodobnie zostawili go tu strzelcy jako stały punkt dla przyszłych wypraw. Więc i tu mieliśmy sąsiadów. Przyjaciół czy wrogów, któż to mógł wiedzieć?

Dnia 24 lipca jechaliśmy doliną w dół. Nastrój był poważny, bo miało teraz nastąpić pełne następstw rozstanie. Czy zobaczą jeszcze moich ludzi, wielbłądy i konie, mających pozostać w głównej kwaterze?

Dolina znacznie się chyliła, rzeka płynęła z łoskotem i szybkim prądem, pastwisko stawało się po obu brzegach coraz lepsze, w tym miejscu zwłaszcza, które Kozakom wydawało się odpowiedniem na obozowisko, było wprost bujne, szczególnie na wzgórzach, opromienionych południowem słońcem. Wysokość jednakże wynosiła 5127 m — wieża Eifel na szczycie Montblanc, lecz bardziej południowej szerokości. Ze stanowiska strategicznego miejsce to nie było korzy-

stne dlatego, że otaczały je wszystkie bliskie wzgórza i nie można go było skutecznie bronić, gdyby tybetańska horda odważyła się je napaść.

Jeszcze dwa dni pozostałem w obozie 44, aby wszystko przygotować do wymarszu. Pięć mułów i cztery konie, które zamierzałem zabrać, opatrywano ze szczególną troskliwością, odżywiając ostatnimi zapasami kukurydzy, podkuto dobrze i naprawiono ich siodła i dery.

Dwie mongolskie skrzynie zawierały nasze rzeczy. Ażeby nie przerywać swych geograficznych obserwacji, zabrałem też kilka małych przyrządów; dalej małą kamerę, trzy pary okularów śnieżnych, materiał piśmienny, brzytwę oraz mydło, bo teraz trzeba było nam głowy zupełnie ogolić; inne przedmioty toaletowe nie były nam potrzebne, przeciwnie należało nam teraz jaknajbardziej się zbrudzić, ażeby dostać prawdziwie mongolskiej cery. Nożyczki, latarnia, toporek, tuzin świec stearynowych, kilkanaście pudełek z zapalkami, fajki, tytuń i 10 jambów srebra (2000 mk. przedwojennych), wszystko to stanowiło najpotrzebniejsze wyekwipowanie. Nasza żywność składała się z mąki, ryżu, talkanu i mięsa, prócz tego kilka konserw na pierwsze dni; każdą wypróżnioną puszkę konserw trzeba było gdzieś zatopić w jeziorze lub rzece, ażeby ich nie znaleźli krajowcy, by wogóle nie budzić podejrzenia. Rosyjski karabin magazynowy, karabin Berdana i szwedzki rewolwer oficerski, każda broń zaopatrzona w 50 naboí, stanowiły nasze uzbrojenie.

Pozatem wyekwipowanie nasze było zupełnie mongolskie. I ja nosiłem teraz na szyi różaniec i „gawo“ t. j. futerał amuletowy z bożkiem; u pasa

zwisał nóż, w którego pochwie urządzone były kieszonki na chińskie patyczki z kości słoniowej, używane w czasie jedzenia, dalej krzesiwo, lont, worek z tytu- niem i długa fajka. Wszystkie naczynia, garnki, dzbany, miski i filiżanki były czysto mongolskie. Każdy z nas miał ubranie rezerwowe. Najmniejszy i najlżejszy namiot był naszym mieszkaniem, a Lama uszył z grubej białej wełny ogromny płaszcz dla straży podczas deszczu. Zegarek, kompas, aneroid i termometr przechowałem w skrytych kieszeniach, któreby tylko nadzwyczaj zuchwały badacz mógł znaleźć. Mnóstwo przedmiotów europejskiego pochodzenia ukryłem w jednej skrzyni pod żywnością; w ostatecznym razie można je było również zatopić.

Na głównodowodzącego w głównej kwaterze mianowałem Zyrkina. Lecz Turdu Bajowi jako rzeczoznawcy przysługiwało prawo proponować wyruszenie do innych pobliskich pastwisk, gdyby trawa dokoła obozu była spasiona. W tym wypadku miał Zyrkin zostawić w obozie 44 w kupie kamieni dokument napisany po rusku, żebyśmy, powracając, mogli ich odnaleźć.

Potem wydałem Zyrkinowi potrzebne rozporządzenia: „Gdybyśmy w 75 dniach nie mieli powrócić, to zginęliśmy; wówczas pójdziesz z karawaną do Czachliku, a stąd do Kaszgaru.“ Nie obawiałem się tego, że nas Tybetanie zamordują, lecz musiałem być przygotowanym na wszystko, a przynajmniej moje mapy i rysunki miały cało powrócić do domu. W końcu zamknąłem całą resztę moich skrzyń na klucz, lecz dałem Zyrkinowi kluczyk do skrzyni z pieniędzmi, żeby w razie potrzeby mógł w Czachliku nową karawanę wyekwipować celem powrotu do Kaszgaru.

Wieczorem doniesiono mi, że w sąsiedzkiej dolinie widać świeże ślady pieszych i konnych Tybetan; ostatniej nocy także psy w tym kierunku strasznie ujadły. Ludzie w obozie szeptali sobie na ucho, że jesteśmy strzeżeni przez spiegow, a furje, krążące nad obozowiskiem w postaci kruków, wyglądały tego wieczora wstrętniej niż poprzedniego. Trzech moich ludzi wpadło na szalony pomysł zawrócenia, i tylko z trudem zdołałem ich od tego zamiaru odwieść.

Tak więc po raz ostatni w warunkach „cywilizowanych“ wlałem do łóżka, spałem długo i dobrze, aż mnie Szagdur rano 27 lipca zbudził do pełnej niebezpieczeństw podróży.

Ubieranie odbywało się szybko, i w kilku minutach byłem zupełnym Mongołem. Długi ciemno-czerwony kaftan był miękki i wygodny; wkoło ciała miałem żółty pas, a na głowie małą żółtą czapkę z wywinętymi rogami. Do niezgrabnych butów mongolskich przywykłem już od dwóch tygodni; w górę sterczące czubki i grube podeszwy znakomicie się nadawały do chodzenia na miękkim, mokrym gruncie. Nawet moje wysokie siodło mongolskie z drewnianem rusztowaniem i miękką wyściółką było wygodne, a szerokie, krótkimi rzemieniami przytwierdzone strzemiona nadawały kolanom właściwego zgięcia. Za siodłem miałem zwinięty żółty kozuch owczy; narazie go nie potrzebowałem, bo słońce świeciło dziś wesoło i ciepło.

Gdy nasza mała karawana, złożona z czterech koni, pięciu mułów i dwóch psów, Maleńkiego i Jolbarsa, była gotowa, dosiedliśmy koni i odjechali.

Dobrzy mahometanie zaczęli zawodzić i lamentować, jak gdyby chodziło o pogrzeb. Nie spodziewali

się, że się kiedyś zobaczymy. Tylko Erdek towarzyszył nam przez pewien czas; miał nam tej nocy strzec zwierząt, a później zostawić nas naszemu losowi.

XII.

NOCNY NAPAD.

Jechaliśmy teraz szybkim kłusem w dół rzeki, na której brzegu tu i owdzie widać było wypaleniska w postaci trzech okopconych kamieni. Również całkiem zeschły, zastrzelony przed niedawnym czasem „jak“ świadczył o odwiedzinach ludzkich; wczoraj lub nawet dziś musiał tu być niedźwiedź, który padlinę odwrócił.

Przybyliśmy do wielkiej, otwartej doliny i obozowaliśmy nad małym czystym źródelkiem z dobrą trawą; nazbierałem nieco paliwa i zapaliłem ogień, drudzy tymczasem rozbili namiot i opatrywalizwierzęta. Jedliśmy całkiem po mongolsku: zapomocą rąk, chińskich patyczków i małej mongolskiej filiżanki; trzeba się teraz było koniecznie przyzwyczaić do nowej roli. Dlatego pakunki nasze zupełnie nie zawierały sprzętów zbyt kownych, jak widelca i łyżki. My trzej pielgrzymi kładliśmy się wcześniej do snu, Erdek zaś pilnował nam zwierząt. Księżyc oświecał spokojną okolicę, co za szczęście, żeśmy podczas tych nocy mieli jego światło!

Następnego dnia Lama był tak chory, że ledwie się mógł utrzymać na siodle. Dlatego Erdek towarzyszył nam jeszcze przez jeden dzień. Na szczęście pacjent nasz wyzdrowiał podczas 40 kilometrowej jazdy,

tęgo dnia odbytej. Grunt był twardy i świetny. Śladów ludzkich dzisiaj nie spostrzeżliśmy, zato setki jaków i kulanów. Kiedyniekiedy wjeżdżał jeden z nas na wzgórze, aby przez lunetę rozpatrzeć się w okolicy.

Na małym przesmyku pomiędzy jednym, słonem, a drugim mniejszem, słodkim jeziorem rozłożyliśmy nasz drugi obóz i przy ognisku radziliśmy nad dalszą podróżą. Lama barwnie opisywał, z jaką surowością władze tybetańskie w Nakczu, 220 km na północ od Lazy, badają wszystkich mongolskich pielgrzymów. Postanowiliśmy więc miejscowość tę zupełnie ominąć i dopiero na południe od niej wejść na drogę do Lazy, gdzie mogliśmy wśród mnóstwa pielgrzymów łatwiej zniknąć.

Tęgo wieczora odbyła się tragikomiczna przemiana mego zewnętrznego człowieczeństwa. Szagdur jak barbarzyńca nożycami gospodarował w mych włosach, poczem resztki ich mocno namydlił, a Erdek rzucił się na nie z brzytwą; po chwili głowa moja świeciła się jak kula bilardowa. Gdy następnie obciąłem sobie wąs, uważali moi towarzysze pielgrzymki, że zaczynam wyglądać nieco przyzwoiciej. Na pociechę przedstawiałem jeszcze pewne podobieństwo do popiersia Cezara, lecz i ta radość niedługo trwała. Z miną znawcy Lama gmerał w swych workach z lekami i namaścił mi teraz twarz owczem sadłem, sadzą i brunatną maścią; potem przyglądał mi się, głowę lekko na bok skłoniwszy, z pewnego oddalenia i oświadczył: „Je sen bane“ (bardzo dobrze) — sąd, którego nie mogłem podzielać, gdy się przejrzałem w zwierciadlanem wieczku mego zegarka. Czy ten otłuszczony, świecący, brązowy, gładko ogolony mongolski pawjan miał być identyczny z moją osobą?

Stopniowo szminka zasychała, nabierając od kurzu i wiatru brudno-szarego tonu. Za każdym razem, gdy się śmiałem lub w jakikolwiek sposób ściągnąłem mięśnie twarzy, skóra mnie strasznie paliła. Lecz miało nam niebawem zabraknąć powodu do śmiechu; był on od tego czasu rzadkim gościem karawany.

Nasz dzisiejszy nocleg miał się odbyć na płaskim i otwartym pasmie pomiędzy jeziorami, tylko na południowym wschodzie wznosiło się kilka niskich pagórków. Śladów człowieka nie było tu widać, a psy zachowywały się zupełnie spokojnie; okolica wydawała się całkiem bezpieczną. Około 5 godziny powstała silna północna zawierucha, która całe chmury piasku i kurzu nagnała na jezioro i obóz. Siedzieliśmy więc w namiocie, gawędząc i paląc tytuń, a o godzinie 8-ej nie mieliśmy lepszego zajęcia nad spoczynek. Erdek miał przez całą noc w odległości dwustu kroków na zachód od obozu pilnować naszych zwierząt, żebyśmy się jeszcze raz, ostatni raz na długi przeciąg czasu mogli wyspać; rano miał na jednym z czterech koni wrócić do głównej kwatery.

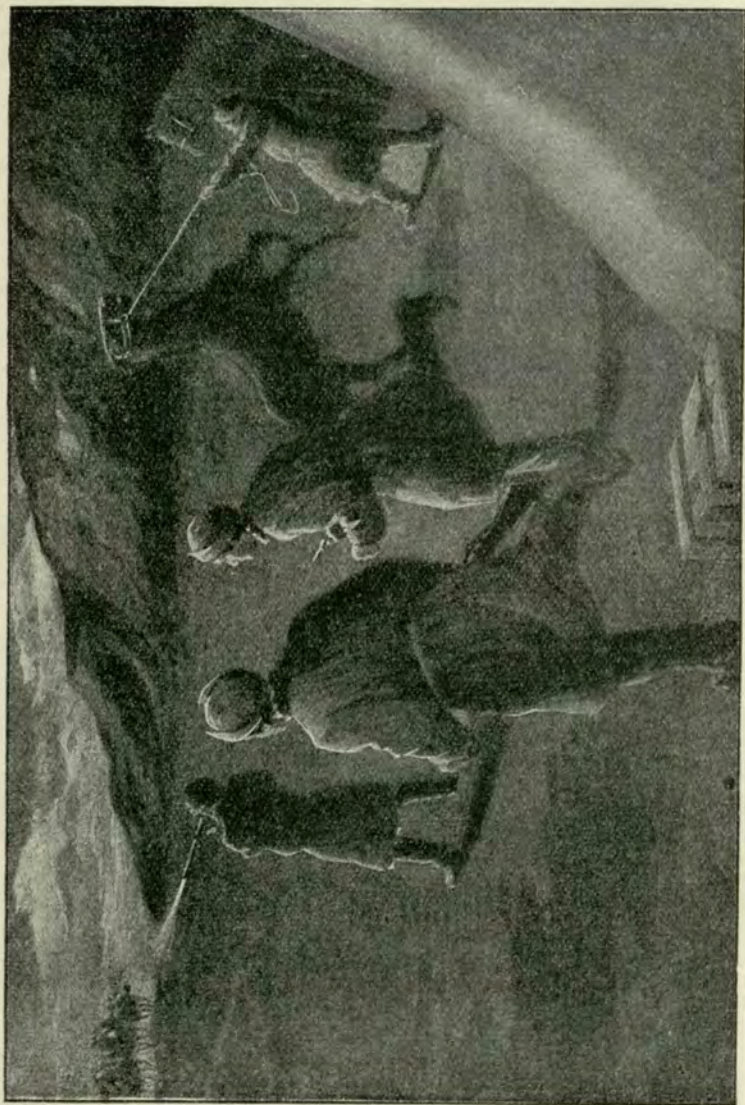
O północy odsłonięto namiot; Erdek, pelzając na czterech, włożył do namiotu głowę i szepnął drżącym głosem: „Był człowiek!“ Natychmiast chwyciliśmy za broń i pognali w ciemną noc. Zawierucha szalała z niesłabnącą siłą, księżyc świecił przytłumionym blaskiem z poza szybko pędzących, poroźdieranych chmur. Erdek zaprowadził nas do najdalej pasących się koni, pomiędzy którymi widział wążęjącą się jakąś ciemną postać. Na jej widok bohater nasz zupełnie stracił głowę i, zamiast podnieść wrzask, przybiegł do nas do namiotu. Dlatego przybyliśmy zapóźno. W przytłumionem świetle księżycowem zoba-

czyliśmy jeszcze, jak dwaj ciemni jeźdźcy, popędzając przed sobą dwa wolne konie, cwałowali przez wzgórze. Szagdur strzelił do nich, lecz oczywiście bez skutku. On, Erdek i Lama szli za śladem, ja zaś zostałem przy reszcie zwierząt, które mogły być otoczone przez całe gromady rozbójników. Po godzinie wszyscy trzej wrócili, nie znalazłszy oczywiście w ciemności nic podejrzanego.

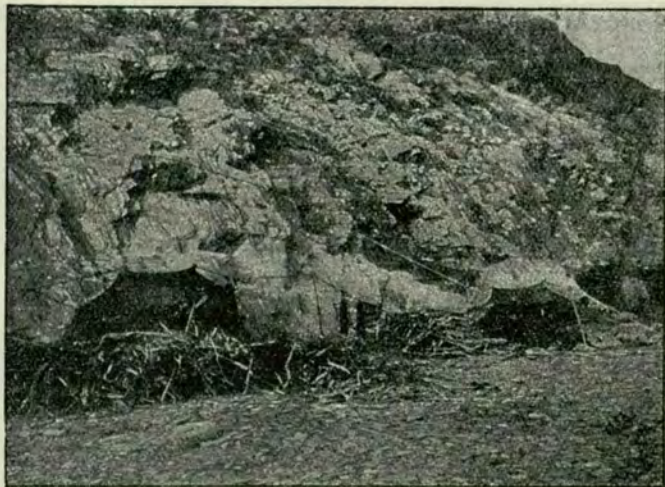
Wróciliśmy do pasącego się spokojnie stada, znaleźliśmy wszystkie muły i dwa najgorsze konie, lecz nie było mego wierzchowca, mego wiernego siwka i deresza Szagdura. Jaki był przebieg napadu, wykryto nazajutrz ze śladów. Trzej tybetańscy jeźdźcy, koniakrady zawodowi lub przygodni, śledzili nas widocznie przez cały dzień aż do naszego obozu. Gdyśmy spali w namiocie, podkraść się jeden z nich do stada skrytą szczeliną w gruncie podczas silnego wiatru północnego; nagle wyskoczeniem spłoszył oba najbliższe konie i spędził je na dół ku brzegowi; tam stali dwaj inni rozbójnicy na koniach w pogotowiu, poczem wszyscy trzej zbiegli przez wzgórze.

Nigdy w życiu nie uczułem w sobie tyle złości, ile z powodu tej kradzieży, popełnionej w obliczu stróża nocnego i ponadto dwóch wielkich, ostrych psów, całkiem bez przeszkód! W pierwszej chwili miałem tylko jedną myśl: podróż do Lazy odłożyć, ścigać łotrów i kazać im za ich psotę srodze odpokutować. O tem, żeby naiwnemu Erdekowi, który dotąd okazał się dzielnym chłopakiem, należycie nawymyślać, w oburzeniu całkiem zapomniałem. Również Szagdur nie posiadał się z oburzenia, fuzja paliła mu się w rękach.

Gdy jednak później, odzyskawszy spokój, rozważałem położenie, widziałem, że plan ten nie miał naj-



Napad nocny.



Namioty tybetańskich naczelników.



Grupa Tybetan.

mniejszych widoków powodzenia. Tybetanie byli oczywiście na tyle przebiegli, żeby przed następnym wieczorem nie odpoczywać. Dogonić ich zapomocą zmęczonych zwierząt w nieznanym terenie było rzeczą zupełnie niemożliwą; zabrali nam przecież naszych najlepszych biegaczy! A gdyby dwóch z nas ich ścigało, a dwóch zostało w obozie, rozproszylibyśmy nasze małe siły właśnie teraz, kiedy byliśmy najwidoczniej śledzeni przez nieprzyjaciół. Powinniśmy raczej być radzi, że łotrzy zadowolili się dwoma końmi; gdybym to ja był na ich miejscu — pocieszałem teraz Szagdura, który nie mógł przeboleć swego pieczołowicie opatrywanego zwierzęcia — byłbym z pewnością zabrał wszystkie cztery, aby uniemożliwić pogoń. Nie, tu nic już nie dało się zrobić. Każdej chwili mogliśmy się spodziewać nowego napadu; należało więc czuwać bezustannie i lepiej niż dotychczas.

Tej nocy o spaniu już nie było mowy. Otuleni płaszczami obsiedliśmy mały ogień węglowy, zapaliliśmy fajki, gawędząc, złowrogie chmury zaś przesuwwały się w szybkim pędzie pod księżycem. Następnie zgotowano herbatę, stanowiącą razem z ryżem i chlebem śniadanie. O świcie osiodłaliśmy oba pozostałe nam konie oraz i muła Lamy i spakowaliśmy nasze rzeczy. Gdy zorza purpurą pokryła nieznaną wzgórze na wschodzie, siedział Erdek przy ogniu i płakał. Błagał i prosił, by mógł nam towarzyszyć, zamiast iść samopas, w dodatku teraz pieszo, 70 km przez zdradziecki kraj, gdzie rozbójnicy jak cienie powstawali z ziemi. Nie chciałem jednakże ustąpić; wówczas prosił, by przynajmniej mógł zabrać z sobą rewolwer. I tego musiałem mu odmówić, bo przecież wiedzieliśmy teraz, że nam samym palna broń będzie potrzebna.

Skreśliłem na kartce papieru kilka słów do Zyrkina i poleciłem mu, przestrzegać jaknajwiększej czujności. Prócz tego nakazałem, ażeby Czerdon, Li Loje i jeszcze kto przez cały tydzień pod wodzą Erdeka ścigali koniokradów, idąc za ich śladem.

Erdek zatknął list za pas i nasadził przytem mi-nę skazańca, którego kilka tylko kroków dzieli od rusztowania. Zaledwie dosiedliśmy koni, widzieliśmy, jak biegnął wzdłuż brzegu, znikając w oddali.

Gdy dobiliśmy później szczęśliwie do głównej kwatery, opowiadał sam, jaka była jego droga powrotna. Dnia 29 lipca przez cały dzień nie zatrzymał się ani na minutę. Nie miał odwagi iść otwartem polem naszymi śladami, lecz przekradał się jak żbik przez jary i wyschłe koryta rzeczne. W dzień tęsknił za zmrokiem i ciemnością; lecz gdy ta zapadła i padał prościuteńki deszcz, to znowu lękał się nocnej ciemności i zdawało mu się, że wszędzie widzi rozbójników. Spokojne kulany po kilkakroć przyprawiały go nieomal o obłąd i z ich przyczyny zwijał się jak jeź.

Wreszcie dotarł w grobowo ciemnej nocy do wejścia naszej doliny, jeszcze bardziej przyśpieszając kroku. Rzeka głośno szumiała w swem łożu, przygłuszając wszystkie inne szmery. Bezustannie zdawało się Erdekowi, że słyszy kogoś skradającego się za nim. Każdy kamień był czyhającym rozbójnikiem, mierzącym do niego z fuzji. Sam nie wiedział, jak w deszczu i ciemności przebył strome wzgórza i znalazł właściwą drogę; pędził tylko wciąż wprzód, potykał i przewracał się, znów się podnosił i niezliczone razy przeprawiał się w bród przez rzekę, której woda sięgała mu po biodra.

Gdy wreszcie przybył do obozu, został nieomal zastrzelony przez wartę. Zdołał jeszcze zawczasu wołać, został poznany i natychmiast zarzucony pytaniami, pozostali towarzysze bowiem myśleli w pierwszej chwili, że nas trzech zamordowano, tylko on sam ocalał. Lecz wyczerpany ze zmęczenia upadł, szukając tchu. Chleba, zabranego jako żywność, nawet nie tknął, a apetyt odzyskał dopiero, przespawszy cały następny dzień.

Sprawozdanie Erdeka i list oczywiście nie mało nastraszył pozostałych w kwaterze z powodu tego, że napadu nocnego dokonano zaraz następnej nocy. Zdarzenie to miało jednak ten dobry skutek, że zaostrzyło ich czujność w najwyższym stopniu, i gdyby nieproszeni goście pokazali się w pobliżu obozu, zostaliby przyjęci ostremi nabojami.

Pościg za złodziejami jednakże, podjęty natychmiast przez Czerdona, pozostał bez najmniejszego skutku; ślad ginął niebawem w wodzie i nie było go można odnaleźć.

XIII.

NA NOCNYM POSTERUNKU.

Zostaliśmy teraz trzech pielgrzymi sami, i kiedyśmy wieczorem tego dnia, przebywszy 40 km w kierunku południowo-wschodnim, urządzali nasz następny obóz, musiałem sam pomagać przy składaniu ciężarów, rozbijaniu namiotu i zbieraniu paliwa. Szagdur miał być teraz z nas wszystkich najprzedniejszym, ja zaś uchodziłem za stajennego parobka. Po rosyjsku nikomu

nie wolno było mówić, tylko mongolskie słowa miały przechodzić przez nasze usta; początkowo Szagdurowi rozkazywanie przychodziło z trudem, lecz po kilku dniach każdy — zdaniem naszym — odgrywał rolę swą dobrze.

Spełniwszy robotę swą ku zadowoleniu dwóch moich przełożonych, położyłem się, ażeby się wyspać do 8 godziny, t. j. do nastania ciemności. Jeszcze przez jedną godzinę mogły zwierzęta paść się swobodnie w pobliżu namiotu. Następnie poprzywiązywano je do liny, silnie napiętej pomiędzy dwoma kołkami; ustalono też raz na zawsze następujący porządek obozowy: zwierzęta miały być zawsze przywiązane do kołka od strony wiatru, przy otwartem wejściu do namiotu; skoro tylko zrobiło się ciemno, miał zagasnąć ogień obozowy; skrzynie, naczynia kuchenne i siodła umieszczano w namiocie. Jolbarsa uwiązano przy zwierzętach od strony wiatru; od niego w razie grożącego niebezpieczeństwa należało oczekiwać pierwszego sygnału ostrzegawczego. Kosmaty, ostry Małeński leżał przed zamkniętą poprzeczną ścianą namiotu. Noc dzielono na trzy warty: od 9 do 12 godziny, od 12 do 3 i od 3 do 6; najczęściej obejmowałem pierwszą wartę, a Lama ostatnią.

Szagdur i Lama byli tego wieczoru nadzwyczaj poważni; w czasie mego snu widzieli trzech jeźdźców, którzy zbliżali się do naszego obozu od południa i przystanęli na wzgórzu, pilnie się naradzając, lecz następnie zniknęli w terenie. Chcieli widocznie odczekać końca nocy, a potem wystąpić przeciw nami. Więc sprawdzało się przypuszczenie, że byliśmy otoczeni szpiegami i konnymi wywiadowcami; czy oni działali z własnego popędu, czy też już na wyższy rozkaz, nie mogliśmy oczywiście wiedzieć.

Już przed 9 godziną towarzysze moi, zmęczeni trudami ubiegłej nocy, spoczywali w najgłębszym śnie. Stałem na moim pierwszym posterunku nocnym i przechadzałem się tam i z powrotem, to w pobliżu namiotu, to znów nieco dalej. Czuwanie nie było dzisiaj sztuką, każdej chwili bowiem spodziewałem się napadu. Lecz minuty ubiegały bardzo powoli. Jolbars skowycał za każdym mojem zbliżeniem się z radości, a Maleńki merdał przyjaźnie ogonem, gdy go odwiedzałem.

Podczas dnia kilkakrotnie padało, i teraz wieczorem niebo znowu się pokrywało czarnymi chmurami, z poza których dobywały się jasne błyskawice, a pioruny uderzały wokoło z łoskotem. Deszcz smaگاł ziemię i padał strugami, uderzał i trząskał o namiot, który zdawał się zapadać jak mokra szmata. Wewnątrz wszystko zmokło, gdyż drobny deszcz przemoczył wełnę. Śpiący towarzysze o to się nie troszczyli, zagrzebali się głębiej w kożuchy i chrapali dalej. Krople deszczu bębniły w mongolski garnek, zostawiony na dworze przy ognisku, psy pomrukiwały, konie i muły zaś klaskały ogonami, gdy je deszcz łąchtał po bokach. Zapaliłem latarnię i usiadłem w drzwiach namiotu, by pisać, lecz rzadko zdołałem spokojnie więcej napisać, niż jedno zdanie; przy najmniejszym szmerze obchodziłem obóz dokoła. O, te wieczne noce, te nieskończone godziny! Nigdy nie zapomnę tej mojej samotnej wędrówki pomiędzy Jolbaresem a Maleńkim.

Co to było? Długi, przeciągły ton skargi dochodzi mego ucha, ledwie słyszalny wśród jednostajnie pluszczącego deszczu. Wyskakuję z pod płaszcza z rewolwerem, staję, nasłuchuję i czekam przez chwilę w deszczu.

Znów ten sam głos; to głos Jolbarsa, niezadowolonego z niepogody. Potem mimowoli coraz to drgnąłem, słysząc nagły grzmot w oddali lub klaśnięcie ogonem muła. Stoję i nasłuchuję przez chwilę nieruchomy, cisza, wracam więc do namiotu i świeczki. Jest tak mokro, że nawet fajka nie chce się zapalić.

Gdy się skończyła moja warta, Szagdur spał jeszcze twardo; postanowiłem stać pół godziny dłużej, gdy w tem psy zaczęły wściekle ujadać. Lama się obudził i wyskoczył z fuzją na dwór, ja zaś zgasilem latarnię i poszedłem z rewolwerem za nim. Było wyraźnie słyhać tupot koński i oddalone szczekanie psa; tybetańscy jeźdźcy obserwowali nasz obóz z odległości jakichś 100 mtr. Teraz słyszeliśmy, jak tupot koński szybko się oddalał; wszystko ucichło, i psy przestały szczekać. Teraz musiał Szagdur stanąć na posterunku, ja zaś przy jednostajnym odgłosie jego wolnych kroków zasnąłem.

Już o 5 godzinie, kiedy Lama nas budził, zabraliśmy się i wyruszyli, sami jeszcze zziębnięci po niemiłej nocy. Tęskniliśmy za słońcem, lecz dzień był ponury i pochmurny, a ciężkie chmury wisiały nad ziemią, co chwila się wyładowywując. Po naszych nocnych gościach nie było znaku, widocznie czekali na lepszą sposobność niespodziewanego na nas napadu.

XIV.

SPOTYKAMY KOCZOWNIKÓW.

Następna noc była zupełnie spokojna. Gdyśmy dnia 31 lipca szli przez pagórkowatą okolicę w kierunku południowo-wschodnim, wyłoniła się na wschodzie większa, kręta rzeka; lecz droga, którą postępowaliśmy,

była wydeptana i prowadziła przez pięć łatwych do przebycia przesmyków. Łączyła się ona z drugą z lewej strony; na niej to najwidoczniej pędzono co dopiero stado jaków. Po chwili ujrzeliśmy też przed sobą w oddali wielkie mnóstwo małych punkcików, a potem wyłoniła się z półmroku trzoda owiec. Nad brzegiem jednego strumyka ukazał się namiot.

Była to karawana tanguckich pielgrzymów, ciągnących do Lazy. Miała z sobą pięćdziesiąt jaków, kilka koni i trzy psy, które Jolbars i Maleńki należycie pokudłały. Trzoda owiec liczyła 700 głów, strzeżonych przez starą kobietę, która nie okazywała najmniejszej trwogi; lecz byliśmy tak bardzo opryskani błotem, że żaden tamtejszy włóczęga nie potrzebowałby się nas powstydzić. Stara wskazała nam czarny namiot koczowników w sąsiedniej dolinie, gdziebyśmy wszyscy mogli otrzymać upragnione wiadomości. W odległości jednego kilometra rozbiliśmy własny namiot.

Skoro nocleg nasz był urządzony, udał się Lama do owego namiotu, gdzie znalazł dwie kobiety i młodzieńca — gospodarz tego domu miał również niebawem wrócić. Usprawiedliwiali się, że nie mogą nam dzisiaj z powodu święta sprzedać ani owiec, ani mleka, sa-dła, ani tsamby, tybetańskiej potrawy narodowej, lecz jutro możemy dostać, co nam dać mogą. Biednym Mongołom natomiast wolno im dać każdego czasu pełen worek suchej mierzwy jaków i, z nim to Lama teraz się przywłókł. Gdyśmy rozpalili ogień, ukazał się na pobliskim wzgórzu także gospodarz domu, zatrzymał się jednak w odpowiedniej odległości i począł się nam przyglądać. Lama poszedł po niego; ten przyszedł bez ceremonji i obawy i przysiadł się do nas przed otwartem wejściem do namiotu, na mokrej ziemi przy ognisku.

Ten nasz pierwszy Tybetanin mógł liczyć około lat czterdziestu i nazywał się Sampo Syngi. Twarz jego była bez brody, pomarszczona i prawie czarna, brudne, krucze włosy spadały potarganemi pierścieniami, z których woda deszczowa kapiała na płaszcz, mając wygląd miecha; buty jego były z pierwotnie białej, teraz zaś czarnej pilśni; od pasa zwisały worki z tytuniem, fajka i inne przedmioty zeszywniałe od brudu. Gość nasz chodził, jak prawie wszyscy Tybetanie, z gołą głową i bosemi nogami — aż po buty; innemi słowy: nie miał spodni. Bez tej części ubrania musi być konna jazda, zwłaszcza w deszczu nadzwyczaj chłodna i przewiewna! Bezustannie wycierał nos palcami, i to z takim naciskiem, żeśmy myśleli, że to należy do ogłady towarzyskiej i zaczęli go naśladować. Gość nasz zbadał, zupełnie się nie krępując, nasze rzeczy — przyrządy i dziennik zdążyłem ukryć. Dla naszych mongolskich, u góry wąskich, u dołu szerszych kubków drewnianych okazywał uderzające zamięłowanie, czemuśmy się nie dziwili. Mnie się nie przyglądał szczególnie, byłem przecież tak samo brudny, jak on. Szagdur i Lama zwykli byli zażywać tabakę; również Sampo Syngi wziął sobie rzetelną szczypte, wywołującą rozpacziwą kichanie. Żeśmy się z niego śmiali, nie brał nam zresztą za złe, pytał się tylko całkiem niewinnie, czyśmy do tabaki nie dodali pieprzu, a za drugą dozę podziękował.

Teraz przypomniał sobie Szagdur swą godność i nagle zaryknął na mnie: „Idź i przypądz konie, durniu, co tu gębę rozdziawiasz?” Natychmiast pobiegłem na wał, uspokoiłem się jednak, widząc, jak Szampo Syngi kroczył do swego namiotu; gdyby mnie był obserwował, zauważyłby z pewnością: „Chłopak

ten jeszcze nigdy w życiu nie przypędział mułów.“ Kiedy już zwierzęta szczęśliwie spędziłem w gromadę, spodobało się gniadoszowi pocałować znowu na pastwisko, a kiedy popędziłem za nim, zbiegły mi również wszystkie inne. Wreszcie schwyciłem przecież trzy i nie puściłem ich, aż nie były przywiązane. Tej nocy czuliśmy się znacznie pewniejszymi, niż przedtem. Od czasu niespodziewanego zetknięcia się z myśliwymi na „jaki“ nie spotkaliśmy się już z żadnym krajowcem, czuliśmy ich tylko dokoła siebie, jak pokutujące złe duchy. Rozbójników w tej okolicy zupełnie nie było, tak nas zapewniał Sampo Syngi, lecz straż pełniono na wszelki wypadek jak zwykle.

Zbudzony 1 sierpnia zauważyłem ze zdziwieniem, że nie padało. Nasi sąsiedzi, teraz dwaj mężczyźni i jedna kobieta, zbliżali się właśnie ku naszemu namiotowi. Szybko usunięto kilka drobnostek, któreby nas mogły zdradzić. Sampo Syngi znowu się zaczął rozwodzić i poustawiał przyniesione łakocie kolejno przy ognisku: wielką bryłę świecącego się sadła, miskę zsiadłego mleka, drewnianą miseczkę proszku z sera, dzbanek mleka, bryłę śmietany i okazałą owcę — czy mogliśmy wspanialszego pragnąć śniadania? Proszek z sera jest składnikiem tsamby, złożonej zresztą z mąki, herbaty, kawałków sadła i masła, czasami też z kilku połci surowego, suszonego mięsa. Wszystko to krajowcy dobrze mieszają w misce brudem oblepionymi palcami. Najlepsze z wszystkiego było zsiadłe mleko, gęste, białe i kwaskowe. Nie przebieram w jedzeniu, lecz nigdy mi nic tak dobrze nie smakowało, jak to tybetańskie „szo“; ostrygi i szampan są w porównaniu z niem niczem. Natomiast do tsamby, namiętnie lubianej przez Mongołów, nie mogłem się nigdy przyzwycząić.

7

Teraz nadeszła chwila płacenia, i Szagdur wyjął kilka chińskich srebrnych monet. Sampo Syngi z lubością ważył cenny metal w rękach, lecz oświadczył, że mógłby wziąć tylko pieniądze z Łaży. Tych oczywiście nie mieliśmy, na szczęście jednak zawierały nasze skrzynie kilka paczek niebieskiego chińskiego jedwabiu. Oczy pani Syngi błyszczały z radosnego pożądania; przesunęła ona swoje czarne łapy po chwaszczącej materji i według zwyczajowego azjatyckiego targu kupno było ubite; nasi goście otrzymali dwanaście łokci jedwabiu i każda strona cieszyła się pocichu, że dokonała korzystnego interesu.

Prócz tego miał Sampo Syngi za udzieloną gościnność zatrzymać owczą skórkę. Natychmiast więc zabrał się żwawo do bicia, jeśli tak nazwać chcemy barbarzyński sposób mordowania owcy. Wpierw związał jej trzy nogi, a około pyska jej owinął cieńki rzemień; potem stanął na przyciśniętych do ziemi rogach, wreszcie włożył kciuk i palec wskazujący w nozdrza zwierzęcia, ażeby je udusić. Nieszczęśliwe zwierzę wierzgało i drgało, by się uwolnić, oczy wystąpiły mu z jam, a rzeźnik mamrotał z rozpaczliwą szybkością: „Om mani padme hum“ celem przebłagania Stwórcy za mord. Trwało to nieznośnie długo, aż się owca nie uspokoiła i jej nogi nie zwisły. Następnie Sampo Syngi podniósł się i poćwiartował ciało. Wstrętnie było patrzeć na takie męczenie zwierzęcia, nie mogłem jednak miny skrzywić, bo każde wystąpienie przeciw starym, niewzruszonym zwyczajom znaczyło tyle, co się zdradzić, a byłoby całkiem bezcelowe. Wkońcu śniadaliśmy wspólnie.

Kobieta, która z radością nad swą nową odświętną szatą straciła zupełnie apetyt i nam radośnie kiwała,

była tak samo ubrana, jak mężczyźni; jej czarne, rozkudłane włosy były splecione we dwa warkocze, z wyjątkiem szczurzych ogonów i kudłów, sterczących na wszystkie strony świata. Miała na nogach pilśniowe buty, ozdobne zwyczajnymi różnobarwnymi wzorami, który musiały być niegdyś bardzo piękne. Ale w jaki sposób potrafiła twarz swą pokryć warstwą brudu, było dla mnie zagadką. Moją skórę zmywał kiedyniekiedy deszcz na czysto tak, że musiałem ją dwa razy dziennie na nowo uszminkować; lecz ta tybetańska dama nie byłaby nigdy czysta, chociażby jej twarz obrabiano sikawką pożarną.

Uczciwy Sampo Syngi zresztą nie robił wrażenia, jakoby nas chciał zatrzymywać, przeciwnie najwidoczniej myślał o tem, jakby się nas najprędzej pozbyć; pomagał nam chętnie przy objuczaniu zwierząt, życzył nam szczęśliwej drogi i powiedział nam jeszcze, że za dwa dni spotkamy drugi obóz koczowników; nie pokazał się też, kiedyśmy przejeżdżali przez jego pastwiska!

XV.

PRZEZ SACZU-SANGPO.

Wśród ulewnego deszczu jechaliśmy dolinę rzeki Garczusengi w dół. Góry już się przed nami nie rysowały, lecz w deszczu nie mogliśmy daleko dojechać. Droga prowadziła mimo opuszczonych obozowisk i na dół, na prawy brzeg potężnej rzeki, tak szerokiej, że mieliśmy ją początkowo za jezioro. Był to Saczu-Sangpo, jedna z największych rzek w Tybecie.

Dzielił on się na dwadzieścia ramion, z których cztery były tak potężne, że przejście przez nie zdawało się niemożliwym. Lama, człowiek odważny, stale jadący na przedzie, mimo wszystko jechał dalej drogą tak spokojny, jakby tej szarobrunatnej, szumiącej rzeki wcale nie widział; jechaliśmy za nim. Myślałem, że każdej chwili zniknie w falach. O głębokości nie można było sobie dla mętnej wody wyrobić żadnego pojęcia; wynosiła jednak więcej niż kilka metrów.

Przeprawiliśmy się już szczęśliwie przez dziesięć ramion i odpoczywaliśmy na mulistej mieliźnie, gdzie głębokość wynosiła zaledwie jedną stopę. Staliśmy tam wśród masy szumiących wód, które nieokiełznane z łoskotem waliły na nas i dokoła nas. Ćmiło mi się w oczach. Brzegów nie było można dojrzeć, wszędzie woda, gdziekolwiek spoczęło oko; rzeka po deszczu urosła do niebywałej szerokości.

Lama, słowa nie mówiąc, spiął znów boki swego muła i pojechał dalej. Woda sięgała zwierzęciu do nasady ogona, a jeździec podniósł kolana w górę, by przynajmniej cholewy utrzymać nad wodą. W tej samej chwili prowadzony na postronku muł, niosący moje dwie pociągnięte skórą skrzynie, skoczył niebezpiecznie kilka razy w bok; skrzynie działały, zanim woda zdołała zalać ich wnętrza, jak poduszki korkowe, zwierzę straciło grunt pod nogami, zakreśliło pół koła, porwane zostało przez prąd i niesione z szaloną szybkością w największe wiry. Miałem je za stracone. Tam znalazło znów grunt, równowagę i wgramoliło się na brzeg, nie zgubiwszy swego ciężaru.

W chwili, gdy muła porwał prąd, wołaliśmy na Lamę rozpaczliwie, by zawrócił. Lecz nic nie słyszał; woda wirowała i pieniała się dokoła niego, a on wgra-

molili się z zupełnym spokojem tylko wyżej na siodło, cały już prawie zanurzony w wodzie. Czy zwarjował? Nie umiał nawet pływać! W jednej sekundzie odpiąłem swój pasek i zamierzałem zdjąć kożuch. Lecz oto Lama wyszedł cało z afery; był coraz bardziej widoczny z zgrzbietu swego gniasza i wreszcie śmiałek wy dostał się z niebezpieczeństwa. Dla naszych wysokich koni przeprawa była mniej niebezpieczna.

Ostatnie ramię było najgorsze; było szerokie tylko 30 m, lecz głębokie, szumiące i rwące. Pozostałem nieco w tyle i nie widziałem, przez jaki bród się inni przeprawili, skierowałem więc konia na to miejsce brzegu, gdzie się już zatrzymali. Nie jest rzeczą miłą czuć, jak woda wznosi się po cholewkach; bulgocze: bul, bul i już buty są zalane, a teraz sięga mi powyżej kolan, powyżej siodła — tylko głowę i szyję konia było jeszcze widać. Lama i Szagdur bili się po kolanach, coś mi krzyczeli i wskazywali na bród; lecz nic nie można było słyszeć prócz łoskotu wód. Teraz sięgała mi już woda po żebra, i był czas pozostawić konia swemu losowi! W jednej chwili uwolniłem się ze strzemion i zrzuciłem kożuch, ale właśnie, gdy chciałem się odepchnąć, koń mój stracił grunt pod nogami, zaczął pływać i porwany został przez wartki prąd. Mimowoli schwyciłem się go za grzywę i płynąłem z nim; po kilku chwilach miał znów grunt pod nogami i wspiął się wreszcie z rozpaczliwym wysiłkiem na brzeg.

Byłem mokry, jak kot, ale że deszcz nas poprzednio już dostatecznie zmoczył, nic to nie szkodziło. Nasz cały bagaż był również rozmoczony. Moje buty natomiast okazały się chwalebnie nieprzemakalne. Dopiero kiedyśmy już kawał drogi ujechali, przyszło

mi na myśl, że przecież jest rzeczą bezcelową wlec z sobą ich bulgoczącą zawartość; wylałem więc wodę, przywiązałem buty do tyłu siodła i jechałem boso.

Tego wieczora obóz nasz przedstawiał widok tragicomiczny. Suche nitki nie było na karawanie, ze skrzyń, odzieży i zwierząt ciekła woda. Po wielu daremnych usiłowaniach udało nam się wreszcie rozniecić ogień, który dymił i syczał; musieliśmy z mierzwy jaków zdjąć w pierw wierzchnią warstwę, zanim się rozpałała, i dmuchaliśmy naprzemian, jak miechy kowalskie. Następnie obnażyłem się od stóp do głowy i spędziłem wieczór na osuszaniu zgrubszą ubrania — bo żeby zupełnie wyschło, nie można było żądać, gdyż deszcz padał wesoło dalej.

Niemіłosierna noc zstępowwała na ziemię, a księżyc nie rzucił nawet najpobieżniejszego spojrzenia na mokre od deszczu góry Tybetu. Zimno, chłód, wiatr i ciemność powiększyły niewygody nocnej straży. Bezustannie zdawało mi się, że słyszę podkradające się kroki lub cwałujących ku nam jeźdźców. Obecność nasza nie była już dla nich tajemnicą; spotkaliśmy już pierwszych Tybetan, i położenie nasze stawało się z dnia na dzień bardziej krytyczne. Co też przyniesie następną ranek?!

Punktualnie o 12 godzinie budziłem Szagdura, trzęsąc nim niemіłosiernie; zbadał swą fuzję i wylazł; rzuciłem się bez namysłu w nasze nędzne gniazdo na ziemię. Szagdur był zbyt rozespany, ja zbyt senny, byśmy mogli coś mówić; w milczeniu zamieniliśmy tylko miejsca.

POZNANY „SZWED-PELING“.

Dnia 2 sierpnia niebo nam wreszcie zaczęło sprzyjać; deszcz już nie padał. Droga nasza wiodła przez mały przesmyk, w którego pobliżu stał czarny, namiot, a przy nim pasło się dwadzieścia jaków i czterysta owiec. Niedługo potem mijaliśmy karawanę z herbatą, obozującą nad pewnem źródłem. Składała się z dwudziestu pięciu ludzi i trzystu jaków, a ciężary — herbata, pozaszywana w lnianych workach nakształt cegieł — poustawiane były w stosy. Przybyło kilku Tybetan — byli to znów Tanguci tego samego plemienia i języka, co Tybetanie — ażeby nam się dokładnie przyjrzeć, Lama zaś, nasz tłumacz, prowadził rozmowę. Pierwszem pytaniem było: „llu was jest?“ zupełnie, jakby trzeba stwierdzić, kto w razie bójki miałby najlepsze widoki zwycięstwa. Następowały pytania co do celu naszej podróży, skąd przyszliśmy, jak długo jesteśmy w drodze, czy mamy co na sprzedaż, i tym podobne. Usłyszawszy, że idziemy do Lazy, nic w tem nie widzieli dziwnego. Lecz jeden z ludzi trącił ku memu przerażeniu sąsiada, wskazał na mnie palcem i powiedział tylko jedno słowo „peling“, co znaczy Europejczyk. Mimo przebrania zostałem więc odrazu poznany!

Mężczyźni ci wyglądali jak prawdziwi rozbójnicy; długie czarne włosy były u niektórych splecione we dwa warkocze. Wszyscy mieli górną część ciała obnażoną i od powietrza zbrunatnioną; kozuch, podtrzymywany pasem, spadał z tyłu tak, że rękawy dotykały ziemi. Prosili, żebyśmy zostali i z nimi wspólnie spędzili wieczór; nie przykładaliśmy jednak do tej

mało zaufania budzącej znajomości żadnego znaczenia, woleliśmy więc pojechać dalej i obozowaliśmy opodal na otwartym pastwisku. Lama był teraz przekonany, że myśliwi na „jaki“ z obozu 38 natychmiast powiadomili o naszej obecności namiestnika w Nakczu. W takim razie niezadługo osiągną nas jego pospieszni wysłańcy i podburzą przeciw nam całą ludność, która teraz powinna być gęstsza.

Następny dzień poświęciliśmy odpoczynkowi. O 9 godzinie karawana jaków przeszła obok nas we wzorowym porządku. Zwierzęta szły drobnymi, drepczącymi krokami w oddziałach po 30 do 40, a każdy oddział prowadziło kilku poganaczy.

Ostre gwizdy i krótkie, przeraźliwe wołania napełniały powietrze. Ludzie zdawali się teraz nie spozstrzegać naszego namiotu, chociaż się o niego nieomal ocierali; byli wyłącznie zajęci poganianiem jaków, i żaden z nami nie rozmawiał. Tylko Lama gawędził z kilkoma.

Jakaż to rozkosz, widzieć znów słońce! Siedziałem więcej niż lekko ubrany na ziemi i pozwoliłem się ogrzewać promieniom słonecznym; rozpostarliśmy nasze rzeczy do suszenia, odwracając skrzętnie juki, i napełniali buty suchym ciepłym piaskiem, żeby przybrały znowu odpowiedni fason. Następnie Lama na nowo mnie uszminkował i pomalował mi głowę z przodu i z tyłu, całą szyję i uszy zewnątrz i wewnątrz. Pozatem uczyliśmy się naszych ról i zastanawiali nad tem, jak będziemy odpowiadali na śmiałe pytania, których prędzej czy później należało się spodziewać. Był to jednak daremny trud, bo według Lamy Dalaj-Lama był wszystko-wiedzący i wiedział nawet, o czem w tej chwili mówiliśmy. Lecz jest on

też dobry, zapewniał, i nie pozwoli, by nam się co złego stało, bo przecież wie, że względem jego świętej ziemi i jego miasta nie mamy złych zamiarów. Lama najbardziej się obawiał spotkania z arcyłamą świątyni, w której odbywał swe studja. Ażeby go nie poznano, nosił jak ja czarne okulary od śniegu i uchodził jak Szagdur i ja również za Burjatę.

Dnia 4 sierpnia szliśmy dalej do Lazy. Niebawem spotkaliśmy wielką karawanę transportową. Przewodnicy jej mieli wysokie, żółte kapelusze z szerokimi kresami i długie widełkowe fuzje. Chcieliśmy ich spokojnie wyminąć, lecz nasze muły, nieco rozswawolone dobrą paszą ostatnich dni, miały własny rozum; zawróciły i złączyły się z jakami, które tem tak były zaskoczone, że rozpierzchnęły się w dzikim popłochu. Tybetanie, którzy zdawali się nas obawiać, gwizdali i gestykulowali, myśmy również wołali i krzyczeli, Jolbars i Maleńki podniosły wielką wrzawę z swoimi tybetańskimi kolegami, a największe zamieszanie panowało na polu walki. Z wielkim trudem zapanowaliśmy nad zwierzętami i rozstaliśmy się w jakim takim porządku.

Im dalej szliśmy, tym więcej było namiotów; chwilami nadawały krajobrazowi wygląd, jakby był pokryty czarnymi kropkami. Przed każdym namiotem wznosił się wielki stos mierzwy jaków na opał zimowy. Celem uniknięcia natręctwa ciekawych, pojechaliśmy dalej i zatrzymaliśmy się w pobliżu czterech samotnych namiotów, gdzie Lama kazał sobie napełnić „dombę“ (kubek) zsiadłem mlekiem, za co dał chińską filiżankę porcelanową, Szagdur i ja tymczasem gościliśmy młodego Tybetanina, który mimo swej uprzejmości, wyglądał na szpiega. Ciągłe nas zagadywał,

ale z mowy jego zgoła nic nie rozumieliśmy, dopiero gdy Lama nadszedł i objął urząd tłumacza, otrzymaliśmy od naszego gościa niepewne wiadomości. Został aż do zmierzchu, a na pytanie, czy tu są rozbójnicy, odpowiedział: „Dla nas Tybetan ich niema, ale wam, którzyście przyszli z tak daleka, grozi niebezpieczeństwo.“

W poniedziałek, dnia 5 sierpnia, jechaliśmy 35 kilometrów w kierunku południowo-wschodnim. Dopiero teraz czuliśmy, że było lato, a w pobliżu Tso-nelk'u, „czarnego jeziora“, dochodziła temperatura do 20 stopni Celzjusza. Wszędzie widać było namioty i stada. Zatrzymaliśmy się na wielkiej, zewsząd otoczonej dość wysokimi górami równinie, w sąsiedztwie dwunastu namiotów. Byliśmy teraz 270 km oddaleni od głównej kwatery. Dalej nie mieliśmy też dojść!

Ponieważ tym razem Tybetanie nie poświęcali nam żadnej uwagi, ale spokojnie siedzieli przy ogniskach, dzieci ich zaś bawiły się z młodemi psami i owcami, czuliśmy się narazie całkiem bezpiecznymi. Dopiero gdy się ściemniło, zbliżyli się trzej krajowcy do naszego namiotu. Lama i Szagdur wyszli im naprzeciw, ja zaś zostałem w namiocie, jako że byłem świeżo ogolony, wysmarowany tłuszczem i uszmkowany. Gdy ci dwaj, niewiedomo dlaczego długo nie wracali, zacząłem się niepokoić. I niestety słusznie. W zupełnie ciemnej nocy wreszcie wrócił Szagdur; wydawał się swobodnym jak zwykle, lecz gdy mnie zagadnął po rosyjsku, wiedziałem, że przynosi poważne wiadomości.

„Źle rzeczy stoją!“ mówił. „Wprawdzie nic z tego nie rozumiałem, co mówiono, słyszałem jednak usta-



My trzej „pielgrzymi“ wyruszamy z głównej kwatery.



Lama rozmawia z Tybetanami.



Mimowolne więzienie na wyspie jeziora Czargut-tso.



Posłowie Dalaj-Lamy.

wicznie wypowiedane naprzemian słowa: szwedpeling, czanto (muzułmanin), Burjata, Laza. Siedzą teraz i radzą dalej. Lama nieomal płacze, jest nadzwyczaj pokorny i bezustannie się kłania.“

Wzburzony do głębi i złamany na duchu wrócił niebawem także Lama i donosił, że jeden z trzech Tybetan był „nojinem“, naczelnikiem lub oficerem; w uprzejmym, lecz stanowczym tonie oświadczył, że już od trzech dni słyszeli, iż „szwed-peling“ (szwedzki Europejczyk) jest w drodze do Lazy, a kilka myśliwych na „jaki“, przybyłych niedawno temu do Nakczu, widzieli wielką europejską karawanę, ciągnącą przez góry ku południowi. Tysiącami pytań obrzucono biednego Lamę: co by o tych Europejczykach wiedział, czy jeden z nich jest wśród nas, ilu nas jest i czy jesteśmy uzbrojeni, ile mamy zwierząt, skąd przybujemy i dokąd idziemy, dlaczego wybraliśmy ukrytą drogę, zamiast iść zwykłą drogą mongolskich pielgrzymów. „Powiedz tylko prawdę“, napominał go, „jak ty możesz jako lama towarzyszyć nieznanym cudzoziemcom?“

Lama powiedział, że europejska karawana została w górach i jest oddalona stąd 9 dni drogi, nas trzech zaś otrzymało pozwolenie na czas, aż wypoczną zwierzęta, zwiedzić Lazę. O składzie karawany podał prawdziwe wiadomości, bo przypuszczalnie byli Tybetanie przez swych szpiegów dokładnie o tem poinformowani. Podał, ile mamy zwierząt jucznych i że w głównej kwaterze oczekują nas trzej Europejczycy i czternastu muzułmanów.

Ostateczny rozkaz naczelnika brzmiał: „Jutro jeszcze tu zostaniecie. Przyjdę potem do waszego namiotu z mongolskim tłumaczem, któryby z tymi

drugimi mógł się porozumieć. Jeśli potrzebujecie żywności lub koni i jaków, pomówimy o tem jutro.⁶⁶

Co teraz? Jedno było pewne: droga do Lazy była teraz zatamowana. Plan mój był odkryty. Czy nam jednak pozwolą cało wracać? Jeszcze raz zbadaliśmy nasze role. Tylko roztropność i niewzruszony spokój mogły nas ocalić. O swoje życie nie miałem kłopotu; gdyby doszło do tego, żebym się musiał odsłonić jako Europejczyk, to z pewnością nikt nie odważyłby się mnie tknąć. Ale dla Lamy rzeczy stały podwójnie źle; ujętoby go i za jego zbrodnię prowadzenia przebranego Europejczyka do świętej ziemi bez wątpienia zamęczonoby na śmierć! Tego nie chciałem przecież mieć na sumieniu! Byłaby to zbyt wielka kara za moją chęć przygód.

Przez całą noc psy naszcze kiwały naokół w obozach koczowników. Tybetanie widocznie chodzili od namiotu do namiotu z wiadomością o naszym przybyciu i coś przygotowywali. W kilku miejscach widzieliśmy w ciemności nocnej żarzące się ogniska.

XVII.

W TYBETAŃSKIEJ NIEWOLI.

Zaledwie słońce rozjaśniło dzień, który rozstrzygnąć miał o naszych losach, odwiedzili nas znów trzej Tybetanie. Pozostawili konie ze związanymi przednimi nogami w odpowiedniej odległości, usiedli przy naszym ognisku i napełnili swe fajki jasnym, drobnym tytuniem o mało aromatycznym zapachu. Głównym celem ich odwiedzin widocznie było zbadanie moich

oczu, bo skoro usiadłem pomiędzy nimi, prosili mnie, bym zdjął czarne okulary. Mniemali widocznie, że wszyscy Europejczycy są blondynami i mają niebieskie oczy; nie mogli więc wyjść z podziwu, że moje oczy były równie czarne jak ich własne. Ogromnie tem zdziwieni, skinęli mi życzliwie i rozmawiali z sobą szybko i żarliwie. Następnie pragnęli widzieć naszą broń. Szagdur pokazał im części swego rosyjskiego karabinu magazynowego, a ja swój szwedzki rewolwer oficerski. Zanim jednak skończyliśmy pokazywać, już nas prosili, kiwając głowami, żebyśmy naszą morderczą broń lepiej odłożyli, wstali i zaczęli się wycofywać z niebezpiecznej naszej bliskości, zapewniwszy nas, że podróż do Lazy potrwa jeszcze stąd trzy miesiące! obawiali się nas tak bardzo, że szli tyłem do swych koni i dosiedli ich dopiero, gdy myśleli, że strzały nasze ich dosięgnąć nie mogą.

W pół godziny później przybyli do nas czterej nowi goście, trzech brudni koczownicy o długich czarnych włosach i stary, wyrosły, krótko ostrzyżony lama w czerwonych szatach i żółtej czapce. Stary bohater pragnął tylko wiedzieć, jak silna była główna karawana, o czym poinformowaliśmy go bez ogródki. Zamieniono wzajemne uprzejmości i zwykle zapewnienia przyjaźni; gdy nas stary objaśnił potem co do swego kapłańskiego stopnia, podniósł się nasz dobry Szereb Lama, złożył dłonie i dotknął czołem swem czoła starca.

Na koniec jednak oświadczył ze zdumiewającą stanowczością: „Wy trzech musicie tu zostać, najdłużej pięć dni. Dziś rano wysłaliśmy kurjerów do namiestnika w Nakczu, naszego najbliższego władcy, z zapytaniem, czy wam pozwala jechać dalej. Nadejdzie

list z rozkazami wzbraniającymi, albo sam namiestnik Kamba Bombo; w każdym razie jesteście do owej chwili naszymi jeńcami! Przyplącalibyśmy życiem gdybyśmy was przepuścili, a późniejby się wykazało, że jesteście ludźmi nieupoważnionymi do podróży do Lazy“.

Przeciw temu nic nie było można zrobić, musieliśmy więc poddać się temu rozkazowi z możliwie największą powolnością. Po kilku minutach stało się jednak coś, co nas wprawiło w największe wzburzenie. Ze wszystkich stron zbierały się małe gromady jeźdźców, uzbrojonych do głów w dzidy, lance, szable i czarne, długie widełkowe fuzje. Niektórzy z nich mieli białe pilśniowe kapelusze z kresami, inni ciemne zawoje na głowie, a wszyscy ubrani byli w czerwone, czarne, brunatne lub szare płaszcze. Więc prawidłowa mobilizacja wojskowa celem obrony Tybetu przed urojonym nieprzyjacielskim napadem! Jak grzyby wyrastali z pod^o ziemi żołnierze, podobni raczej do bandytów; wkrótce naliczyliśmy 53 wojowników, którzy usiedli w porozrzucanych, żywo rozmawiających grupach przy ogniskach, zapalonych na otwartem polu; nas jednak zdawali się nie widzieć.

Lama był teraz o tem przekonany, że nadeszła nasza ostatnia chwila; zdawało się też, że ma słuszość. Jeźdźcy zebrali się teraz, mimo mgły i deszczu, na jakieś manewry, któreśmy obserwowali z największym napięciem przez lunetę. Siedmiu skoczyło na wschód, widocznie do Nakczu, a dwóch pocwałowało w kierunku na Lazę, z pewnością po to, by Dalaj-Lamę uwiadomić o naszym przybyciu. Reszta zaś, otrzymawszy tymczasem posiłki, ruszyła w zwartych szeregach i w dzikim galopie wprost na nasz namiot!



Tybetanie groźnie wywijali w powietrzu lancami i dzidami.

Trzymaliśmy naszą broń w pogotowiu, częściowo siedząc, częściowo stojąc, przygotowani na wszystko w wejściu do namiotu. Tybetanie zbliżali się z dzikiem wyciem indjańskim, wywijając nad głowami groźnie lancami i dzidami; ci, co mieli dobyte szable, wyglądali na dowódców. Teraz byli tuż przed nami i za chwilę musieli nas zmieść, jak lawina. Lecz gdy już pierwsze konie opryskały nas błotem, gromada napastników nagle się rozdzieliła; jedna połowa zrobiła w prawo, druga w lewo zwrot, i oba oddziały wróciły do miejsca, skąd wyszły.

Jeszcze kilka razy powtórzył się ten zatrważający manewr, oczywiście celem nastraszenia nas. Potem żołnierze zsiadli znów z koni i zaczęli z swych widelkowych fuzyj strzelać do tarczy. O 2 godzinie dosiedli znów koni, okryli się płaszczami i odjechali podczas ulewnego deszczu ku północo-zachodowi, w kierunku skąd przybyli.

Co to miało znów znaczyć? Czyżby nakoniec miał być planowany napad na główną kwaterę?

Gdy pole było puste, odwiedzili nas dwaj koczownicy z sąsiedniej wsi namiotowej, niosąc nam sadło i zsiadłe mleko; zabroniono im jednak odbierać za nie wynagrodzenia; nawet porcelanowej filiżanki nie pozwolili sobie wcisnąć; na to potrzebne było specjalne pozwolenie naczelnika i po nie teraz poszli. Z nimi przyszło czterech starych mężczyzn, którzy widocznie chcieli u nas zostać. Ponieważ nie mogliśmy się ich w żaden sposób pozbyć, weszliśmy do namiotu, udawając, że chcemy spać; lecz ponieważ właśnie zaczęło lać, wleźli czterej goście do naszego namiotu, gdzie już i bez nich było dosyć ciasno. Jeden z nich był tak śmiały, że badał wszystkie na-

okół leżące przedmioty. Przy tem jego zajęciu wysunął się kompas, który go nadzwyczaj interesował. Gdyśmy mu przyrząd ten objaśnili, zauważył:

„Prawda, prawda, taką rzecz mają też Chyńczycy.“ Kilka razy wskazywał na mnie z słowami:

„Ten tam to nie Burjata.“ Wkońcu zostawili nam jako podarek życzliwą przestrożę:

„Czy wy nie wiecie, że drogę tę okupić możecie życiem? Kto tą stroną dostać się pragnie do Lazy, tego czeka śmierć!“

Tymczasem lał deszcz pomieszany z gradem i śniegiem; ziemia była w miejscu, gdzie stał nasz namiot, nieco stroma, i wzdłuż wełnianej dery, na której leżałem, powstał mały potok tak, że musieliśmy wyjść na deszcz i kopać kanały, chcąc ratować się przed powodzią. Zwierzęta nasze zostawiliśmy przez noc bez nadzoru. Jeśli chciano nas się jak najprędzej pozbyć, należało nam zostawić zwierzęta. Za cztery posterunki, ofiarowane nam przez starego lamę, podziękowaliśmy, mając już dość tego ustawicznego szpiegowania. Później słyszałem, że byliśmy tej nocy strzeżeni przez niemniej niż 37 ludzi, stojących w większej odległości dokoła naszego namiotu!

Także przez 7 dzień sierpnia byliśmy przedmiotem intensywnej, nadzwyczaj natarczywej uwagi. Najpierw pokazał się człowiek, grożący nam ścięciem, podarował nam miskę zsiadłego mleka, worek argolu i miech kowalski, który nam się bardzo przydał. Inny, nazwiskiem Ben Nursu, siedział całe trzy godziny, pił herbatę i tsambę, palił z nami tytuń i oświadczył prosto z mostu, że mu polecono nas szpiegować; był jednak tak nieostrożny, że nam dał rozmaite ważne wiadomości tak, że jego natręctwo było nam na rękę. Stąd

do Lazy liczył pięć dni drogi, 200 kilometrów, które jeździec przy kilkakrotnej zmianie koni mógł przebyć w jednym dniu.

Inny gość, stary człowiek o długich włosach, nazwiskiem Daksze, powiedział, wnioskując z tego, co Lama podłyszał, swoim kolegom:

„Ci trzej mężczyźni to niebezpieczni ludzie; do Lazy oczywiście nie wolno im pójść. Kamba Bombo przybędzie za kilka dni. Tymczasem nie może im na niczem zbywać, lecz nikomu nie wolno brać zapłaty. Jeśli popróbują uciekać, mają mnie strażę natychmiast o tem uwiadomić. Amgon Lama czytał w świętych księgach, że są to niepewni ludzie, których nie można puścić do Lazy. Strzelec Ondzi widział ich dość dawno temu w górach i powiedział, że ich orszak jest ogromnie wielki. Wiadomość o tem posłano natychmiast do Lazy.“

„Czy Amgon Lama wierzył, że ten tam jest Burjata?“ zapytał jeden z nich, na mnie wskazując.

„Powiedział, że tego nie mógł stwierdzić,“ odparł stary.

Wszystko, co mówił, potwierdzali inni słowem „lakso, lakso“ na znak poszanowania i posłuszeństwa. Również nasz lama ciągle go używał w rozmowie z Tybetanami. Rozmowa ta utwierdziła nas w przypuszczeniu, że szczególnie strzelcy na „jaki“ przy obozie 38 nawarzyli nam piwa.

Również tego dnia objężdżały liczne konne patrolki okolicę. Tybetanie powystawiali widocznie coraz więcej wojska, ażeby wystąpić i zatrzymać wdzierających się od północy nieprzyjaciół; mniemali, że ja wywiadownicą byłam ich. Jeden z Tybetan wyznał też szczerze, że się gotują przeciw naszemu obozowi

w górach; inny zapewniał, że są to wywiadowcy, których zadaniem jest pilnować kraju i czuwać, żeby się nie wdarł do niego żaden nieprzyjaciel. Los mej głównej kwatery gnębił mnie dlatego bardziej niż własny.

Gdy następnego dnia zaczęły się znów krzyżowe pytania, oświadczyłem gościom, że jeśli nie przestaną tak natrętnie się wypytywać, wyrzucę ich i żywej duszy nie wpuszczę do naszego namiotu. Wówczas zamilkli zmieszani, skłonili się grzecznie i mamrotali pokornie „lakso, lakso“. Lama oświadczył, że czują przede mną ogromny respekt. Zdawało mi się, że jestem jak w Turcji Karol XII, stojący z swą gromadką Szwedów również naprzeciw przygniatającej przewagi. Nie pozwalano nam iść, gdzieśmy chcieli, życząc sobie przytem, by się nas mogli jak najprędzej pozbyć. Byliśmy równocześnie gośćmi i jeńcami. Najwidoczniej nadszedł rozkaz Lazy, żeby się z nami jak najlepiej obchodzono. Owczego mięsa, masła, sadła, słodkiego i zsiadłego mleka przynoszono nam znacznie więcej, aniżeli mogliśmy wszystko to zmóc nawet z pomocą psów.

Tylko Lama był smutny, zwłaszcza, gdy słyszał, że sam Kamba Bomba ma przyjść z rewizją, bo ten właśnie badał niegdyś mongolską karawanę pielgrzymów, z którą Szereb Lama podróżował do Lazy, z największą dokładnością; gdyby go namiestnik teraz poznał, byłby zgubiony, a w każdym razie los jego jest bardzo niepewny. Niegdyś pewien mongolski lama postradał z powodu jakiegoś przestępstwa prawo zwiedzania Lazy, a dla zmazania grzechu pełzał przez całą drogę z Urgi do świętego miasta w modlitewnej postawie, więc na klęczkach w ten sposób, że opie-

rał ręce o ziemię, włókł kolana za sobą, następnie wysuwając znów ręce naprzód; na tę przechadzkę potrzebował sześciu lat i mimo to nie został wpuszczony do Lazy, lecz musiał jeden dzień drogi przed miastem, nic nie wskórawszy, zawrócić. Jeszcze dwa razy powtarzał tę pokutną drogę, a nie zmiękczył serca Dalaj-Lamy! Nasz lama obawiał się więc, że i jego spotka straszliwy los. „Chociaż bym uszedł z życiem,” dodał, „to karjera moja jest zwichnięta, i Lazy już nie zobaczę.“

Widywaliśmy codziennie na drodze posłańców, zanoszących bezustannie Dalaj Lamie stąd wiadomości. Zmobilizowani żołnierze byli uprawnieni do pobierania żywności od koczowników; później miała stolica wszystko to nagrodzić. Nasz spokojny pochód sprowadził na kraj wielkie ciężary i Dżalok (bo tak się nazywała miejscowość, w której leżeliśmy) przekształcił się teraz na środowisko wojskowe: roiło się wszędzie od sztafet, szpiegów, wywiadowców i kurjerów.

W dodatku czas bardzo powoli upływał, a moja cierpliwość była wystawiona na najsroźszą próbę. Gotowaliśmy nasze jedzenie, jedliśmy, kładliśmy się na spoczynek, siedzieli całymi godzinami przed wejściem do namiotu i przyglądali się całemu ruchowi wśród Tybetan, ich czarnym namiotom i trzodom. Od naszego namiotu nie wolno nam było się oddalać ani na pięćdziesiąt kroków. Pożądałem więc bardzo przybycia Kamby Bomby. Z drugiej strony pocieszaliśmy się, że niepotrzebujemy podróżować w deszczu. Właśnie gawędziliśmy po południu z siedmiu Tybetanami, gdy wtem na południo-wschodzie ukazał się oddział jeźdźców, pędzących na nasz namiot.

„Aha“, zawołali mężczyźni, „jedzie Bombo z Nakczu!“ Był to jednak tylko jego mongolski tłumacz, przystojny, miły człowiek. Kamba Bombo, dowiedziawszy się o naszym przybyciu, kazał mu dzień i noc jechać naprzód; on sam miał również jak najprędzej przybyć do Dżalok. Tłumacz nie tracił chwili czasu na wypoczynek, nawet teraz po tak męczącej jeździe, lecz natychmiast udał się do nas.

Teraz rozpoczęły się przesłuchy odnowa. Każde pytanie zdradzało bojaźń Tybetan, że główna karawana jest tylko przednią strażą ogromnej armji, idącej z północy. Przed tem urojonem wojskiem ogarniał ich paniczny strach. Wobec tego narodowość moja była im dość obojętna. Zarówno, kto byliśmy, zapewniał tłumacz, do Lazy nie możemy pójść, lecz na rozkaz Dalaj-Lamy niema nam się nic złego stać.

Teraz jednakże skończyła się cierpliwość Szagdura i moja; powiedzieliśmy więc tłumaczowi słowo prawdy w rzetelnej przemowie. Jak śmiać wzbraniać nam pielgrzymki do Lazy, gdy nam dał na nią pozwolenie car rosyjski! Czy Dalaj-Lama zabronił kiedy spokojnym Burjatom, chociażby mieszkającym na rosyjskiej ziemi wstępu do Lazy? Kamba Bombo niech tylko sam strzeże swej głowy, bo może ją postradać, jeśli nam nie zwróci zupełnej wolności.

Biedny tłumacz przełożył całą naszą przemowę swoim towarzyszom na język mongolski, gorszy jeszcze od mojego, a ludzie jego porobili bardzo poważne miny. O Rosji zgoła nic nie wiedzieli, nawet o Indjach mieli niejasne wyobrażenie. Cośmy przeto powiedzieli o sile i wielkości tych państw, nie czyniło na nich najmniejszego wrażenia. Wreszcie stanęło na tem, że posłano pospiesznego kurjera do Kamby Bomby

z prośbą, żeby pospieszał, a tłumacz przyrzekł również posłać do Lazy osobnego kurjera, któryby Dalaj-Lamie powtórzył treść naszego przemówienia. O kradzieży koni gość nasz widocznie także wiedział, bo zapewniał nas, że wartość zwierząt zostanie należycie zapłacona. Potem prosił o nazwiska dwóch europejskich naczelników naszej głównej kwatery. „Zyrkin i Czernow“ — odpowiedzieliśmy, a on nazwiska starannie zapisał. Gdy się potem pytał o nasze nazwiska, odpowiedzieliśmy mu, że jego nic nie obchodzą; będziemy tylko z samym Kambą Bombą pertraktować. Pozatem prosił nas ustawicznie o alkohol, którym ku wielkiemu jego strapieniu nie mogliśmy służyć.

XVIII.

ROZKAZ KAMBY BOMBY.

Dzień 9 sierpnia był dla nas dniem wielkiej wagi. Rano wyruszyło mnóstwo jeźdźców i patrolek w kierunku południowo-wschodnim, pędząc w tym samym kierunku trzody owiec i jaków; wszędzie wrzaski i tupot koni, beczenie owiec i niemiłe krząkanie jaków. Szereb Lama, wciąż jeszcze przygnębiony, myślał teraz stanowczo, że chciano tylko zyskać na rozpędzie do nowego, potężnego ataku konnicy, mającego nas pozbawić życia.

Już o 10 godzinie przybył nasz przyjaciel-tłumacz z wiadomością, że Kamba Bombo przybył z Nakczu z orszakami i pragnie natychmiast z nami mówić. Mamy rozbić namiot w jego bezpośrednim sąsiedztwie i przybyć na ucztę. W odległości kilku kilometrów

od nas w kierunku Lazy wyrosła już cała wieś namiotów z pod ziemi. Biało-niebieski namiot naczelnika był bardzo wielki; z innych namiotów wznosiły się już słupy dymu. Lama przyglądał się wszystkiemu przez lunetę z rosnącym niepokojem.

Ja natomiast na zaproszenie odpowiedziałem, że jeśli Kamba Bombo posiada odrobinę rozumu i ogłady, powinien wiedzieć, że obowiązkiem jego jest wpierw nas odwiedzić, zanim nas zaprosi na ucztę. Jeśli mu chodzi o nasze sąsiedztwo, niech się łaskawie do nas przeniesie; myśmy go nie wołali, nie wiemy wogóle, kto on jest i czy wogóle ma prawo przemawiania w imieniu Dalaj-Lamy. Chcielibyśmy jedynie wiedzieć, czy nam wolno odbyć dalszą podróż do Lazy; jeśli nie, wrócilibyśmy natychmiast do naszej głównej kwatery, a Kamba Bombo ponosić będzie wszelkie wynikające stąd skutki.

Biedny tłumacz wił się jak robak, prosił, błagał i lamentował: „Uczta jest gotowa i was się oczekuje; jeśli nie przyjdziecie, popadnę w niełaskę i zostanę oddalony!“ Męczył nas przez dwie godziny, ale ponieważ byłem nieubłagany, dosiadł konia i odjechał.

Wysokiemu i potężnemu władcy dać taką odpowiedź, nie było wprawdzie grzecznie, lecz nie po raz pierwszy miałem sprawę z Azjatami. Mimo to położenie nasze wydawało mi się teraz krytycznem. Przecież zginęli już Europejczycy w Tybecie — ostatnio Dutreuil de Rhins i Rijnhard — wprawdzie nie tak blisko Lazy. Zaproszenie było z pewnością próbą zwabienia nas w pułapkę: na ucztę idzie się bez broni. Prawdopodobnie chciano nas tylko pozbawić broni, dla której Tybetanie mają ogromne poszanowanie. Tak znów łatwo nie można było nas podejść. Pod.

żadnym warunkiem nie wydalibyśmy prędzej broni, aźbyśmy nie wystrzelali wszystkich naboí.

Pamiętam, jak wczoraj, owe następne godziny męczącego oczekiwania i niepokoju. Około namiotu naczelnika roíło się od ludzi i koni. Co tam dla nas przygotowywano? Czy moja szorstka odpowiedź obraziła namiestnika?

Teraz zwierały się szeregi we wsi namiotów, dosiadano koni. Długa czarna linja jeźdźców w ostrym galopie pędziła prosto na nas. Najpierw dał się słyszeć chaotyczny szum, potem rozróznialiśmy szybki tupot końskich kopyt. Staliśmy znów przed namiotem, broń leżała nabita w pogotowiu.

Tybetanie przycwałowali, w środku siedział naczelnik i namiestnik na wielkim, pięknym, siwym mule; inni jechali konno. Towarzyszył mu sztab: urzędnicy wojskowi, cywilni i duchowni, wszyscy przybrani w szaty świąteczne. Na skrzydłach jechali żołnierze, uzbrojeni do głów w fuzje, szable i lance, jak gdyby chodziło o wyprawę na jakie nieprzyjacielskie plemię. Było ich ogółem 67 ludzi, a nas — tylko trzech nędznych pielgrzymów.

Pierwszy przyjechał do nas tłumacz, oznajmiając przybycie Kamby Bomby. Gdy ten zatrzymał się tuż przed namiotem, zeskoczyło kilku ze świty z koni i rozpostarli na ziemi kobierzec oraz kilka poduszek, na których usiedli on i Nanso Lama, wysoki kapłan z Nakczu.

Teraz wystąpiłem przed namiestnika i prosiłem go spokojnie, ale stanowczo, by zechciał wstąpić do mego namiotu i tam obrać sobie miejsce. Po pewnem drożeniu się usiadł na honorowem miejscu — na mokrym worku z ryżem wśród innych niemile pachną-

cych przedmiotów. Mógł liczyć około lat czterdziestu, był mały i blady, chudy i zmęczony, lecz śmiało się wiele i robił wrażenie przebiegłego człowieka; widocznie był zadowolony, że nas przyłapał; czujność jego z pewnością wysoce ceniono.

Ubranie jego było gustowne i wytworne; wierzchnie jego szaty, kozuch i baszlik, zdjęli mu śludzy. Pysnił się teraz w kostjumie z jaskrawo żółtego jedwabiu z długimi rękawami; na głowie miał niebieską czapkę chińską; jego mongolskie buty były z aksamitu; słowem, wystrojony był na ucztę.

Gdy przyniesiono kałamarz, pióro i papier, rozpoczęły się przesłuchy, odnoszące się raczej do głównej kwatery, niż do nas samych. Rzeczywiście obawiano się napadu z północy i sądzono, że my trzej pielgrzymi jesteśmy tylko przednią strażą. Szczęście dla nas, że zostawiliśmy karawanę w górach; zabezpieczała nam niejako tyły: gdyby nam co złego uczyniono, uderzyłoby całe moje wojsko na Tybet. Dobrzy ci ludzie wyobrażali sobie bowiem, że żołnierze tysiącami leżą ukryci w górach.

Dlatego badano nasze luźno wyłożone manatki tylko pobieżnie, Kamba Bombo nie żądał nawet rewizji naszych skrzyń, wystarczyło mu oświadczenie, że zawierają żywność. Wszystko zanotowano, protokół miał być posłany do Lazy. O mnie, zdaje się, był dobrze poinformowany, bo nie zadawał mi żadnych osobistych pytań. Szagdur mówił z postawą feldmarszałka śmiało i rozkazująco i pytał się, jak śmiało zatrzymywać rosyjskich Burjatów, mających przecież prawo odwiedzania Lazy?

Szagdur, uważany za najprzedniejszego pośród nas, zachował się naprawdę wspaniale i ogromnie

imponował Tybetanom. Gdy nie mógł nic uzyskać w sprawie Lazy, zażądał przynajmniej wynagrodzenia za skradzione konie. Kamba Bombo robił wykrety; za to, co się dzieje poza granicami jego prowincji, nie odpowiada. „Tak więc, to nie jest wasza ziemia“, — rzekł niezbity z tropu Szagdur, — „w takim razie jest to może ziemia rosyjska?“ Wówczas rozgniewał się Kamba Bombo i odpowiedział krótko, że cały kraj należy do Dalaj-Lamy. Potem się podniósł i wziął z sobą Szagdura. Po chwili kazał również mnie poprosić.

„Ty mnie nie zastraszysz!“ — rzekł. „Pełnię swój obowiązek i mam rozkazy od samego Dalaj-Lamy. Jeden krok dalej — a zapłacicie go gardłem!“ Przytem pociągnął ręką, płaską jak ostrze szabli, po gardle. — „Kto jesteście, jest rzeczą obojętną! Przybyliście skrytą drogą i musicie wrócić do głównej kwatery. Parę koni otrzymacie jutro. Za jednego musicz jednakże zapłacić.“ — Gdym się potem z niego wyśmiał i bez ceremonji wróciłem do namiotu, uległ: mieliśmy więc otrzymać dwa konie wzamian za skradzione — bez zapłaty.

Wkońcu oświadczył rozkazująco, że możemy zostać, jak długo chcemy; on jednak nie prędzej powróci do Nakczu, aż nie opuścimy Dżalok. Osobna eskorta odprowadzi nas do granicy, do Saczu-sangpo; w żywność zaopatrzy się nas bezpłatnie, i na dowód, że traktuje rzecz poważnie, podarował nam natychmiast mnóstwo towarów spożywczych i dwie owce.

Zresztą Kamba Bombo był uprzejmy i życzliwy i nie okazywał ani trochę niechęci za trud, który mu zadaliśmy. Kim właściwie byłem, z pewnością nie wiedział, lecz domyślał się poza mojem nędznem mon-

golskiem ubraniem czegoś nadzwyczajnego; inaczej nie byłby przybył z tak licznym dworem i przepychem! Podczas rozprawy otaczało nas mnóstwo Tybetan, robiąc uwagi i obserwacje. Mieli oni szable w srebrze obitych pochwach, ozdobne koralami i turkusami z Nepal'u i Badachschan'u, „gawo“, srebrne amulety fili-granowe, wspaniałe bransolety i różańce, a przy war-koczach całe grona najrozmaitszych ozdób, różno-barwnych kamieni i srebrnych ozdób; wszyscy przystroili się jak najokazalej, a siodła ich i rzędy zdradzały mongolską sztukę. Znakomitsi mieli wielkie białe kapelusze z piórami, inni mieli zawoje na głowie, żołnierze natomiast wyglądali z swemi gołemi głowami i szcecinowatemi włosami jak Indjanie.

Szereb Lama był całym tym przepychem odurzony. Leżał zgięty na kolanach i nie śmiał spotkać się ze wzrokiem Kamby Bomby, zwłaszcza gdy ten poddał go nadzwyczaj surowym przesłuchom i robił mu ciężkie zarzuty. Nazwisko jego jest zapisane w księgach świątyni, a on wie bardzo dobrze, że Europejczykom zwiedzenie Lazy jest wzbronione; teraz przybywa z dwuznacznymi cudzoziemcami; sprzeniewierzył się więc obowiązkowi kapłańskiemu i jest zdrajcą, któremu nie wolno już wstąpić na świętą ziemię.

W końcu zaproponowałem Kambie Bombie, żeby zechciał wysłać list, któryby Lama wystosował do Dalaj-Lamy. Jeśli się ten dowie, kto jesteśmy, z pewnością przyjmie nas z radością. Bombo odpowiedział jednak, że straciłby urząd, gdyby się odważył, Jego Świętobliwości udzielać rad; pozatem otrzymuje on codziennie rozkazy wprost z Lazy i wie doskonale, jak się ma z nami obejść.

Potem pożegnał się uprzejmie, skoczył na swe bogato ozdobione siodło i odjechał szybko z swym wielkim orszakiem. Zmrok pokrył już okolicę, a oddział jeźdźców zniknął nam niebawem z oczu — a z nim moja nadzieja zobaczenia świętego miasta, Mekki lamaizmu.

Następnego dnia rozkazałem naszym tybetańskim stróżom zebrać nasze konie i muły, bo nie miałem chęci, tracić niepotrzebnie dłużej czasu, lecz postanowiłem wpieryw wrócić do głównej kwatery. Zanim jednak odjechaliśmy, chciałem jeszcze raz Kambę Bombę odwiedzić w jego namiocie, chociaż Szagdur i Lama mnie przed tem ostrzegali. W połowie drogi otoczyło mnie dwudziestu uzbrojonych jeźdźców; nie mówili ani słowa, lecz jechali spokojnie przedemną i za mną. Mniej więcej na kilometr przed namiotem zsiadli z koni, utworzyli pierścień i dali mi do zrozumienia, że i ja muszę zsiąść.

Za kwadrans przycwałował ten sam wielki oddział konny, co wczoraj, w środku Kamba Bombo w swym żółtym kaftanie. Rozpostarli na ziemi kobierzec i kilka poduszek, poczem usiedliśmy i prowadzili z pomocą tłumacza długą rozmowę. Lecz daremna była cała moja sztuka przekonywania. „Nie mam chęci za was oddać głowę,“ — uparcie odpowiadał; — „mnie oświście jest obojętne, czy pojedziecie do Lazy, czy też nie, lecz muszę służyć rozkazów, które stamtąd otrzymałem.“

Także, gdy zaproponowałem, że chcę zupełnie sam, bez broni w jego towarzystwie jechać do Lazy, potrząsał głową, wskazywał palcem na północ i powtarzał:

„Z powrotem, z powrotem!“

Potem wyrzekł, mrugając jednym okiem, słowo „sahib“, co oznacza „pan“, a w Indjach określa Europejczyka, szczególnie Anglika.

„Nie“, — odpowiedziałem, — „żadnym sahibem nie jestem, żadnym Anglikiem, ale Europejczykiem z kraju, leżącego hen na północy, daleko za Rosją“.

Uśmiechał się i powtarzał tylko swoje „sahib, sahib“. A gdy mu powiedziałem, że towarzyszą mi czterej Kozacy, dwaj burjaccy i dwaj rosyjscy, których mi dał cesarz rosyjski, odpowiedział: „Wy wszyscy sahiby!“

Przyprowadzono teraz dwa konie jako wynagrodzenie za skradzione, deresza i siwka. „Kaźcie dwom waszym ludziom wsiąść i wkoło nas cwałować“, — powiedziałem, a ostrożność moja była uzasadniona; zwierzęta tak były słabe i kulawe, że radziłem Kambie Bombie, żeby je lepiej wziął do swojej konnicy, ja ich nie chcę. Przyprowadzono więc natychmiast dwa inne, całkiem dobre siwki, które po odbytej próbie wziąłem z podziękowaniem.

Krótką chwilę potem siedzieliśmy wszyscy przed moim namiotem, gdzie ugościłem Bombę herbatą, tsambą, rodzynekami i tytuniem; zamieniliśmy też chińskie jamby na monetę tybetańską. Cały sztab był obecny, a słońce oświecało barwny ten obraz. Znów pokazaliśmy naszą broń, a ja dodałem z poważną miną:

„Wiedźcie, że gdybyście nas byli napadli, zastrzelilibyśmy z was 36, zanim zdążylibyście nabić wasze fuzje“.

Namiestnik zapewniał, że zupełnie nie zamyśla rozpoczynać wojny, chce tylko strzec granic przed cudzoziemcami.

— „Czemu mnie się tak okropnie boicie, że bez eskorty w liczbie 67 ludzi nie odważycie się mnie odwiedzić?“ — zapytałem.

— „Bo jesteście znakomity sahib“, — odpowiedział, „a z Lazy mam rozkaz oddania wam tego samego szacunku, co najwyższemu urzędnikowi naszego kraju.“

Nakoniec przedstawił mi trzech oficerów, którzy mieli nas z dwudziestu ludźmi eskortować przez granicę i mieć staranie o nasze zwierzęta i nasze wyżywienie tak, żebyśmy się o nic nie potrzebowali troskać. Prócz tego podarował nam jeszcze sześć owiec i wiele żywności w czarach i miskach.

Gdyśmy dosiedli koni i rozstali się z Kambą Bombą po uprzejmych wzajemnych ukłonach poże-
nalnych, powiedziałem memu paradnemu Kozakowi:

„Tak, kochany Szagdurze, wprawdzie nie widzieliśmy Lazy, lecz pozostaliśmy przynajmniej przy życiu i za to powinniśmy Bogu dziękować.“

XIX.

ODWRÓT DO GŁÓWNEJ KWATERY.

Cztery dni drogi towarzyszyła nam eskorta, której przewodnikami byli Solang Undü, Anna Tsering i stary Daksze, ten sam starzec, który się raz w czasie niewoli przed naszym namiotem tak bardzo wynosił; wszyscy okazali się jako nadzwyczaj mili ludzie tak dalece, że już pierwszego wieczora staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi. Początkowo pilnie nas strzeżono; żołnierze nie spuszcza-
li z nas ani na chwilę z oczu, jechali za nami i obok nas i najchętniejby też ujeżdżali nad

nami i pod nami, żebyśmy nie uciekli w niebo lub podziemie. Lecz stopniowo darzono nas większą wolnością. Tylko psów naszych Tybetanie okropnie się bali; nie śmieli nawet zsiąść z koni, dopóki Jolbars i Maleńki nie były uwiązane. Często spotykaliśmy mniejsze konne patrolki, które zapewne szpiegowały naszą główną kwaterę; niejednokrotnie przyłączały się do naszego orszaku. Byli wśród nich dwaj zacni lamowie, którzy swoim „korle“ czyli modlitewnym młynkiem pozwalali warczeć i śpiewnym tonem szwargotali swoje wieczne „Om mani padme hum“. Szagdur był bezustannie otoczony gromadą żołnierzy, z którymi swawolnie dworował; śmiali się do rozpuku z jego prób złamania tybetańskiego języka.

Gdy chodziło o rozłożenie się obozem, uprzejmie zapytywali mnie moi towarzysze, czy pragnę dalej jeszcze jechać; zwykle pozwalałem im samym oznaczać noclegi, bo najlepiej wiedzieli, gdzie było pastwisko i woda. Z podziwu godną szybkością rozbijali namioty, wycinali szablą trzy skiby ziemi z miękkiej murawy i postawiali na nie swój garnek do gotowania, rozdmuchując zapomocą miecha kowalskiego zapalony argol w płomienny ogień. Wieczorem zwykłem być jadać z tybetańskimi oficerami; nie mogli się nasłuchać i napatrzeć mojemu zegarkowi; za każdym razem gdym go wyciągał, przysłuchiwali się jego tykaniu. „To jest moje gawo“, — mówiłem, — „a Bóg, który tam siedzi, odmawia dzień i noc swoje „Om mani padme hum“. Patrzeli na siebie z poważną miną i uważali, że jestem nadzwyczaj dziwnym człowiekiem.

Stary Daksze był teraz naszym najlepszym przyjacielem; z rozkoszą patrzałem na jego witanie: wyciągał język, jak daleko się dało, trzymał kciuki

w powietrzu, a głowę skłaniał w tył. Na grzeczność tę odpowiadałem w równy i tak dobitny sposób, że Szagdur śmiał się za każdym razem do rozpuku.

Saczu-sangpo skurczył się teraz do czwartej części dawnej szerokości tak, że przejście odbyło się bez najmniejszego wypadku tem bardziej, że Tybetanie znali dokładnie położenie brodów.

Dnia 15 sierpnia rozstaliśmy się, i z prawdziwym żalem i szczerze zasmuceni powiedzieliśmy naszym stróżom i eskortie „do widzenia“ w tem miejscu, gdzieśmy się przed czternastu dniami spotkali z Sampo Syngim; namiot jego stał jeszcze, jego samego nie było w domu.

Następne pięć dni, dzielące nas od głównej kwatery, były uciążliwe i męczące, a noce były jak zwykle najgorsze, bo teraz musieliśmy zwierzęta nasze sami odpasać i odczuwaliśmy brak Tybetan, którzy nas jak najchętniej od tej trudnej pracy uwalniali. Już pierwszy wieczór dał nam przedsmak tego, co nas czekało. Złowrogie chmury unosiły się nad górami na południo-wschodzie, żółtawe i grube, tak właśnie jak kiedy na pustyni zbiera się na huragan. Szalony wiatr miótł przez wyżynę, a ciemność, wywołana przez północny wiatr morski połączony z gradem, trwała kilka godzin dłużej, niż zwykle. Lało przez całą noc, a księżyc, jedyny nasz przyjaciel na drodze w tamtą stronę, teraz się nie pokazywał. Miałem odbyć środkową straż, wyszedłem więc około 11 godziny, ażeby się obejrzeć za Szagdurem. Siedział przykucnięty, zmoczony do suchej nitki, pod swą wełnianą derą pomiędzy końmi i mułami i prosił mnie, bym dobrze nasłuchiwał, gdyż właśnie słyszał kroki, które uważał za ludzkie. Podeszedłem do podejrzanego miejsca

i stwierdziłem, że był to nasz dobry Maleńki, pijący z bliskiego źródła wodę.

Wybrałem inną drogę niż w podróży w tamtą stronę, ażeby zobaczyć więcej nieznanego kraju. Wskutek tego dostaliśmy się w zwój gór o błotnistym, zdradzieckim gruncie. Raz potrzeba było kilka godzin dla przedostania się przez okrutne wzgórze, gdzie zwierzęta grzęzły po brzuchy. Wkrótce byliśmy całkiem wyczerpani nocnymi strażami, długimi marszami i opadami.

Dnia 18 sierpnia przestał deszcz padać; przynajmniej na kilka godzin, więc odpoczywaliśmy na wzgórzu. Powietrze było przejrzyste i spokojne, a temperatura podniosła się do 19 stopni w cieniu; chwilami było tak gorąco, że można się było obawiać porażenia słonecznego. Leżeliśmy wyciągnięni bez zajęcia na ziemi, a zwierzęta szczypały trawę.

Strasznie leniwie i z trudem wyruszaliśmy z tego miłego miejsca wypoczynku. Zaledwie byliśmy w drodze, już też powstała nowa gradowa zawierucha, lato zmieniło się jednym zamachem na zimę, wdzialiśmy więc znów kożuchy.

Na jednym wzgórzu zatrzymał się Maleńki i zaczął wściekle ujadać. Natychmiast podjechałem do niego w mniemaniu, że ujrzał ludzi, gdyż tuż przed sobą zoczyłem niedźwiedzia, pilnie zajętego wydrapywaniem jamy świstaka. Ujrawszy mnie, przeląkł się okropnie i uciekał w galopie, za nim pobiegły psy, dzielnie dokuczając mysiovi i darząc nas wesołym widowiskiem.

Następowała znów ciemna, bezkresna noc z odwachami. Każdy z nas miał swój sposób spędzania czasu na posterunku. Ja siedziałem, pisząc przy

świeczce, przed wejściem do namiotu, obchodziłem jednak co pięć lub dziesięć minut obóz. Szagdur siedział, otulony płaszczem, pomiędzy uwiązanimi zwierzętami i palił fajkę. Lama przechadzał się tu i tam, odmawiając swe modlitwy śpiewnym tonem.

Wreszcie ujrzeliśmy z niskiego przesmyku ku naszej radości wielką, otwartą dolinę, którą jechaliśmy samotrzeć zaraz pierwszego dnia po wyruszeniu z głównej kwatery. Okolica leżała cicha i pusta, nic nie oznajmiało, że w pobliżu przebywali ludzie. Lecz Lama nie dał sobie wybić z głowy, że główna kwatery otoczona jest zupełnie przez Tybetan; nasze dotychczasowe przygody czyniły go nerwowym.

Ponieważ jeden z koni upadł i nie chciał się podnieść, musieliśmy w tym miejscu obozować. Naza jutrz był znów wesoły i, kulejąc włókł się za nami.

Było to 20 sierpnia, lało znów jak z cebra. Pozostawiliśmy już za sobą nasze pierwsze obozowisko podróży w tamtą stronę, gdy wtem rozległy się strzały z fuzyj i ujrzeliśmy „jaka“, pędzącego na wzgórze. Zwróciliśmy się natychmiast w tę stronę i ujrzeliśmy dwa czarne punkty, rozwijające się zwolna w dwóch jeźdźców. Byli to Tybetanie? Nie, jechali wprost na nas, i po chwili poznaliśmy Zyrkina i Turdu Baja! Zsiedliśmy z koni i czekali, aż zbliżyli się, płonąć z radości — o takiej zdobyczy ani im się śniło, gdy wyruszali rano na polowanie celem zdobycia świeżego mięsa do swej kuchni. „Bóg was obronił, chwała Bogu!“, — powtarzali bezustannie; — „byliśmy bez ojca w czasie waszej nieobecności“.

Wkrótce siedziałem znów w swej wygodnej jurcie. Co za wspaniałe uczucie, być u siebie „w domu“! Kiedym obejrzał obóz, musiał mi Czerdon przygoto-

wać ciepłą kąpiel — przecież nieomal cały miesiąc się nie myłem — i musiał trzy razy zmieniać wodę, zanim w czystym europejskim ubraniu odzyskałem wygląd człowieka.

Również Czernow przybył szczęśliwie z tylną strażą do głównej kwatery i tak się dzielnie sprawił, że stracił tylko dwa konie i dwa wielbłądy, lecz jeden z nich był moim wiernym weteranem z podróży do Keriji w roku 1896. Inne wielbłądy doskonale wypoczęły.

Już następnego dnia poszliśmy do obozu 44, gdzieśmy się rozstali i gdzie jeszcze leżała na zboczach padlina dwóch koni, które zdechły w czasie mej nieobecności.

Po powrocie Erdeka, który dał groźny opis nocnego napadu i kradzieży koni, obawiali się moi ludzie w głównej kwaterze dla nas trzech pielgrzymów najgorszych rzeczy. Tem radośniejszy panował teraz nastrój. Kozacy zbudowali sobie swojski strunowy instrument, bałabajkę, i z pomocą tybetańskiego fletu, dzwonu ze świątyni, dwóch odwróconych miedzianych garnków, zegaru kurantowego i czterech jasnych gardzieli urządziliśmy w ostatnim dniu wypoczynku wśród ulewy wspomniały koncert, budzący największą wesołość.

XX.

NOWE PRZEDZIERANIE SIĘ DO LAZY.

Dnia 25 sierpnia opuściliśmy ostatecznie główną kwaterę; celem mej podróży był teraz Ladek. Po-
stanowiłem jednak w ostatnich dniach, że zanim pójde na zachód, jeszcze raz popróbuje posunąć się do wzbro-

nionego południa. Trzej Kozacy, którzy jeszcze Tybetan nie widzieli, przysłuchiwali się opowiadaniom Lamy i Szagdura z największym podziwem, a kiedy ich zapewniałem, że napotkamy w najbliższych dniach na całe wojsko Tybetan, oczekiwali z rosnącym napięciem przyszłych zdarzeń.

Smutny był początek naszej nowej podróży przez środkowy Tybet, bo już podczas wyruszania straciłszy trzy konie; dwa padły tuż za obozem, trzeci przeszedł jeszcze przez pierwszy przesmyk. Dzień ten był jednym z najgorszych, jakie wogóle mieliśmy. W nocy padał śnieg, rano zaś lało jak z cebra. Cały kraj wyglądał, jakby składał się z samego błota, w którym napróżnoby szukać gruntu.

Gdyby nas nie było tak wielu, musielibyśmy nieraz poprostu zostawić wielbłądy, które ugrzęzły aż po brzuchy w mokrej glinie. Ustawicznie trzeba im było zdejmować ciężary i ustawiać na możliwie twardym gruncie, ażeby i te nie zniknęły. Następnie odkopywano błoto łopatami, kładziono wielbłąda na bok, wyciągano zapomocą liny jedną nogę po drugiej, i zwierzę zdobywało grunt na wełnianych derach, pokładanych w kilka warstw, jeśli wogóle chciało się samo wreszcie podnieść. Zazwyczaj leżą wielbłądy spokojnie, aż się je wyciągnie.

Gdy się przebudziłem dnia 28, doniesiono mi, że niema Kalpeta z Keriji. Pozostał on ubiegłego dnia w tyle z powodu bólu w piersiach, lecz wszyscy przypuszczali, że idąc powoli naszymi śladami po nadejściu ciemności, przybył niepostrzeżony. Wysłałem kilku konnych na poszukiwanie. W kilku godzinach wrócili z biedakiem; zachorował i miał teraz jechać na mule i mieć jak najlepszą opiekę.

Obóz 68 położony był na wysokości 5068 m; jeszcze nie można było dostrzec zniżania się wyżyny. W nocy temperatura spadła na 10 zaledwie stopni; nadchodziła jesień, lecz nie przeczuwaliśmy jeszcze złej zimy, która nas czekała. Ślady starych i nowych obozowisk były teraz coraz częstsze, mogliśmy więc każdej chwili napotkać na ludzi i ci, co nie widzieli jeszcze Tybetan, byli w coraz większym napięciu. Zwierzyna była bardzo obfita: kulany, „jaki“, dzikie owce, barany „Kekmek“, antylopy i zajęce gromadami się spotykało. Nocą złowrogo wyły wilki po górach. Również częste były orły, nad brzegiem małego jeziora gnieździło się całe towarzystwo; młode nie umiały jeszcze latać, broniły się jednak przed naszymi psami tak dzielnie dziobami i szponami, że napastnicy musieli się cofnąć zawstydzeni.

Z jednego przesmyku, który przebywaliśmy dnia 1 września, roztaczał się przed nami ku południowi wreszcie pocieszający widok; kraj był na kilka dni drogi ku południowi całkiem płaski. Pastwisko było dobre, ziemia jaśniała nawet zielenią, to też przy pierwszym źródle rozbito namioty. Koczowników jeszcze nie widziano, a obozowiska, które mijaliśmy, były wszystkie dość stare.

Lecz po południu powstał w obozie niepokój. Okazało się, że trzoda, którą mieliśmy początkowo za dzikie „jaki“, przetworzyła się przy obserwowaniu przez lunetę na stado koni; lecz ludzi nie mogli rekonoskujący Kozacy dojrzeć. Dopiero następnego dnia zarysowywały się na kilku wzgórzach daleko na południu tysiące owiec. Natychmiast pojechali tam Lama Szagdur i Zyrkin. Po kilku godzinach wrócił Lama z „dombą“ mleka, Kozacy zaś przybyli nieco później,

popędzając przed sobą trzech Tybetan, którzy szli pieszo, prowadząc swe konie i jedną owcę. Kozacy znaleźli namiot z trzynastu mieszkańcami, którzy na widok przybyszów poczęli uciekać, lecz że nie mieli przy ręce koni, z łatwością zostali dognani.

Trzej ci ludzie byli ogromnie przestraszeni, lecz mimo to nie chcieli nam sprzedać żywności, ponieważ otrzymali od swego bomby, mieszkającego nad wielkim jeziorem Selling-Tso, surowy zakaz pomagania nam w jakikolwiek sposób. Dopiero, gdy Szagdur nieco rozgniewany na Tybetan od czasu, jak nam zamawiali drogę do Lazy, potraktował jednego z mężczyzn szpicrutą, wówczas byli nam powolniejsi i dali czarę mleka i jedną owcę. Oświadczyli, że są podanymi Banczing Bogdy w Taszi-lumpo; z władzami w Lazie nie mieli żadnej styczności.

— „Dokąd to podróżujecie?“ — zapytał jeden z nich.

— „Do Ladaku“, — odparł Lama.

— „To jesteście na błędnej drodze; na południe możecie jeszcze tylko iść jeden dzień, bo tam drogę zamuje Selling-tso, a jest tam ludność bardzo gęsta.“

W obozie ugościliśmy ich herbatą, chlebem i tytuniem; wzięli dopiero po krótkim namyśle. Owcę zapłaciliśmy im pieniędzmi z Lazy, za mleko otrzymaliśmy porcelanową filiżankę. Koni nie mogli nam sprzedać, bo stado nie należało do nich. Siedzieli przez cały czas jak na węglach, chociaż ich Lama starał się uspokoić.

Ponieważ nic więcej nie umieli nam powiedzieć, pozwoliliśmy im odejść. W jednej chwili siedzieli na koniach. Chciałem ich jeszcze fotografować; dlatego Lama zatrzymał ich ostatniem pytaniem, przyczem zatrzymał jednego konia za strzemiona. Skoro tylko

puścił, ruszyli z kopyta i uspokoiли się dopiero, gdy się znaleźli poza doniosłością strzału.

Gdyśmy 3 września ciągnęli dalej ku południowi przez kraj, niebardzo gęsto zaludniony koczownikami, rozpoczęło się widowisko, oczekiwane przez Kozaków z niecierpliwem napięciem. To na prawo, to na lewo od nas wyrastali z ziemi konni żołnierze; gromadzili się powoli i otaczali nas wśród dzikiego wrzasku wojennego. Chcieli nas oczywiście zastraszyć i zatrzymać; tego dokonał jednak z lepszym skutkiem nasz stary przyjaciel, Saczu-Sangpo, którego wody teraz naszej wędrownicy na południe na nowo położyły kres.

Nazajutrz odwiedził nas bombo tej okolicy z swym sztabem. Błagał i prosił, żebyśmy zawrócili i przyrzekał nam przewodników, żywność, konie i owce i wszystko, czego byśmy sobie tylko życzyli, gdybyśmy byli tak dobrzy i udali się natychmiast do Ladaku. Gdybyśmy zaś chcieli pojsć do Lazy, to musiałby dopiero wysłać kurjera z prośbą o wskazówki. Gdym go uprzejmie prosił, by sobie poszedł, gdzie pieprz rośnie, i swego nosa nie wścibiał do moich spraw, oświadczył z rezygnacją, lecz nieustraszony: „Możecie nas zabić, lecz dopóki żyjemy, dopóty będziemy wstrzymywać wasz pochód ku południowi.“

Tymczasem przyszykowano moją małą łódź, i wydawszy Kozakom rozkaz pójścia z karawaną wzdłuż rzeki prawym jej brzegiem, wsiadłem do mego starego statku i popłynąłem z prądem potężnej rzeki z Erdekiem jako załogą. Na szczycie pionowo spadającego wzgórza mieli Tybetanie obóz. Łódź mknęła właśnie pod skałą; w tej chwili podnieśli, gestykułując rękami i nogami, dzikie wycie; obawiałem się już, że będą

nas bombardować deszczem głazów. Bylibyśmy wówczas zgubieni. Odetchnęliśmy więc, gdy byliśmy poza krytycznym punktem i płynęli dalej zakrętami rzeki pomiędzy wysokimi nieznanymi brzegami. Usiadłem na poduszce i wełnianych derach, wygodnie, jak na krześle. Była to wspaniała jazda, prawdziwy odpoczynek. Czernow towarzyszył nam konno brzegiem jako łącznik z karawaną, ściganą wciąż jeszcze przez Tybetan. Kalpet jeszcze nie przyszedł do siebie; również jeden z jego towarzyszy, Mohamet Tokta począł znów chorować.

Po przebytej nad brzegiem nocy z swoimi i Tybetanami odbywaliśmy dalszą drogę w ten sam sposób. Rzeka rozszerzała się zwolna; w kierunku południowym zdawało się rozprzestrzeniać wielkie morze, ziemi nie można tam było dojrzeć. Tylko z lewej strony ukazała się odnoga górska, położona na wschodnim wybrzeżu ogromnego jeziora Selling-tso. Przy pięknem, ciepłym powietrzu, wywołującym fata morgana, zdawało się, że cały łańcuch wisi nad ziemią, a nasze wielbłądy, idące około dwóch kilometrów na zachód od nas zdawały się, zdaleka patrząc, iść na wysokich, cienkich szczytach. Teraz rzeka dochodziła do kilku kilometrów szerokości, a wkońcu brzegi zupełnie ustąpiły. Wspaniałem ujściem w kształcie trąby wpływa Saczu-Sangpo do Selling-tso. Roztoczył się przed nami zachwycający widok; jeszcze daleko na jeziorze kołysała się łódź na brudno-szarej wodzie rzecznej, dalej jednak lśniło się jezioro wspaniałym błękitno-zielonym tonem barw.

Początkowo było jezioro tak miłątkie, że musieliśmy zrobić okrąg, ażeby dobić do północno-zachodniego brzegu. Tam oczekiwało mnie kilku naszych

z końmi i zaprowadziło nas do nowego obozu, gdzie w pobliżu stały trzy tybetańskie namioty.

Podczas mojej podróży rzecznej otaczali karawanę kołem tybetańscy jeźdźcy, przeszkadzający uporczywie Kozakom w zakupie żywności w przydrożnych namiotach. Kozacy, zagorzalsi odemnie, kazali im przez Lamę powiedzieć, że pierwszy Tybetanin, który się zbliży jeszcze na doniosłość strzału, zostanie po prostu zastrzelony. Przez resztę dnia trzymała się też dzielna milicja krajowa w odpowiedniej odległości, korzystaliśmy więc ze sposobności i nakupili u najbliższych koczowników, którzy jeszcze nie wiedzieli, że jesteśmy wygnańcami, owiec, mleka, masła i sadła.

Był już też czas, bo następnego dnia przybył oddział więcej niż 50 konnych, którzy w naszym pobliżu rozbili namioty. Kilku z nich prowadziło z Lamą rokowania na neutralnem terytorjum pomiędzy dwoma obozami, ja zaś kazałem im powiedzieć, że jeśli ich dowódca nie stawia się u mnie osobiście, to z układów nic nie będzie.

Trzy godziny namyślał się, zanim postanowił zjawić się pieszo w moim obozie wraz z dziesięciu uzbrojonymi ludźmi. Chcieliśmy ich przyjąć herbatą, chlebem i tytuniem, lecz niczego nie tknęli. Dowódca miał wygląd miłego starca. Ażeby rozproszyć jego obawę, nakręciłem zegar kurantowy, lecz nawet marsyljanka nie zdołała zmienić jego miny; prawdopodobnie uważał zegar ten za maszynę piekielną lub sikawkę, z której wytryskują kule, lub wogóle za jakąś zabawkę w dobrem towarzystwie niewłaściwą. Właśnie, gdy przeciągłe, teskne tony „Cawalerji“ łaskotały jego nieczułe uszy, prosił mnie błagalnie, bym zawrócił; otrzymam wszystko, co do odwrotu będzie potrzebne.

W przeciwnym razie prosił mnie, bym zaczekał cztery dni, aż nie otrzyma odpowiedzi od Dewaszung'u, „Świętej Rady“ w Lazie, dokąd natychmiast wysła posłańca. Odpowiedziałem tylko, że nie mamy na to czasu, ale jutro pociągniemy dalej ku południowi.

— „Wówczas pojedziemy za wami i nie pozwolimy wam wejść do Lazy“, — odpowiedział, — „otrzymamy niebawem posiłki.“

— „Jeśli nas chcecie wstrzymać, musicie strzelać; lecz pomyślcie, że my też mamy fuzje!“

Na to potrząsnął głową; „Nie myśleliśmy nigdy o strzelaniu; tak twardej słów nie potrzebujemy zamieniać, jesteście przecież przyjaciółmi.“

Za podarunki, które mu ofiarowałem, podziękował, dodał jednak:

„Jeśli zaczekacie tu cztery dni, odbiorę wasze dery z przyjemnością i odwzajemnię się; prócz tego otrzymacie wszystko, czego wam potrzeba będzie w podróży do Ladaku z żywności i zwierząt karawanowych.“

Potem wrócił do swego namiotu, przygnębiony i stroskany.

XXI.

POWTÓRNIE ODPĘDZENI.

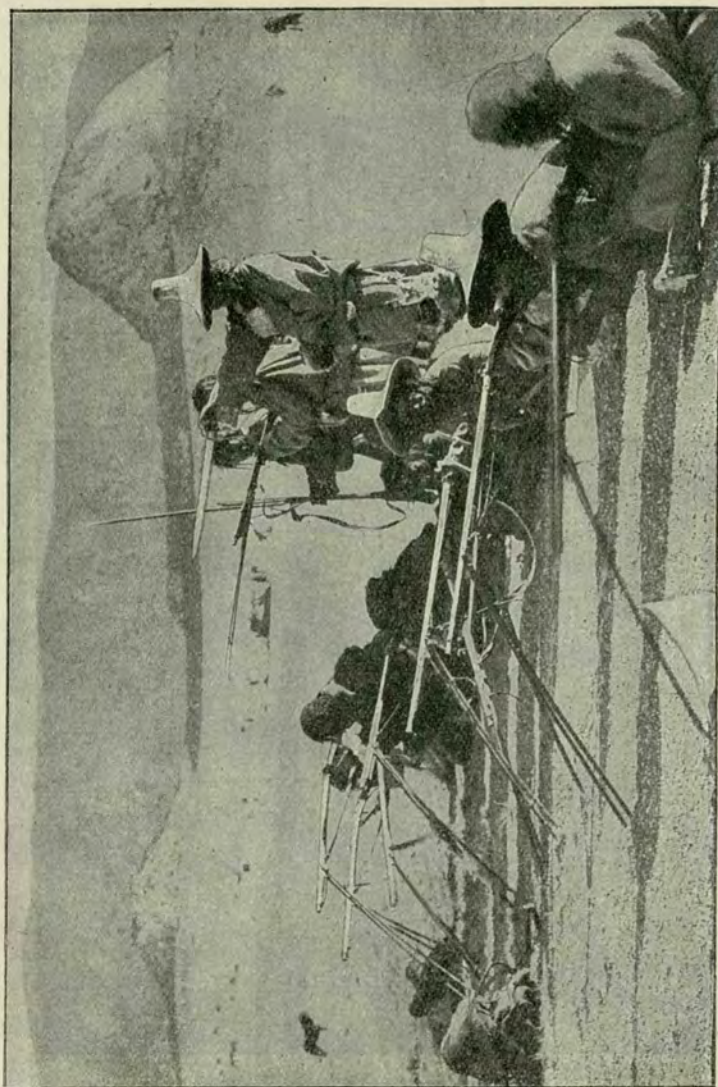
Poszliśmy więc w dalszą drogę, chcąc obejść Selling-tso od zachodu; za nami szło 63 Tybetan. Stary naczelnik wciąż jeszcze napierał na mnie prośbami i groził niezliczonemi wojskami, które mnie niebawem gwałtem odpędzą. Odpowiedziałem mu tylko tyle, że dla mnie może zmobilizować dziesięć tysięcy

ludzi. Wtedy dał za wygraną i cofnął się z swą swiżą do swych namiotów na północo-zachód. Życzyłem mu szczęśliwej drogi i byłem naprawdę rad, że mnie wreszcie zostawiono w spokoju.

Z prawego brzegu wpływał kryształowy potok, przez który przeprawiliśmy się bez trudności. Niezliczone mnóstwo mew zdradzało, że były w nim ryby, a Kozacy strzelali do dzikich kaczek. Tak wspaniałego obozowiska dawno nie mieliśmy.

Zaledwie urządziliśmy obóz, ujrzeliśmy czarne oddziały konne, cwałujące z północnych gór; były to te same wojska, które nas przed chwilą opuściły. Odeszli widocznie tylko celem zaopatrzenia się w żywność i wiedli teraz z sobą, jakby na dłuższą wyprawę, mnóstwo jucznych koni. Przeprawili się przez rzekę i przelecieli w dzikim pędzie mimo nas, poza i pomiędzy naszymi namiotami. Z dzikiem wyciem wywijali dzidami, udawając, że nas nie widzą, poczem ulecieli jak huragan. Barwne szaty, wspaniałe, błyszczące szable oraz białe i czerwone chorągiewki przy fuzjach widełkowych przedstawiały widok nadzwyczaj malowniczy.

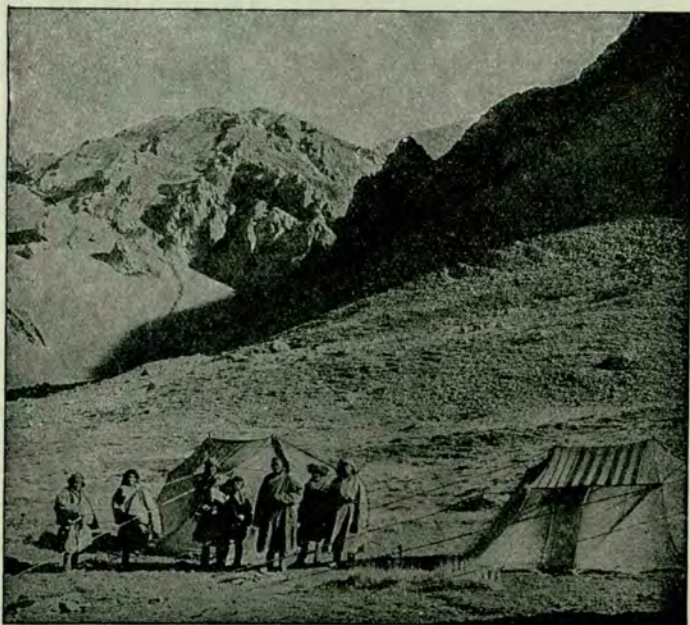
Potem zbierali się przed swoim obozem, który rozbili w odległości około 100 m od naszego, dokoła swych oficerów, objaśniających im fuzje, bo dzielne to żołdactwo dotąd nie było wtajemniczone w sposób ich użycia! Kiedy niekiedy wydawali równocześnie dziwne okrzyki, nabijali fuzje i kładli je w jednej linii, lufy ku nam zwrócone, na widełki. Ponieważ obóz ich położony był na wzgórzu, opanowaliby w razie ataku nasz obóz w zupełności. Lama, a także Szagdur byli przekonani, że w nocy posypie się na nas morderczy ogień.



Tybetanicy strzelcy.



Tybetańska konnica.



Namioty tybetańskich koczowników.

Celem wyjaśnienia położenia, poszedłem o zmroku z Szagdurem i Lamą do namiotu Bomby, gdzie się natychmiast zaroilo od oficerów. Przyjęto mnie uprzejmie, odmówiłem jednak, odwzajemniając się, przyjęcia jakiegokolwiek poczęstunku. Zresztą rozmawialiśmy zupełnie przyjaźnie, wkońcu przyrzekłem, że zostaniemy tutaj nad brzegiem Jagju-rapgy jeszcze przez dzień następny, jeśli nam Tybetanie rano przyniosą do namiotu rybę średniej wielkości. Zapewniali bowiem, że w rzece jest obfitość ryb, co mogłoby przynieść bardzo pożądaną zmianę w naszych jednostajnych jadłospisach i bardzoby ucieszyło wielu z mych ludzi; przynieśliśmy z sobą kilka sieci z Abdalu, pożyczylem więc jedną z nich Tybetanom, nie umiejącym się jednakże zupełnie z nią obchodzić.

Już o pierwszym świcie przybyło kilku Tybetan przed mój namiot, niosąc w triumfie mizernie małą rybkę. Zadali sobie ogromnie wiele trudu, ażeby lichą tę zdobycz przyłapać, zapewniali też, że byliby przy tej sposobności postradali życie! W rzeczywistości jednak, według zeznań naszego nocnego posterunku, udało im się zapomocą kamieni wytrącić mewie jej zdobycz. Mimo to musiałem uznać ich dobrą wolę i stosownie do mego przyrzeczenia pozostałem tutaj przez cały dzień, przedewszystkiem zaś celem łowienia ryb.

Teraz mieli Tybetanie zobaczyć, jak się łowi ryby. Zestawiono łądz i rozpostarto sieci poniżej małego wodospadu; ja i Erdek zaczęliśmy manewrować i w mgnieniu oka mieliśmy 28 pięknych ryb, Kozacy zaś łowili z niemniejszym powodzeniem z brzegów zapomocą wędki. Mało nas to wzruszało, że co chwila grad nas obsypywał. Czarni Tybetanie, siedzący na

wałach jak wrony, chcieli sobie oczy wypatrzeć, nie mogli jednakże pojąć, jak można ryby jeść; jest to równie wstrętne, jakby się jadło jaszczurki lub węże!

Wieczorem złożył mi bombo z 30 Tybetanami rewizytę, niosąc mi w nagrodę za nasze pozostanie dwie owce i trzy kubły mleka. Lecz dłuższe czekanie nie było moim zamiarem. Następnego dnia szliśmy przez okazałą bramę skalną nad brzegiem Selling-tso ku południowi. Jechałem na czele, gdy nagle przybiegło dwóch moich ludzi z doniesieniem, że Kalpet poważnie zachorował. Już od kilku dni czuł się niedobrze, lecz miał wciąż jeszcze dobry apetyt. Teraz znalazłem go leżące na rozłożonej na ziemi wełnianej derze, raczej umarłego, niż żywego. Oczy jego miały szklany połysk, zapadnięte policzki były żółte, a wargi sino-białe. Zatrzymaliśmy się natychmiast, a jeden namiot zamieniono na szpital. Ponieważ nie mieliśmy wody, wolno mu było pić mleka, ile tylko zechciał. Mała doza morfjum sprowadziła na niego sen. Także drugi z mych ludzi, stary Mohamet Tokta, który mimo swej choroby sercowej pomagał tak wiernie w opatrywaniu wielbłądów, był pacjentem w zaimprovizowanej lecznicy; cały brzuch począł mu już puchnąć, a w palcach stracił czucie.

Noc upłynęła spokojnie, a rano przez chwilę rozmawiałem z Kalpetem. Czuł, że był ciężko chory, i skarżył się, że jeden z towarzyszy obił go przed kilku dniami. W rzeczywistości nie było tak źle, lecz umierający smutnem tem wspomnieniem całkiem się przejął. Biedak, zawsze cichy i zamknięty w sobie, robił teraz wrażenie człowieka, opuszczonego przez Boga i ludzi, beznadziejnie samotnego. Kiedym się starał go pocieszyć, robiąc nadzieję i podnosząc na

duchu, zamglila się jego świadomość i zapatrzył się milcząco w nieznaną dal.

Ze względu na chorych bylibyśmy kilka dni chętnie odpoczywali, lecz nie było tu wody, ani trawy, więc musieliśmy szukać lepszego obozowiska. Kalpeta położono wygodnie na jego wielbłąda, Mohamet Tokta podniesiono na konia, którym mógł sam kierować, poczem pochód ruszył przy głuchym dźwięku dzwonków karawanowych. Nastrój był przygnębiający i ponury, bo czuliśmy wszyscy, że naszej karawanie towarzyszy dzisiaj śmierć.

Z małego progu przesmyku ujrzeliśmy najwspanialszy krajobraz, jaki dotychczas w Tybecie wogóle widzieliśmy. Jezioro, zwane Naktsong-tso o wodzie ciemno-błękitnej, przejrzystej jak kryształ, miało swe łożę pomiędzy malowniczymi łańcuchami gór. Na wszystkie strony rozwierały się wspaniałe fantastyczne widoki, sięgające głęboko do ciemnych fjordów i zatok, na które deszczem ciężarne chmury rzucały cienie, gdy małe, dzikie, skaliste wyspy kąpały się w świetle słonecznym. Tu i owdzie opadały skały spadzisto ku brzegowi jeziora. Dopiero po wywiadzie Kozaków mogliśmy posuwać się dalej wzdłuż skał brzegiem północnym ku wschodowi, bo Tybetanie nie chcieli nam dać żadnej wskazówki, dotyczącej naszej drogi.

Maszerowaliśmy wzdłuż ogromnej zatoki. Kalpet prosił kilka razy o wodę i skarżył się kilkakrotnie, że wielbłąd jego idzie zbyt szybko. Lecz gdy przez całą godzinę się nie odzywał, zatrzymał się ambulans, zamykający karawanę. Chcieliśmy chorego przełożyć. Lecz było to już zbyt ciężkie, bo Kalpet był już nieżywy i zimny, a oczy jego straciły blask. Gdy Molah Szah mu je przycisnął, szła karawana przy dźwięku dzwon-

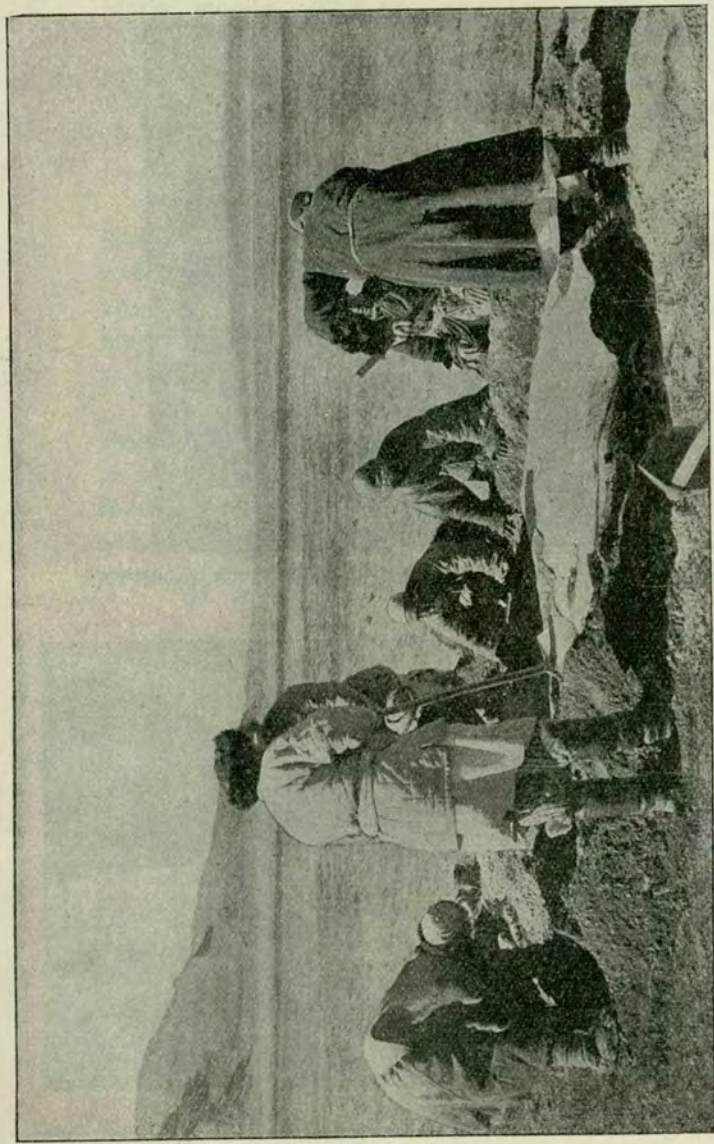
ków dalej. Muzułmanie śpiewali jak zwykle, ażeby urozmaicić sobie jednostajny ten marsz, teraz jednak było cicho jak w grobie i tylko stąpanie zwierząt po piasku i zwirowym brzegu i dyszący oddech wielbłądów przerywały milczenie. Wewnątrz zatoki rozłożyliśmy się obozem w pobliżu wsi koczowników, składającej się z kilku czarnych namiotów.

Dzień pogrzebu, 12 września, rozpoczął się jasnym blaskiem słonecznym, i wśród świeżego wiatru pluśkały fale, melodyjnie i metalicznie dźwięcząc, o brzegi. Mahometanie prosili mnie, by mogli swego współwyznawcę pochować ze zwykłymi ceremonjami. Do jednego z namiotów, w którym przez noc stało ciało Kalpeta, strzeżone przez dwóch ludzi, bo w kraju niewiernych, udali się teraz Molah Szah, Turdu Baj i Hamra Kul, by obmyć umarłego i ubrać go w białe płótna. Do tej czynności obwiązali sobie twarz prócz oczu chustami, żeby nie oddychać bezpośrednio trupiem powietrzem. Na dworze siedział Rozi Molah, kapłan, i czytał głośno z koranu.

Potem położono nieboszczyka na drabinkę wielbłądzą, a towarzysze zanieśli go do pobliskiego grobu i spuścili do jego łona. Molah Szah i Molah weszli również do dołu, ażeby umarłego położyć w bocznym wgłębieniu grobu. Następnie przemawiał Molah, siedząc w grobie, szeptem, jakby go miał tylko nieboszczyk słyszeć, w następujący sposób:

„Byłeś uczciwym, wiernym mahometaninem, nigdy nikomu z nas nie uczyniłeś nic złego, żal nam za tobą i oplakujemy twą śmierć, służyłeś Turze (panu twemu) wiernie i szczerze.“

Na grobie położono drabinkę wielbłądzą, na niej rozpostarto wełnianą derę, a ponad wszystkim wznie-



Grób Kalpeta.



Szereb Lama na „gniadoszu“ z „tygrysem“ na linie.



Obie wstęgi lodowe w dolinie.

siono mogiłę. Podczas najbliższego deszczu albo przy nastąpieniu na miejsce to „jaka“ pusty ten grób musiał się zapaść. Również nietrwały pomnik z grud i kamieni ustawiono w głowach, poczem mahometanie rzucili się na kolana wkoło grobu, podnieśli dłonie na wysokość twarzy i odmawiali pacierze.

Wróciliśmy potem od gorzkiej powagi śmierci do drobnostkowych codziennych trosk, objuczyli wielbłądy i wyruszyli w dalszą drogę. Jak smutny był ten nieznaną grób w dalekim kraju! Koczownicy pędzą przez niego swe trzody, a w noc zimowe wilki wyją w pobliżu.

Tybetanie, przyglądający się naszym czynnościom z pełnej szacunku odległości, utrzymywali z pewnością, że wszystko to jest niewłaściwe i niepotrzebne i pytali się, czemuśmy lepiej trupa nie rzucili na żer wilkom, sępom i krukowi. Oni tak bowiem czynią, jakieśmy to przy innej sposobności mieli zobaczyć.

XXII.

POSŁOWIE DALAJ-LAMY.

Wesołym uśmiechem rozpędził dzień smutne wspomnienie poranku, i znów ziemia, na której powierzchni wędliłszy tak szybko przemijający, niepewny żywot, roztoczyła przed nami jeden z najpiękniejszych krajobrazów. Tybetanie byli tuż za nami, gdy powtórnie przechodziliśmy przez okazałą bramę skalną, poza którą odsłaniał się ku południowi daleki krajobraz. W oddali widać było grupę czarnych i dwa białe namioty. Gdyśmy je mijali, podjechał do mnie oddział

konny z doniesieniem: dwaj wysocy panowie przybyli z Łazy i proszą mnie o rozmowę; mają od samego Dalaj-Lamy rozkaz i proszą mnie, żebym w każdym razie obozował w ich sąsiedztwie. Ponieważ około nas coraz bardziej zaczęło się roić od tybetańskich żołnierzy, było rzeczą najrozsądniejszą, przychylić się do prośby o rozmowę. Odpowiedziałem więc, że oczekuję odwiedzin tych panów.

Już po kilku minutach wystąpiło dwóch znakomych, czerwono ubranych mężów z biało-niebieskich namiotów i dosiadło koni, poczem dwóch piechurów prowadziło oba konie za cugle do mnie, siedzącego wciąż jeszcze w siodle. Obaj przybysze robili wrażenie uprzejmych i jowialnych ludzi; prosili nasamprzód, bym obozował w ich sąsiedztwie, ponieważ mają dla mnie bardzo ważne wiadomości; po niejakiem namyśle zgodziłem się na to.

Gdyśmy ze wszystkim byli gotowi, było mi zbyt długo czekać, aż dwaj posłowie zechcą dać znać o sobie. Posłałem więc do nich Lamę z doniesieniem, że wyruszę, jeśli się nie pospieszą. Zjawili się też natychmiast z wielkim orszakiem i weszli z grzecznym pokłonem do namiotu kuchennego, przystrojonego dla audjencji barwnym kobiercem z Chotan'u i w skrzynię, pokrytą derą i mającą służyć za stół. Zasiadliśmy tutaj, na dworze zaś przed namiotem tłoczyła się wielka gromada Tybetan pomieszanych z Kozakami i mahometanami.

Dwaj posłowie Dalaj-Lamy byli namiestnikami z Namru i Naktsong, równocześnie też członkami Dewaszung'u, Świętej Rady w Łazie, i byli tu przysłani, aby kres położyć mojemu dalszemu posuwaniu się naprzód. Nazywali się Hładże Tsering i Junduk

Tsering. Pertraktowaliśmy całymi godzinami, przyczem Lama służył nam za tłumacza.

Dwaj czcigodni panowie oświadczyli teraz: nie wolno ani kroku postąpić naprzód ku południowi, gdyż inaczej musieliby to oni lub my przypłacić życiem; wstrzymywałyby mnie miliony żołnierzy. Rozogniali się bardzo, krzyczeli, pocili się i gestykulowali; odpowiedziałem spokojnie, że obroniłyby nas wyższe moce; prócz tego posiadamy straszną broń.

— „Kari-sari?“ (Co on mówi?) — pytali się bezustannie. — „Mówi, że chce dalej iść na południe.“

— „Mig jori (jeśli ma oczy), zobaczy jutro, jak odpędzimy waszą karawanę z powrotem,“ — wołali; bezustannie krzyczeli „mig jori, mig jori!“

Śmiałem się tylko i wreszcie odpowiedziałem: „Mig jori, jeśli macie oczy, to uważajcie jutro, jak pociągniemy ku południowi; miejcie jednak fuzje wasze w pogotowiu, gdyż poszumi wam niemile koło uszu!“

Wtedy uderzyli w inny ton i błagali, żebyśmy wreszcie zaprzestali dalszej drogi na południe. Jeśli byśmy na tej samej drodze, którą przyszliśmy, wracać zechcieli, otrzymalibyśmy przewodników i żywność i wszystko, co nam potrzeba, wówczas wszystko pod każdym względem byłoby dobrze.

Nie miałem wcale zamiaru, głową bić o mur; rzeczywiście miałem na ten raz dość Tybetu, pragnąłem pójść do Ladaku, a jeszcze bardziej do domu, do mej Szwecji. Dla żartu jednak powiedziałem jeszcze raz, że wszystkie ich usiłowania są daremne.

„Tak,“ — odpowiedzieli, — „dobrze, nie będziemy na was i waszych ludzi strzelać, ale uniemożliwimy wam podróż!“

— „W jaki sposób?”

— „Dziesięciu, dwudziestu naszych żołnierzy będą każdego waszego jeźdźca trzymać i taka sama liczba każdego wielbłąda; będziemy trzymali wasze zwierzęta, aż nie będą mogły stać i upadną.“

— „A jeśli na was potem będziemy strzelać?”

— „Nie szkodzi; zabiją nas w każdym wypadku, jeśli was przepuścimy. Otrzymaliśmy stanowcze rozkazy z Lazy.“

— „Pokażcie mi je,“ — odpowiedziałem, — „wówczas przyrzeknę, że nie pójdę dalej na południe, ale stąd wprost do Ladaku.“

— „Bardzo chętnie,“ — odpowiedzieli, kazali przynieść papier z swego namiotu i przeczytali mi następujący ciekawy dokument, który tłumaczę dosłownie. (Najpierw napis na złożonym papierze:)

„W roku żelaznej krowy, w szóstym miesiącu, 21 dnia, pismo to ma dojść do rąk obu namiestników z Naktsong. Pochodzi z Deraszungu i przesyła się je pocztą. W siódmym miesiącu, 22 dnia, powinno dojść.“

(Potem samo pismo:)

„W roku żelaznej krowy, w szóstym miesiącu, 19 dnia nadeszło tu pismo od namiestnika z Nakczu, że sekretarz Mongoła Tsange Chutuktu, lama Zandże z kilku pielgrzymami podjęli pielgrzymkę do Dżo-mitsing w Hamdungu, i tak on, jak Tugden Dardże namiestnikowi z Nakczu (więc Kambie Bombie) pewne poczynili doniesienia.“

„Namiestnik z Nakczu doniósł od siebie Dewaszungowi, co następuje: Sekretarz Tsange’go powiedział, że w tym czasie, gdy wyruszał w drogę,

widział europejskich mężczyzn i jechał kawał drogi w ich towarzystwie. Kupiwszy mnóstwo odzieży, poszli dalej. W Bazarze widział dwóch Rosjan. „Dokąd idziecie?” — zapytał ich — „Jesteście lamami?” — „Jesteśmy lamami,” — odpowiedzieli. Lekarz Szereb Lama, Mongoł z Chalchy, był ich przewodnikiem. W drodze widział sześciu maszerujących Rosjan. Zbliża się mnóstwo wielbłądów i ludzi.“

„Do Namru i Naktsong mają być natychmiast wysłane pisma, żeby wszędzie było wiadome, że począwszy od Nakczu i dalej w kraju, jak daleko sięga moje (t. j. Dalaj-Lamy) panowanie, nie otrzymają rosyjscy (europejscy) mężowie pozwolenia pójścia na południe. Do wszystkich naczelników mają być wysłane pisma. Strzeżcie granic Naktsongu; każda piędź ziemi winna być strzeżona. Jest rzeczą całkiem niepotrzebną, żeby europejscy mężowie przychodzili do kraju świętych ksiąg, żeby się tu rozpatrzyć. W prowincji obu wam podlegającej nie mają prawa pobytu. Jeśli powiedzą, że jest rzeczą konieczną, to wiedzcie, że obom przywódcom nie wolno podróżować na południe. Gdyby mimo to szli dalej, przypłaciecie to waszą głową. Zmuście ich do zawrócenia i pójścia z powrotem drogą, którą przyszli.“

Pismo to wyjaśniło mi wiele dotąd ciemnych punktów. Wczesne pilne strzeżenie granic zawdzięczaliśmy więc głównie mongolskiej karawanie pielgrzymów, przechodzących w maju przez Czarchlik, lama Zandze i Tugdu Dardze należeli do niej; już w Korla i Karaszahr spotkali się z moimi burjackimi

Kozakami i Lamą. „Mnóstwo wielbłądów i ludzi“ odnosiło się do wielkiej karawany pod Czernowem i Turdu Bajem. Po swem przybyciu do Nakczu Mongołowie o wszystkim dokładnie powiadomili Kambę Bombę, a ten natychmiast wysłał do Lazy kurjera.

Zresztą musiałem Dalaj-Lamie przyznać rację. Jego pokojowa, lecz skuteczna taktyka miała jedynie to na celu, żeby granic państwa strzec przed Europejczykami i nieproszonych gości bardzo grzecznie, lecz energicznie wypraszać z kraju. Tybetanie nie dali się zwabić zwykłym przedstawieniem podniesienia handlu i wprowadzenia tytoniu, spirytuozów, broni palnej i innych uszczęśliwiających wytworów cywilizacji; nie „precz z waszemi używkami i waszym zbytkiem, złotem i srebrem, zostawcie nas w naszym kraju w spokoju!“

Musiałem więc dwom posłom Dalaj-Lamy przyznać otwarcie, że jego polityka ekskluzywności jest jedyna, która ratować może kraj ich od zagłady. — „Naokoło Tybetu, na północ, południe i zachód, Europejczycy zdobyli państwa waszych sąsiadów lub do siebie uzależnili; jedynie wasz kraj w Azji pozostał całkiem nienaruszony.“

— „Re, re (prawda, prawda)“, — zawołali, — „i tego właśnie chcemy!“

Biednego Szereb Lamę, którego nazwisko podane było w dokumencie, mieli teraz w jego własnej osobie przed sobą, nie zapomnieli też czytać mu tekstu grzmiącym głosem; był zdrajcą, nazwisko jego było wpisane do księgi podejrzanych; tylko ze względu na mnie nie aresztują go celem wydania go w ręce władz w Lazie, żeby tam nałożono na niego zasłużoną karę. W każdym razie nie ma się tam co pokazywać. Lecz

teraz Lama, ponieważ sprawa jego była przegrana, nie pozostawiał nadal nieśmiałym, ale bez ogródek wypowiedział dwom posłom swoje zdanie. Skoczył i, trzymając Hładze Tseringowi zaciśniętą pięść przed oczyma, zapytał się go, jak śmie lamie, nie będącym tybetańskim poddanym, odgrażać się karami. Otrzymał od swego przeora i namiestnika Karaszahru pozwolenie i sam teraz ze swej strony doniesie tam o zachowaniu się urzędników tybetańskich. Ponieważ się obawiałem, że kłótnia zamieniłaby się mogła w bójkę, naciągnąłem zegar kurantowy, który jak oliwa wygładził piętrzące się fale.

Wieczorem złożyłem posłom rewizytę z Szagdurem i Lamą, zostałem u nich do północy, pełne pięć godzin, śmiejąc się i dowcipkując, i gdyśmy się rozstawali, byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Biały ich namiot z niebieskimi pasmami i wstęgami był czysto i pięknie urządzony. Nad tylną ścianą poprzeczną stał rodzaj niskiego dywanu (leżanka), wyścielonego poduszkami, a przed nim również niski stół, gdzie częstowano nas herbatą, zsiadłem mlekiem i tsambą. Po prawej stronie dywanu (t. j. dla siedzącego na nim) stała mała świątynia do przenoszenia z różnymi „burchanami“ (bożkami) złożonemi i częściowo zawiniętymi w „haddik“, t. j. cienkie jasne wstęgi, któremi Mongołowie i Tybetanie zwykli obdarowywać znakomitych gości na znak hołdu; między innymi był tam też burchan Dalaj-Lamy. Przed temi wizerunkami bogów paliło się kilka lamp oliwnych, a w mosiężnych czarach, jak to zwykle się dzieje w wielkich świątyniach, postawiono bogom różnorodne lekkostrawne potrawy. Skoro się tylko upiło nieco herbaty, natychmiast sługa dolewał do pełnej filiżanki, choćby tylko

kilka kropel. Osobny czyściciel fajek obsługiwał Hładze Tseringa, palącego długą chińską fajkę. Rozkoszował się moim tytuniem, więc podarowałem mu z niego pełne blaszane pudełko.

XXIII.

NA CZARGUT-TSO.

Naktsang był więc drugim punktem zwrotnym w mej podróży na południe do kraju świętych ksiąg, musiałem z mego zamiaru zwiedzenia Lazy ostatecznie zrezygnować. Rozpoczęliśmy więc teraz, wciąż jeszcze w towarzystwie Tybetan, których liczba zwolna dorosła do 500, ostateczny odwrót na zachód do Ladaku.

Nasz obóz 84 rozłożyliśmy na wschodnim brzegu wspaniałego, porozrywanego głębokimi fjordami Czargut-tso, pozostawając nad tem jeziorem kilka dni celem przygotowania się do dalszej podróży. Hładze Tsering miał rozkaz od Dalaj-Lamy dostarczenia mi wszelkich potrzebnych zwierząt jucznych, prosiłem więc o 40 „jaków“, które mi też natychmiast dostawiono. Potem darował mi, jak Kamba Bombo, dwa siwki i żywność.

Dnia 21 września było wszystko gotowe do wycieczki. Karawana otrzymała rozkaz udania się do korzystnego miejsca na zachodniej stronie jeziora Czargut-tso. Ja wolałem samotnie płynąć łodzią, niż słyszeć tupot koński i chrzęst broni 500 Tybetan. Kuczuk miał mi towarzyszyć. Zabraliśmy z sobą ciepłą odzież i żywności na trzy dni.

Z jeziora widzieliśmy właśnie długie, czarne linje jeźdźców znikających za górami, gdy od zachodu pod-

niosła się burza. Zapóźno było zawrócić, a chroniących przyłądków w pobliżu nie było. Jedyным naszym ratunkiem było popłynąć do skalistej wysepki, wznoszącej się w środku jeziora. Głębokość wody wynosiła początkowo 42 mtr., później nie mogłem już wzburzonego jeziora sondować. Fale były o łódź, wszystko ociekało wodą. Nadzwyczaj powoli zbliżaliśmy się do wyspy i dobili wreszcie do brzegu wyczerpani wysiłkiem i zupełnie przemoczeni.

Najpierw osuszyliśmy naszą odzież. Potem obeziliśmy nasze małe, mimowolne więzienie. O zachodni brzeg uderzały fale z niepoohamowaną wściekłością. Przez lunetę mogłem na północnym brzegu jeziora dojrzeć kilka czarnych namiotów koczowników, lecz tu na wyspie nie można było znaleźć żywego ducha. Tylko w zimie przybywają tu przez łód oswojone „jaki”; mierzwa, którą tu pozostawiły, dostarczyła nam znakomitego paliwa. Rozpaliliśmy więc ogień, gotowali herbatę i czekali z godziny na godzinę daremnie na uśmierzenie się burzy.

— „Co myślisz, Kuczuk, czy wiatr nie wieje już nieco słabiej niż przedtem?”

— „Nie, panie, burza się wzmogła“.

— „Mamy przecież żywności na trzy dni?”

— „Tak, zaledwie“.

— „Pomyśl tylko, jeśli wiatr potrwa sześć dni!”

— „To źle z nami.“

— „A gdyby nam odpłynęła łódź, Kuczuk! Zawiązałeś ją przecież mocno?”

— „Tak, nie może się zerwać.“

— „Dopieroby to było, gdyby wiatr zaniósł ją na jezioro!”

— „Coby potem z nami się stało, panie?”

— „Tego naprawdę nie wiem. Drudzy czekali by tak spokojnie na nas, jak my tutaj na nich. Wkońcu powróciliby do jeziora, aby się przekonać, czy nie widać żadnego znaku rozbicia się statku. Ale mogłoby to długo trwać, ażby znaleźli łódź, a jeszcze dłużej — nas! Nasza żywność dawnoby już była spożyta. Koczownicy nie mogą nam pomóc, nawet gdyby wiedzieli, że tu jesteśmy; nie mają przecież łodzi. Próbowalibyśmy łowić ryby; linka do sondowania służyłaby za sznur do wędki, a szpilka za haczyk, kilka kawałków naszej owczej pałki wzięlibyśmy jako wabik, a każdego wieczoru zapalilibyśmy na wzgórzu, zwróconym ku północy, wielki ogień. Po tem poznaliby koczownicy, że tu są ludzie, i donieśli by o tem naszym wywiadowcom.“

Dzień był nieskończenie długi. Na szczęście zabrałem lekturę: Chata wuja Toma. Wiatr stękał wśród skał, a fale biły z łoskotem o skalisty brzeg zachodni. Również pod wieczór burza się nie uspokoiła; nie można było myśleć o tem, by przy takim powietrzu puścić się na wodę. Wkońcu wciągnęliśmy łódź na ląd, opierając ją skośnie o wiosło, ażeby nas zastawiła od wiatru. Na wiosle zawiesiliśmy potem moją wełnianą derę jako płótno namiotowe.

Słońce zachodziło jaskrawe i szydercze, głębokie cienie opuszczały się na nas, wschodni brzeg jeziora natomiast, nad którym przebyliśmy trzy piękne dni, leżał jeszcze świetlany. Lecz niebawem wspięły się cienie i na góry, i w końcu szczyty ich przez chwilę jeszcze błyszcząły szkarłatem. Gdy i ten blask zagasł, noc zapadła chłodna i ciemna, a półksiężyc rzucał swe blade światło na ziemię.

Może się wiatr uspokoi w nocy. Wcześniej położyliśmy się na spoczynek do naszego lichego łoża.

Kuczuk chwilami wstawał, ażeby zobaczyć, jakie jest powietrze, lecz wiatr trwał uporczywie w swej sile. O 4 godzinie wstaliśmy obaj i zapalili ogromny ogień, bo było 5 stopni mrozu. Co też mogli koczownicy pomyśleć na brzegu północnym, widząc blask ognia na naszej wyspie? Mogą to tylko być duchy, pokutujące nocną porą na tej niedostępnej skalistej wysepce.

Wreszcie poczęło świtać na wschodzie, a grzbiety górskie czarno się zarysowywały na rozjaśniającem się tle. Naraz słońce weszło podobne do błyszczącego kamienia.

Zamiast słabnąć, burza się wzmagła. Co się stanie, gdy nam jeszcze jeden dzień przepadnie? Żywność starczy nam zaledwie do jutra! Narysowałem mapkę wysepki i siedziałem potem całemi godzinami bezczynnie, marzyłem i przysłuchiwałem się grze fal, uderzających z łoskotem o skały zachodniego brzegu. Potem „zeszliśmy się na obiad“ i spędzali czas na zbieraniu paliwa. Następnie poszedłem na południowo-zachodni brzeg, gdzie skały stromo staczały się do jeziora, ażeby zobaczyć zachód słońca. Znowu noc zapadała; siedzieliśmy przy ognisku, uprawiając dalej nasze dolce far niente.

Pod wieczór uśmierzył się wiatr, chociaż chmury się zgęszczały i ze straszliwą szybkością przepływały pod księżycem, który zdawał się żeglować po nich jak srebrna łódź. Z rosnącym niepokojem i napięciem obserwowaliśmy znaki niebieskie. Lecz na zachodnim brzegu jeziora było wciąż jeszcze wzburzone jak dotychczas. Czekać więc, czekać. Spodziewałem się, że będziemy mogli przynajmniej podczas nocy popłynąć do następnej małej wysepki, którą sobie wymierzylem na mapce, zanimby zaszedł księżyc.

Rzeczywiście wiatr osłabł, a jezioro się uspokoiło; zsunęliśmy więc łódź do wody i odbili od brzegu, płynąc wzdłuż południowej ściany skalnej i sterując potem na środek jeziora. Woda była czarna jak smoła, tylko srebrna droga księżycowa lśniła się na wygładzających się falach, a góry, okalające ze wszech stron jezior, były nocą podobne do czarnego, niewyraźnego skicu węglem. Wiosłowaliśmy całymi godzinami w kierunku zachodnim; głębokość wciąż jeszcze wynosiła 37 m i nie pozwalała wnosić o bliskości lądu. Byłem już w obawie, żeśmy ominęli wyspę; wówczas dostalibyśmy się w zachodnią kotlinę jeziora i znaleźlibyśmy się podczas nowej burzy w położeniu bez ratunku. Księżyc zaszedł, i ciemność grobowa otoczyła nas ze wszystkich stron; z pomocą latarni mogłem zaledwie czytać z mych przyrządów.

Lecz teraz głębiny się zmniejszyły, i zaledwieśmy się spostrzegli, łódź uderzyła o ląd — zobaczyliśmy małą wysepkę dopiero wtedy, gdyśmy się znajdowali tuż przy niej. Tutaj położyliśmy się natychmiast na spoczynek.

Gdyśmy się przebudzili, zerwał się nowy silny wiatr. Czy mieliśmy zostać na tej maleńkiej wysepce skalistej, której średnica wynosiła zaledwie 300 m? Żywność się kończyła. I nowa burza przeciągała przez jezioro. Dolina jeziora Czargut-tso była widocznie ujściem dla wszystkiego, co się w okolicy zbierało z burz.

Po południu jezioro się znowu uspokoiło, tylko powierzchnia jego marszczyła się jeszcze lekko zaokrąglonemi faldami, a słońce zbliżało się do horyzontu. Teraz był czas. Odbiliśmy od brzegu, Kuczuk wiosłował z wytężeniem, i niebawem byliśmy poza największą głębią jeziora, wynoszącą 48 m.

Wszystkie chroniące przyładki pozostały już za nami, a przed nami rozciągała się najdalsza kotlina, gdy wtem powtórnie poczęło grzmieć i nowa burza zasypywała góry na północy i południu deszczem i śniegiem. Lecz na jeziorze było jeszcze jasno, a słońce zachodziło, zakryte małe chmurkami.

Nad pionowo spadającymi skałami południowego brzegu, ku któremu sterowaliśmy, wisiała złowroga, stalowo-niebieska ściana chmur. Jej spodnia strona zabarwiona była kolorem ognisto-żółtym, jakby oświetlona pożarem; wiedzieliśmy, co to oznacza. Zbawiennej zatoki nigdzie nie było widać. Rzeczą najmniej niebezpieczną byłoby pozwolić się nieść przez burzę do wyspy, bo z falą łódź wytrzymać mogła najwyższe bałwany. Nie mieliśmy jednak co jeść i musieliśmy koniecznie osiągnąć brzeg, skąd moglibyśmy odszukać karawanę. Musieliśmy więc płynąć przeciw wiatrom i szukać schronienia pod skałami południowego brzegu, od którego jednakże byliśmy jeszcze bardzo oddaleni.

Jednym zamachem zerwała się burza. O sondowaniu i mierzeniu już nie było mowy. Chodziło teraz o życie! Kołysząca się łódź trzeszczała i drgała, a jej napięte dno z pluskiem uderzało o nadchodzące z przeciwnej strony fale. Niebawem musiał pęknąć z trzaskiem żaglowy kadłub. Wiosłowaliśmy równemi, długimi uderzeniami z wytężeniem wszystkich sił, posuwając się jednak wciąż tylko o kilka centymetrów naprzód. Burza wcisnęła się pomiędzy nadbrzeżne skały, rosnąc na sile. „Żywo, śmiało, Kuczuk! Jesteśmy bliżej brzegu, niebezpieczeństwa niema!“ Wtem wpada do łodzi przez prawą burtę statku bałwan, woda chełbocze i bulgocze, tocząc się z jednego końca

w drugi. Wlewa się nowa fala. Zapręgamy się, że nam palce zupełnie bieleją i palą pęcherze, odcisnięte wiosłowaniem. Długo tak trwać nie może; łódź już jest nawpół zapełniona wodą, a fale wciąż wlewają się przez przednie tramy. Niebawem zaczniemy tonąć!

— „Miej w pogotowiu swą beczkę ratunkową, Kuczuk, ja swoją mam! — Nie! Wiosłuj! Wiosłuj! Może jednak osiągniemy tamten przylądek!“

I utrzymaliśmy łódź na powierzchni, aż przypłynęliśmy do miejsca zastawionego od wiatru i w spokojniejsze jezioro. Lecz życie nasze wisiało na włosku, i nigdy nie byłem na moich licznych azjatyckich podróżach tak bliski utonięcia. Nie polecałbym też nikomu, w małej łodzi towarowej wypłynąć wśród nocy i wiatru na nieznanne jezioro, gdy wichura rozdziera chmury i księżyc posrebrza pianę fal, oświetlając białą i jak kryształ jasno nieznaną głębinę.

Śmiertelnie znużeni rzuciliśmy się na brzeg po pobieżnym osuszeniu przy ogniu ubrań, i zasnęli, zasłonięci częściowo łodzią od ulewnego deszczu, bębniącego przez całą noc o żaglowe dno.

Nazajutrz była piękna pogoda. Zjedliśmy ostatni kawałek chleba i wiosłowali krótkim ramieniem rzecz-
nem do nowego jeziora, Addan-tso, płynąc na przelaj, i to na szczęście w niezbyt wielkim oddaleniu od brzegu, bo tutaj nasza nas nowa burza, przeciw której walczyliśmy bezskutecznie, łódź została przez fale zapędzona do zwolna spadającego brzegu, szybko napełniła się wodą i przewróciła się, dotknąwszy gruntu. Brnęliśmy w wodzie do lądu, wciągnęli łódź na brzeg; tutaj rozpostarliśmy najpierw nasze ubrania do suszenia, a potem położyliśmy się w piasku, czekając, aż nas kto z naszych nie wysledzi.

W końcu byłem jednak tak głodny, że poszedłem do najbliższego czarnego namiotu koczowników; nie uszedłem jeszcze daleko, gdy Kuczuk mnie zawołał i wskazał na krótkie ramię rzeczne, którem płynęliśmy w górę. Tam ukazało się dwóch jeźdźców z dwoma jucznymi końmi. Spozrzegli nas i jechali wprost na nas. Byli to Czerdon i Erdek, szukający nas od dwóch dni wzdłuż brzegu jeziora Addan-tso, żyjąc porówno z innymi w wielkiej o nas obawie. Po chwili przybyli też Czernow i Lama, którzy chcieli nas szukać nad brzegami jeziora Czargut-tso. Zyrkin był tam już wczoraj, rozglądając się po starym obozie na wschodnim brzegu jeziora. Obawiali się najgorszych rzeczy i już się zastanawiali nad tem, co zrobią, jeśli nie wrócę. Zanimby opuścili okolice, zamierzali wprawdzie odszukać jakich szczątków łodzi i naszych rzeczy.

Wielka radość zapanowała w obozie, gdyśmy tam znowu przybyli; wszyscy uważali nas za straconych. Tybetanom Kozacy opowiadali z największą powagą, że popłynąłem na drugi brzeg jeziora Czargut-tso, ażeby stamtąd na jakimś koniu pojechać do Lazy! Co za skandal, co za hańba, wypuścić w ten sposób ptaszka z klatki! Natychmiast wysłali konne patrolki dokoła jeziora, lecz te mogły tylko donieść, że żywego ducha nie widziały. Wówczas ja na brzegu pierwszej wyspy paliłem w najlepszym spokoju fajkę. Potem posłano kilka konnych oddziałów, złożonych z około dwudziestu ludzi w południowym kierunku celem zbadania różnych dróg w kierunku Lazy; jeszcze nie wrócili, gdy wjeżdżałem do obozu, gdzie Hładze Tsering i Junduk Tsering serdecznie mnie przywitani i z radości, że ptaszka już mają, wcale nie byli zrażeni obawą i gniewem, w który powtórnie ich wprawili-

łem. Urządzili nam wspaniałą ucztę w swym namiocie, gdzie bożki na ołtarzu świeciły w mglistych dymach kadzideł.

Chory Mohamet Tokta czuł się gorzej, jeden wielbłąd padł i jeden Tybetanin zmarł; w drodze do obozu mijaliśmy jego trupa, strasznie oszpeconego przez wilki i sępy.

Dnia 25 września pożegnaliśmy się z posłami Dalaj-Lamy; dałem im w upominku rewolwer z nabojami, noże, sztylety, kompasy i różne materiały. Eskorta, złożona z 22 ludzi pod Jambu Tseringiem i Tseringiem Daszim, miała nam towarzyszyć i o to się nadal starać, żebyśmy wszystko, czego nam było potrzeba, otrzymywali od koczowników. Żał mi było rozstawać się z Hładżem Tseringiem i Jundukiem Tseringiem. Prosiłem ich, by pozdrowili Dalaj-Lamę i powiedzieli mu, by mego nazwiska nie zapomniał, gdyż jeszcze się spotkamy. Potem ciągnęliśmy w kierunku zachodnim, pozostali Tybetanie zaś patrzeli za nami długo, w zadumaniu.

XXIV.

DROGA DO LADAKU.

Od Leh, stolicy Ladaku, dzieliła nas jeszcze odległość 1100 kilometrów. Przestrzeń ta kosztowała mnie trzy miesiące czasu i większą część mojej karawany.

W pierwszych dniach jechaliśmy nad brzegiem rzeki Bogtsang-sangpo w kierunku północno-zachodnim.

Gdym 3 października z Czernowem i Lamą zszedł z drogi do góry Erenak-tszimmo, i gdyśmy, wracając

szli śladami karawany, znaleźliśmy w jarze jednego z mych ludzi, Hamrę Kul'a, który tam leżał nieruchomo, zapewniając, że ani kroku dalej nie ujdzie. Zostawiłem go narazie, bo już wiedziałem, gdzie jego bolączka: jako przywódca karawany koni miał na sumieniu kilka przypadków niedbalstwa i został zastąpiony przez Mollaha Szaha. Kilku naszych chętnych w niesieniu pomocy Tybetan zajęło się nim wkońcu i przynieśli go do obozu. Mróz był tak ostry, że w silnym wietrze przeciwnym byliśmy zdrętwiali z zimna i śmiertelnie znużeni. Ażeby oszczędzać zwierząt i nie zmarznąć, szli moi ludzie pieszo; tak samo Tybetanie. Niebawem musieliśmy zostawić jednego wielbłąda; zostałem przy nim, kazałem rozwiązać juki i pasłem zwierzę słomą, wyjętą z juków; jadł też z dobrym apetytem, przyszedł jednak do siebie tylko na chwilę i trzeba go było zabić; były na nim tylko skóra i kości. Nieco dalej znalazłem znów dwa wielbłądy, które nie mogły iść dalej. Następnymi inwalidami były dwa konie, prowadzone przez Kuczuka; na jednym z nich opuszczałem Kaszgar przed dwoma laty z górą, drugim był jeden z koni Kamby Bomby. Mój wierzchowiec, na którym wyruszyłem z Czarchliku, wciąż jeszcze siedł z nami, chociaż z wielkim trudem.

Pozatem połowa mych ludzi była na liście chorych. Mohametowi Tokcie nie było lepiej. Almas oświadczył, że prawie nic nie widzi z powodu ostrego wiatru, a Chodaj Kullu cierpiał na górską chorobę.

W okolicy Secza (5048 m) był dzień wypoczynku; tam przybyły do nas przyręczone „jaki“, i bagaż podzielono na mniejsze ciężary, bo „jak“ niezdolny jest do niesienia ciężaru wielbłąda; prócz tego chcieliśmy zaczekać na wszystkich ludzi i wszystkie zwierzęta,

które pozostały w tyle. Zimno spadło tego dnia na — 18^o C., nadchodziła okrutna zima.

Z Czernowem, Lamą i małą, lekką karawaną urządziłem ku rozpaczy dobrych Tybetan, którzy jeszcze raz zmobilizowali całą okolicę, czterodniową wycieczkę na południe celem zdobycia poglądu na wspaniałą krainę górską, rozciągającą się w tym kierunku. Na dłuższą wycieczkę na zakazane terytorjum nie pozwalał nam niestety lichej stan naszych koni, więc z częścią mojej tybetańskiej eskorty, depczącej nam po piętach, wróciliśmy szczęśliwie do głównej kwatery. Okazało się i majestatycznie wznosił się na południu ogromny, wiecznym śniegiem pokryty kompleks gór Szah-gandzum. Bez przewodnika, znajdującego drogi, z pewnością nie byłibyśmy tam daleko doszli; nie byłoby nam się jednaś udało pozyskać ani jednego z tych koczowników jako przewodnika, tak solidarnie postępował ten półdziki lud. To kraj, w którym nie było zdrajcy!

W obozie 103, na granicy pomiędzy Naktsong i najbliższą prowincją bomby, pożegnali się dnia 13 października Jamdu Tsering i jego ludzie; dałem im rozmaite upominki i na ich życzenie napisane przez Lamę świadectwo, że byli uprzejmi i obsłużyli mnie ku memu zupełnemu zadowoleniu. Miała nam teraz towarzyszyć straż pod dowództwem Jarwy Tseringa, a nowe „jaki“ przejęły nasz bagaż; wszystkie nasze zwierzęta maszerowały nieobciążone.

Nie były one już zdolne do znoszenia silnych wiatrów zachodnich, przeciw którym szliśmy teraz, mrozu i niewygód tego marszu. Jeden koń padał po drugim. I powtórnie nawiedziła śmierć moją karawanę. Gdy Hamra Kul 20 października, prowadząc za cugle dwa konie, szedł za karawaną, znalazł Mo-

hameta Toktę leżącego w dole. Stary oświadczył wesoło, że sprzykrzyła mu się ta konna jazda i pozwolił się koniowi zrzucić; koń rad, że się pozbył ciężaru, przyłączył się niepostrzeżony do reszty zwierząt. Towarzysz wziął go na jednego z swych koni, w obozie opiekowano się nim wedle sił, a on śmiał się zadowolony, gdy przepisałem mu lekarstwo. Z rozkoszą wypił jeszcze wielką miskę mleka. Lecz gdy słońce wzeszło, leżał w swym kożuchu z silnie zamkniętymi oczyma nieżywy. Śmierć zaskoczyła starego poganiacza wielbłądów na śnie; leżał zupełnie tak samo, jak poprzedniego wieczora. Był to czwarty z mych sług, który uległ trudom podróży przez środkową Azję i Tybet. Trzech z nich zmarło w samym Tybecie, nie z powodu niedostatecznego odżywiania, bo na żywności, jak na mięsie, mleku i maśle nigdy nam nie zbywało. Nieszczęsna choroba, która ich zabrała, była skutkiem rzadkiego powietrza, nie dostarczającego krwi dostatecznej ilości tlenu.

I wciąż jeszcze było do Ladaku 800 kilometrów. Gdy pewnego razu pozostałem przez kilka godzin w tyle celem przeprowadzenia mierzeń, a potem śladem karawany jechałem przez mały przesmyk do nowego jeziora, okolonego jak inne jeziora wysokimi górami i prócz tego pierścieniem śnieżno-białych krystalizacyj solnych, siedział poniżej przesmyku Hamra Kul przy dwóch umierających koniach. Jeden doszedł jeszcze żywy do obozu, ale drugiego, bułanka z Korli, trzeba było zabić; nie mógł już stać na nogach. Po głębokim pchnięciu w szyję leżał z zamkniętymi oczyma spokojnie, lecz gdy strumień krwi już skrzepł i nastąpiła śmiertelna słabość i spokój, otworzył jeszcze raz oczy, jakby chciał się pożegnać na zawsze z temi

niegościnnymi górami. Przytem patrzył lewym okiem prosto w słońce, które się w niem przebijało i kazało mu się lśnić jak drogiemu kamieniowi. Z mych 45 koni i mułów zostało teraz jeszcze 11 przy życiu. Zimno spadło na 19^o, a wiatr na chwilę nieustający miał szybkość 20 m na sekundę. Dnia 25 października musieliśmy już przy wymarszu zabić jednego konia. Sześć wielbłądów, których siły również były wyczerpane, postępowało za karawaną „jaków“, posuwającą się powoli. Na pierwszym jechał chory Almas. Pozostałem w tyle, lecz gdy ich znów dogoniłem, położyło się właśnie jedno umierające zwierzę na bok z wyciągniętymi nogami i szyją; musieliśmy je również zapomocą noża pozbawić cierpień. Potem drugie zostało z swym stróżem, a następnie trzecie. Kawał dalej trzeba było zostawić nawet mego wiernego wędrowczyka pustynnego, dromedara, ażeby go później przyprowadzili maruderzy. Wkońcu prowadził Almas tylko jeszcze jednego wielbłąda. Posiadałem teraz tylko ośmnaście; leżało teraz nieżywych na naszej drodze dwadzieścia i jeden.

Nazajutrz pojechali Zyrkin i Turdu Baj z powrotem, ażeby ile możności przyprowadzić trzy ostatnie pozostawione wielbłądy. Wrócili, gdyśmy już byli w następnym obozie, i to sami. Mojego dromedara nie można już było skłonić do powstania; płakał tak, że pod oczyma zwisały mu sople lodu, i trzeba go było zabić równocześnie z innymi towarzyszami.

Dnia 28 października wdrapywaliśmy się na przesmyk, skąd otwierał się wspaniały widok na wschód. Głównie wzrok pętał okrągły Perutse-tso, nad którego brzegiem spędziliśmy cztery dni. Pastwisko było tu przecudne, a z powodu krzewów, dostarczających nam

prawdziwego opału, mogliśmy dzień i noc grzać się przy prawdziwych ogniskach. Lecz i w tym obozie zdechł jeden koń, którego pusty żołądek nie mógł widocznie znieść dobrej trawy, a jeden wielbłąd padł w oddaleniu kilku rzutów kamieniem od oazy, która mogła mu uratować życie. Miałem ich teraz jeszcze ośmnaście. Wilki szły za naszą karawaną, racząc się padliną zwierząt i wyjąc straszliwie po nocach.

Tutaj powtórnie zmieniała się nasza tybetańska eskorta. Tym razem towarzyszył nam Mongoł Tadzimur, będący jednakże prawdziwym Tybetaninem, bo rodzice sprzedali go jako pięcioletniego chłopca podczas pielgrzymki do Lazu bezdzietnemu tanguckiemu małżeństwu. Miał nam towarzyszyć aż do granic Rudoku.

Na zachodnim końcu następnego jeziora, Tsollar-ring-tso, gdzie przekroczyliśmy granicę tej prowincji, stało siedm namiotów. Tutaj oczekiwał nas namiestnik Czok-Dalung'u ze stu zbrojnymi ludźmi, oświadczając mi ze zdumiewającą śmiałością, że gdybyśmy nie mieli paszportu od Dalaj-Lamy, nie moglibyśmy nigdy w życiu ciągnąć przez Rudok, lecz musielibyśmy łaskawie zawrócić na tej samej drodze, na której przybyliśmy!

Odpowiedziałem mu, że nigdy nie widzieliśmy Dalaj-Lamy i wobec tego nie możemy mieć od niego paszportu.

— „Nic o was nie słyszałem,“ — odpowiedział, — „nie wiem, kto jesteście, nie otrzymałem z Lazu żadnego pisma, nigdy mi nie polecon o, zaopatrzyć was w „jaki“, wiem tylko tyle, że Europejczykom wzbroniono raz na zawsze podróżowania przez Rudok.“

— „Jeśli jesteście wysokim urzędnikiem, musicie wiedzieć, że jesteście zobowiązani być do naszej dyspozycji w podróży do Ladaku.“

— „Wobec podejrzanych osób, nie mających paszportów, nie jestem do niczego zobowiązany; lecz jeśli chcecie, napiszę do Lazy, a wy poczekacie tu dwa i pół miesiąca, aż nadejdzie odpowiedź.“

— „To jest nam bardzo na rękę,“ — odpowiedziałem, — „nasze zwierzęta są wyczerpane i potrzebują odpoczynku. Piszcie tylko do Lazy, mamy czas na czekanie.“

— „Dobrze, rozumiem przecież, że przyplączę to głowę, jeśli wam pozwolę przejść przez moją prowincję.“

Był nadzwyczaj stanowczy, spokojny i pełen godności w swem wystąpieniu, chociaż bardziej bezczelny, niż nasi przyjaciele w pobliżu Lazy.

Kozacy wrzeli z wściekłości, napierali na mnie, żebym im pozwolił odpowiedzieć z repetjerek i tylko z wielkim trudem zdołałem ich uspokoić. Bombie natomiast oświadczyłem, że chętnie zawrócę następnego dnia, ale od niego żądam piśmiennego poświadczenia, że nam wzbronił przejścia przez terytorjum Rudoku. Dobrze, chętnie mi to da, a prócz tego wyśle kurjera do Lazy; musiałbym jednakże czekać, aż nadejdzie odpowiedź — dwa do trzech miesięcy! Potem wyda rozporządzenia!

Nie byłoby tu zbyt trudno urządzić zamach. Mieliśmy cztery repetjerki, dwie fuzje Berdan'a i dwie myśliwskie, jedną z tych z nabojami eksplozywnymi. Tybetanie zaś rozporządzali tylko prymitywnymi fuzjami do nabijania z przodu, niezręcznymi i niewygodnymi muszkietami. Zanimby się zbliżyli do nas tak, żeby nas mogli fuzjami swemi osiągnąć, sprzątnęlibyśmy jednego po drugim. Lecz nie otrzymałem eskorty kozackiej, ażeby jej używać do przygód wojennych.

Czekać dwa do trzech miesięcy przy tak smutnym stanie karawany nie było dla mnie nic strasznego, przeciwnie! Szybko więc ułożyliśmy plan przezimowania. Chcieliśmy wrócić do pastwisk nad jeziorem Perutse-tso, zbudować z ziemi coś w rodzaju twierdzy, z tego punktu oparcia urządzać wycieczki w okolicę, żyć z myśliwstwa i na wiosnę z wypoczętą karawaną znowu ruszyć do wzbronionego kraju.

Plan ten nęcił ogromnie, lecz nie doszedł do skutku. Wyniosły namiestnik bowiem namyślił się przez noc i przyrzekł nam nowe „jaki“, żywność i wolne przejście, żebyśmy tylko nie wstępowali do miasta Rudoku, co też nie było moim zamiarem.

Gdyśmy dnia 7 listopada przy pięknej pogodzie szli dalej, zachowywali się ludzie naszej nowej eskorty nadzwyczaj bezczelnie; wyzywali Lamę od psa niewiernego, że z „takimi Moskalami“ wędruje. Spokojny zwykle ksiądz był tak rozgniewany, że potańczył szpicrutą na plecach Tybetan, a ja im zagroziłem, że zamknijemy ich do naszych skrzyń i zabierzemy z sobą, jeśli jeszcze raz pozwolą sobą na taką bezczelność.

Zresztą w tej okolicy nie widzieliśmy już żadnych koczowników i nie znaleźli też ani kropli wody; lecz Tybetanie zaprowadzili nas do źródła Tsebu, gdzie przez jedną noc odpoczywaliśmy. Było tu tak spokojnie, że szumiało nam w uszach i zdawało się, że słyszeć można, jak się mróz nocny wwierca w ziemię. Tylko przeciągłe wycie wilków i dudniące na zmarzłej i twardej jak kamień ziemi, jednostajne kroki straży nocnych przerywały głęboką ciszę. Woda w mym kubku była rano do dna zamarzła, a atrament marzył mi na piórze, jeśli przy pisaniu nie

pochyliłem się nad fajerką. Mróz podniósł się do — 27^o i nie dziwiłem się, że Tybetanie całym sercem pragnęli wrócić do swych namiotów, gdyż nie mieli na sobie spodni.

XXV.

POŻEGNANIE TYBETU.

Jeszcze kilka marszów w okrutnym, lodowym wietrze, a mieliśmy do Leh tylko jeszcze 400 kilometrów. Chciałem tam za wszelką cenę przybyć przed Bożem Narodzeniem, by moim ukochanym w domu po tak długim niewidzeniu dać wreszcie telegraficznie znak życia o sobie.

W nocy na 21 listopada spadła rtęć termometru do 28^o, a wilki były coraz bardziej natarczywe. Towarzyszyła nam nowa eskorta. Gdy przywódca przyrzekł rewolwer, jeśli w swych geograficznych informacjach mniej zechciał kłamać, odpowiedział:

— „Jestem człowiekiem zbyt starym, bym kłamał.“

Droga nasza wiodła nad rzeką Tsangar-szar w dół; nad jej brzegiem odpoczywaliśmy 26 wśród gęstej krzewiny. Mój namiot rozbito też nad szumiącą, tutaj niezamarzłą rzeką; zawsze słucham z przyjemnością wesołego plusku płynącej wody. Dzikie skały piętrzyły się na drugim brzegu i prawie groźnie wyglądały w blasku księżyca. Jeden koń był tak niezgrabny, że wpadł do rzeki i tylko z trudem wyciągnięto go z rzeki. Owinięto go w wełniane dery i osuszono nad wielkim ogniskiem, lecz po kilku godzinach leżał już nieżywy.

Nazajutrz doniesiono mi, że także koń Li Lojogo padł w nocy. Niedaleko następnego obozowiska padł zupełnie nagle kary koń Turdu Baja, a w czasie marszu ostatni z tybetańskich koni. Z ogromnej karawany, która przed pół rokiem opuściła Czarchlik, został przy życiu tylko mój koń, pozatem trzynaście wielbłądów i pięć mułów! Wędrówka zimowa przez Tybet naprawdę nie jest podróżą dla przyjemności, wolę dzieścić razy przejść przez pustynię Gobi!

Wreszcie byliśmy w pobliżu wsi Noh z świątynią o czerwonych i białych cebulastych kopułach. W niewielkiej odległości od niej widzieliśmy z jednego przesmyku i z długich, wąskich, zamarzniętych Tso-ugombo „Błękitne jezioro“ z jego okazałymi ścianami skał na obu brzegach. Obozowaliśmy nad brzegiem, Tybetanie na małej wysepce w pobliżu, a ich wielkie ogniska rzucały wieczorem czerwono-płomienne odbłaski na gładki jak lustro lód. Nasz tybetański przewodnik wysłał stąd kurjera do Leh, żeby nam na granicy pomiędzy Tybetem a Kaszmirem dano, czego będziemy potrzebowali; skorzystałem ze sposobności i odesłałem list do władz brytyjskich owego miasta, prosząc o nowe konie, „jaki“ i żywność.

Na północnym brzegu, na którym ciągnęliśmy wzdłuż ścian skalnych, spotykaliśmy kiedy niekiedy tybetańskie karawany kupieckie, idące z Leh i transportujące swe towary na owcach. Droga była dla wielbłądów ogromnie trudna; kilku mych ludzi poszło więc naprzód, ażeby usuwać ostre kamienie i zasypywać doły. Okrążając zdradliwy występ skalny, szły wielbłądy, konie i muły jeden metr szeroką ścieżką wodną, poprzednio jednak usunięto kraj lodu, utworzony u stóp skały przez nadbrzeżne fale; tylko „jaki“

pięły się ze zwykłą łatwością na skały. Bagaż został już wieczorem przeniesiony przez Tybetan.

Dnia 3 grudnia zatamował nam drogę jeszcze większy występ skalny, którego wielbłądy nie mogły przejść. Ściana skały wznosiła się z niezamarzniętej wody pionowo, a na ścieżce, tędy wiodącej, wciśnięto w szczeliny skał płyty łupkowe, służące od biedy jako schody dla pieszych, „jaków“ i owiec, wielbłądy natomiast nie mogły tędy iść. Co teraz? Iść południowym brzegiem, oświadczyli Tybetanie, jest rzeczą niemożliwą. Lecz chciałem próbować. Wpierw jednak musiała przejść cara karawana. Czernow badał lód na wąskim miejscu, gdzie jezioro zamarzło w całej swej szerokości; zapewniał, że wytrzyma. Mierzyliśmy grubość lodu w całym szeregu przerębli; gdyby się wielbłądy przeprowadzało pojedynczo, rzecz byłaby bardzo łatwa. Wieczorem posłałem jednak Erdeka naprzód celem zbadania południowego brzegu; jeśli i tam napotka na nieprzebyte występy skalne, ma na znak zapalić ogień. Tymczasem czekaliśmy na brzegu północnym; niebawem donosiły nam trzy wielkie ognie, że dalsza droga także na południowym brzegu jest niemożliwa.

Musieliśmy więc znaleźć sposób przeprowienia się przez tę straszliwą ścianę skalną. Obchodzić północne pasmo górskie, tracąc czas, nie chciałem w żadnym wypadku. Na północnym brzegu rosły bujne krzewy w obfitości; było tam też pod dostatkiem suchych pni i korzeni, by zapomocą drabinek wielbłądzich i słupów namiotowych zbudować prom, na którym możnaby po zerwaniu lodu wielbłądy przeciągnąć dokoła przedgórza linami. Było ich jeszcze tylko dziesięć, a przecież pokonałem już większe trudności.

Lecz gdyśmy się namyślali, okazała się jeszcze inna droga wyjścia możliwa. Woda u stóp skały była dotąd otwarta; pierwszej nocy natomiast pokryła się cienką warstwą lodu, a po dalszych 24 godzinach lód z powodu mrozu był już na 5 centymetrów gruby. Na szerokich saniach z drabin wielbłądzich, pokrytych wełnianymi derami można chyba było ciężkie te kolosy przeciągnąć. Natychmiast zabraliśmy się do budowy sań; potem usiadło na nie tylu ludzi, że ciężar ich równał się wadze jednego wielbłąda. Lecz gdy się jazda na przedgórzu rozpoczęła i lód zaczął trzeszczeć, uciekła załoga, jeden po drugim, w pierw Lama, potem ja, następnie Tokta Ahun ku niewymownej wesołości całej reszty. Lód był jasny jak kryształ bez pęcherzy, i miało się wrażenie, że się idzie przez spokojną powierzchnię wody, pod którą ryby o ciemnych grzbietach prześlizgywały się pomiędzy algami. Wszędzie trzeszczało i strzelało; czasami słyszało się, jakby wzdłuż lodu strzelano ostre nabojami; zdawało się, że kule świszczą, następnie dźwięk się osłabia i ginie w oddali.

Musieliśmy jeszcze jeden dzień czekać i obserwować grubienie lodu. Przed następnym zachodem słońca przewieziono saniami cały bagaż, a potem posypano ścieżkę na lodzie grubym piaskiem, po którym wielbłądy ostrożnie przeprowadzono. Wszystko odbyło się szczęśliwie, i wędrowaliśmy nad bajecznymi pięknymi brzegami Tso-ugombo dalej. Bezpośrednio z niem łączyło się znowu długie słone jezioro, Panggong-tso, nad którego północnym brzegiem ciągnęliśmy do 17 grudnia. Z ogromnym wysiłkiem udało nam się przejść przez jeszcze jeden wstrętny występ górski.

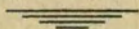
Już 13 grudnia osiągnęliśmy wreszcie zachodnią granicę Tybetu i ku niewymownej radości spotkaliśmy tu karawanę, idącą na odsiecz z 12 końmi i 30 „jakami“, wysłaną na pomoc przez namiestnika z Ladaku. Wiodła ona z sobą owce, mąkę, ryż, suszony owoc, mleko, cukier i jęczmień dla naszych zwierząt. Nasze cierpienia zatem się skończyły; szczątki karawany, już ledwo dyszącej, były uratowane, i kilka dni później przybyłem szczęśliwie do Leh, by przez Indje wrócić do Europy.

Ostatnia nić, wiążąca mnie jeszcze z zagadkowym, dziwnym Tybetem, zerwała się, gdyśmy pożegnali eskortę, towarzyszącą nam aż do granicy. Wszelkie „stare żelazo“: garnki, filiżanki, dzbanki, stare ubrania i t. p. i rewolwer podarowałem Tybetanom, którzy wrócili bogaczami do swych namiotów.

Teraz wreszcie mogli kapłani Dalaj-Lamy spać spokojnie. Wdarłem się do ostatniego pustelniczego państwa na ziemi, do najsilniejszej naturalnej twierdzy świata; przez cztery miesiące wprawiałem cały kraj w stan wojenny, sprowadzając na dobrych ludzi wiele niepokoju i trudu. Gdy ostatniego wieczora zaszło słońce i nowa ciemność zapadała na wschodzie, zdawało mi się, że noc ta pochłania kraj Dalaj-Lamy z wszystkimi jego tajemnicami na wieki. Lecz w mych tekach i dziennikach chowałem zdobycze, które porobiłem w mych wojennych pochodach i które miały na wielkie przestrzenie nieznanego kraju rzucić światło!

Jeszcze jednego z weteranów naszej karawany zażądał Tybet w zastaw za naszą przeprawę. Mój pies Joldasz, wierny mój towarzysz od dwóch i pół roku, spędził ostatnią noc na granicy Tybetu jak

zwykle na wełnianych derach u mych nóg; o wschodzie słońca jednak otrząsnął się, opuścił namiot, pobiegł przez góry ku wschodowi i już nie wrócił. W chwili, gdy się nas dotykały ostateczne macki cywilizacji, właśnie na granicy Tybetu i Kaszmiru, zawrócił i opuścił swego starego pana. Może myślał — może myśli dziś jeszcze, że się po niego wróć!



T R E Ś Ć.

	str.
I. Serce Azji	5
II. Wymarsz do Tybetu	10
III. Lama	15
IV. Przybycie do Tybetu	19
V. Karawana	23
VI. W obozie	28
VII. Przygody podczas marszu	31
VIII. Mordercza droga	36
IX. Wypoczynek i odwiedzanie chorych	41
X. Pierwsi Tybetanie	47
XI. Ruszamy do Lazy	57
XII. Nocny napad	61
XIII. Na posterunku nocnym	67
XIV. Spotykamy koczowników	70
XV. Przez Saczu-sangpo	75
XVI. Poznany „Szwed-Peling”	79
XVII. W tybetańskiej niewoli	84
XVIII. Rozkaz Kamby Bomby	93
XIX. Odwrót do głównej kwatery	101
XX. Nowe przedzieranie się do Lazy	106
XXI. Powtórnie odpędzeni	113
XXII. Posłowie Dalaj-Lamy	119
XXIII. Na Czargut-tso	126
XXIV. Droga do Ladaku	134
XXV. Pożegnanie Tybetu	142

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 1043



1000000000054